JAN ROZWADOWSKI

# O ZJAWISKACH I ROZWOJU JĘZYKA

WYDANIE II, POMNOŻONE

PODJĘTE PRZEZ TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW JĘZYKA POLSKIEGO
Z ZASIŁKIEM MINISTERSTWA OŚWIATY

KRAKÓW 1950
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA
W KRAKOWIE

JAN ROZWADOWSKI

# O ZJAWISKACH I ROZWOJU JĘZYKA

WYDANIE II, POMNOŻONE

PODJĘTE PRZEZ TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW JĘZYKA POLSKIEGO
Z ZASIŁKIEM MINISTERSTWA OŚWIATY



KRAKÓW 1950
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA
W KRAKOWIE

T. M. J. P. — 3.000 egz. — A 5. pap. druk. sat. kl. V. 61×86 cm. 70 gr.
I., 1950. — Zam. 467.

Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem P. Z. W. S.
M-54569

# I.

# O ZJAWISKACH I ROZWOJU JĘZYKA

Towarzystwo Miłośników Języka Polskiego postanowiło wydać powtórnie zbiór rozpraw i artykułów Jana Rozwadowskiego pt. «O zjawiskach i rozwoju języka», których część I wyszła w r. 1921. Do zawartych tam 8 rozpraw dodaje się obecnie przede wszystkim przez niego samego tu zaliczoną 9., «O dwuczłonowości wyrazów», podającą nową wtedy, potem powszechnie przyjętą teorię. Autor przerwał niestety planowany dalszy ciąg, umieścił jednak jeszcze w Języku Polskim, z którego przedrukiem jest prawie cała niniejsza książka, dwie większe rozprawy o znaczeniu ogólnym, mianowicie «Znaczenie nauki o języku» i «Semantyka a gramatyka». Ostatnie dwie prace pośmiertne «Język a literatura» i «Stanowisko językoznawstwa» przedrukowuje się z Przeglądu Współczesnego.

Jakkolwiek rozprawy te pochodzą z lat 1913—35, a od tego czasu lingwistyka nie stoi w miejscu, to jednak myśli jednego z największych językoznawców, a w Polsce bodaj największego, są tak niepospolite, że i dziś w pełni zasługują na udostępnienie ich interesującemu się językiem ogółowi. Nie mówiąc już o tym, że są wzorem stylu ściśle naukowego, a jednak wyjątkowo wytwornego.

# WSTĘP[1]

Znaczenie języka jest niezmierne. On jest odznaką, cechą i dźwignią całej ludzkości jako wytwór ściśle *ludzkiej* kultury a zarazem konieczny jej warunek. Język jako wynik pewnego stanu i rozwoju duszy jest właściwą ścianą między człowiekiem a zwierzęciem. Bez wytworzenia języka rozwój ludzkości byłby tylko w bardzo słabym stopniu możliwy.

Dla poszczególnych gromad ludzkich, szczepów i narodów posiada język równie wielką cenę: już sam przez się jest jedną z najwybitniejszych cech i jednym z najmocniejszych węzłów narodu. Dlatego pierwotne społeczeństwa nie uważają ludzi, mówiących obcym językiem, prawie za ludzi: ludźmi są tylko oni sami, wzajemnie się rozumiejący.

Przywiązanie do mowy rodzinnej mieści się tedy w miłości ojczyzny, jest jej częścią składową i jako takie jest słuszne, dobre i piękne. Ale miłość może być głupia, chora i niedołężna; trzeba zaś, aby była rozumna, zdrowa i silna. Chcąc coś dobrze kochać, trzeba ten przedmiot przede wszystkim znać i rozumieć; chcąc, aby nasza miłość np. dla dziecka wyszła naprawdę na dobre — jemu i nam samym, trzeba koniecznie poznać i znać jego usposobienie, istotę, duszę całą. Jest więc rzeczą jasną i pewną, że trzeba *naprawdę* rozumieć język ojców, jeżeli przywiązanie do niego ma mieć wartość — dla niego i dla nas.

Gdzie warunki życia narodowego są tak niekorzystne i trudne jak u nas, gdzie one językowi po części wprost zagrażają, tam trzeba wzmożonych wysiłków, aby ową nienormalność warunków przemóc, raz w ogóle, po wtóre w szczególności ze względu na język; trzeba

---

[1] Język Polski I, 1 (styczeń 1913).

dlań wzmożonej miłości i pieczy — oczywiście znowu rozumnych i zdrowych. W tym też cała trudność. Ale nawet u narodów, które są w swych warunkach bytu i rozwoju na silnych podstawach oparte, gdzie zatem i język także, już samorzutnie, bierze udział w tym całym zdrowym życiu, nie brak dzisiaj świadomej pracy także nad nim i — w zasadzie słusznie. Bo w ogóle kultura ludzka, rozwijając się nieustannie i potęgując, wzmaga także ciągle czynnik świadomego działania i namysłu we wszystkich działach twórczości — nawet w takich, które najbardziej zależą od zdolności, jak się to mówi, ze sobą na świat przyniesionej. Nowoczesny artysta na przykład różni się przecież bardzo od swego starożytnego kolegi także pod względem stopnia zdawania sobie sprawy z istoty sztuki, jej celu i środków. Gdyby nawet osobiście nie miał do tego usposobienia i skłonności i pracował raczej z koniecznością instynktu, to i tak jest obok i naprzeciw niego całe środowisko artystyczne i społeczne, cała odnośna świadomość w krytyce się ujawniająca i to nań koniecznie oddziaływa. W kulturze ludzkiej wszystko polega na współdziałaniu. Jak we wszystkich przejawach życia i twórczości były i są różne prądy, style i skłonności, a moment świadomego namysłu coraz więcej w nich się wybija, tak i w języku. Dziś na przykład uważa się powszechnie nadużywanie obcych wyrazów i zwrotów jako coś przeciwnego pięknu języka; wszędzie też, zgodnie z ogólną cechą rozwoju, usiłują wzmocnić i wzbogacić język pierwiastkiem ludowym — inaczej, niż w ubiegłych wiekach a świadomie.

Mnożą się też wszędzie roztrząsania, rozprawy i książki o języku i różnych jego stronach, dla szerokich kół przeznaczone, tak samo jak o sztuce i innych działach twórczości. Sami zawodowcy powinni się starać, aby przepaść, między nimi a resztą społeczeństwa leżąca, nie była przepaścią. Jeżeli mają co do powiedzenia, niech mówią, bo to jest ich obowiązkiem. Zawodowcy ruszają ramionami z politowaniem nad głupotą ogółu i jego niepowołanych zapatrywań i sądów w danych sprawach; ale skądże ogół ma mieć o tym lepsze wyobrażenie, jeżeli ci sami zawodowcy uważają za rzecz poniżej swej godności do niego się odzywać. Uczony ma skłonność żyć jak członek kolegium augurów: ogół mu się odpłaca, podejrzewając wartość jego zawodu, i często nawzajem się lekceważą. A ludz-

kość w ciężkiej pracy nad swym rozwojem nie może sobie pozwalać na zbytek, aby podział pracy stawał się egoizmem i wrogim odsuwaniem. Wszyscy wzajemnie muszą ze swej pracy korzystać: chodzi tylko o to, aby to korzystanie z całą świadomością ułatwiać i z dobrą wolą przeprowadzać.

Miesięcznik «Poradnik Językowy» wchodzi w nowy okres istnienia jako «Język Polski». Wyrósł z żywego ziarna gorącej troski o język ojczysty, rzuconego w macierzystą glebę polską: Jak mówić? Jak dobrze mówić po polsku? Co robić, aby mowa rodzinna rosła dalej prosto, bujnie i krzepko? Przez szereg lat odpowiadał «Poradnik» na te pytania, lepiej lub gorzej — bo nie ma doskonałych na tym świecie —, nawoływał i skupił dosyć liczne grono ludzi. Ma swoją zasługę. Przeglądając jego łamy i poruszane w nich wątpliwości i pytania sporne, a także odpowiedzi dawane, łatwo się przekonać, że główną ich przyczyną jest obok silnego wpływu języków niemieckiego i rosyjskiego na polski nieznajomość zasadniczych pojęć o języku. Najlepszą podstawą do rozstrzygania szczegółowych pytań, czy tak czy owak trzeba mówić, a przede wszystkim do samego rozsądnego s t a w i a n i a takich pytań, jest należyte pojmowanie zjawisk, składających się na pojęcie języka w ogóle. Z językiem jest jak z bardzo złożoną i misterną maszynerią: nauczyć się nią posługiwać nie jest rzeczą trudną, ale tylko ten, kto zda sobie jasno sprawę z jej składu i działania, może ją mieć naprawdę w opiece.

A język jest w dodatku wspanialszą i misterniejszą budową, niż najwspanialsze i najmisterniejsze dzieła artystyczne. Sam przez się, poza swym znaczeniem dla poszczególnych narodów, jest tak niesłychanie ciekawym i podziwienia godnym wytworem duszy ludzkiej i takim arcydziełem ludzkiej kultury, że nie przystoi człowiekowi zajmować wobec niego stanowisko czysto użytkowe. I wszyscy mają doń prawo, wszyscy są w języku t w ó r c a m i, pracownikami i artystami zarazem; złożyły się nań drzemiące w najpierwotniejszych duszach człowieczych siły i zdolności od najdawniejszych czasów; cała praca rozwojowa i cała poezja człowieka w nim się odbija, od półzwierzęcych stanów począwszy a na największych geniuszach i najpotężniejszych mistrzach słowa czasów nowożytnych skończywszy. Mają też wszyscy obowiązek, a im kto wyżej w kul-

turze stoi, im więcej także z języka czerpie i językowi dać może, tym większy, aby przypatrzyć się nareszcie temu wynikowi twórczej pracy niezliczonych wieków i pokoleń, zrozumieć raz język — zrozumieć i stąd nowych sił zaczerpnąć.

Otóż chcę, tak dobrze jak tylko mnie stać na to, przyczynić się do osiągnięcia owego zrozumienia językowej twórczości duszy ludzkiej w ogóle, polskiej w szczególności i w szeregu pogadanek o ten cel się pokusić. Mówię «pogadanek» tylko dlatego, aby pamiętać o przystępnym i swobodnym sposobie porozumiewania się z chętnymi. A nie dlatego, jakobym miał zamiar dawać czytelnikom tylko plewy z naszej mąki. Przeciwnie, chcę dawać mąkę, a jeżeli nie będzie najprzedniejszą, to już wina mego młyna. Ale sądzę, że to i owo przeczyta także ten i ów językoznawca nie bez korzyści.

## I. Język jako wytwór kultury[1]

Człowiek ma zawsze skłonność uważać język za coś niepojętego, prawie odrębnego i niezależnego od siebie. Musi się go przecież uczyć, nie może go dowolnie zmieniać, tysiące i miliony najróżniejszych ludzi mówi jednako lub prawie jednako. Tak też myśleli długo bardzo nawet ludzie z zawodu językiem się zajmujący, gramatycy i filologowie. Człowiek pierwotny uważa wprost język za jakieś tajemnicze, boskie istnienie; wyrazy znaczą dla niego prawie tyle co rzeczy; język jest darem bogów. Człowiek kulturalny inaczej, ale również dochodzi do jeszcze większego wyodrębnienia języka: bo pisze go i czyta, a więc widzi przed sobą. Ma grube tomy słownika i gramatyki, w których język jest zawarty. Sto i dwieście, i więcej lat temu tak samo prawie ten język w księgach wygląda. Nowożytne językoznawstwo zagłębiając się w istotę swego przedmiotu zrobiło wielki krok naprzód, w czym mu zresztą pomagała filozofia i psychologia, i zobaczono, że język istnieje przede wszystkim w duszy ludzkiej i że jest wytworem ludzkiej kultury. Ale do prawdy dojść nie łatwo. I nowsze językoznawstwo, mimo całego postępu, nie sformułowało sobie właściwie jeszcze jasno sprawy. Z jednej strony, rozważając, jak mały wpływ ma osobnik na wygląd

[1] Język Polski I, 1 (styczeń 1913).

języka, że mówiąc co dzień, krzycząc, łając, każąc sobie dawać jeść itd. bez końca nie rozmyśla się przecież zazwyczaj nad tym, jak się mówi i wymawia, że się nie troszczy o logikę w sposobie mówienia — otóż, rozważając to wszystko, językoznawstwo doszło do przekonania, że zmiany językowe, zwłaszcza fonetyczne, odbywają się nieświadomie. I to twierdzenie przeszło do podręczników naszej nauki, nawet przez bardzo wybitnych uczonych układanych. Jeżeli tak, to język byłby znowu czymś odrębnym od człowieka, od duszy ludzkiej. Jeżeli może się rozwijać bez udziału świadomości, no to jest oczywiście jakimś osobnym istnieniem, bo jeżeli służy do wyrażania najwyższych stanów świadomości, najsilniejszych napięć uczucia, najgenialniejszych myśli, metafizycznych pomysłów, a przy tym, choćby częściowo tylko, rozwija się nieświadomie, no to jest znowu czymś zgoła tajemniczym, niepojętym! Przekonanie owo musi być zatem mylne. To jedno. Są znowu bardzo znakomici i myślący językoznawcy, którzy twierdzą i bez znużenia powtarzają taką prawdę: język istnieje tylko w duszy mówiącego, poza nią, poza odnośnymi wyobrażeniami go nie ma, wszelkie związki i zmiany odbywają się właściwie tylko w duszy, to jest w myśleniu językowym, wszystko inne to złudzenie. Ale człowiek zwyczajny, mający zdrowe zmysły, nie może pojąć: jak to, przecież ja gadam, ruszam językiem i ustami, słyszę sam siebie, widzę i słyszę drugich, jak to samo robią, więc jakże języka nie ma poza duszą? To drugie. Wreszcie, rozważając język jako wytwór kultury ludzkiej, jako wynik kulturalnej pracy człowieka, jedni powiadają: język to jest przede wszystkim czynność, twórcza oczywiście, za każdym wyrazem, za każdym jego wymówieniem na nowo się odbywająca i to jest właściwa aktualność, właściwy język; drudzy zaś powiadają: język to twór kulturalny, rzecz przez czynność duszy stworzona. Tamci powiadają: język to przede wszystkim budowanie, ci: język to budowa. I jedno, i drugie mówią pierwszorzędni uczeni.

Te wszystkie określenia są jednostronne, ale zbliżają nas do prawdy. Tak się zawsze dzieje. Jak artylerzysta chcąc w cel ugodzić robi tak zwane widły i stara się pierwszy pocisk puścić krótko, przed cel, a drugi długo, poza cel i potem połowiąc odległość aż do skutku, wcześniej czy później celu dosięgnie, tak i nauka, o ile genialnym

rzutem oka, intuicyjnie, nie chwyci prawdy od razu, to ją takimi widłami — tylko nieświadomie — zagarnia. Prawda zaś, to jest istota rzeczy danej, leży w tych widłach. Tak i w naszym wypadku. Rzecz jest, jak zobaczymy, prosta, ale wtedy dopiero, kiedy się ją już uchwyci.

Język jest zupełnie oczywiście wytworem kultury ludzkiej czyli cywilizacji w szerokim tego słowa znaczeniu. Kulturę dzielimy zazwyczaj na duchową i materialną, zaliczając do piewszej np. religię, etykę, prawo, zwyczaje, literaturę, sztukę, do drugiej np. narzędzia, sprzęty domowe, ubranie, domy i wiele innych rzeczy. Język zaliczamy jużci bez wahania do kultury duchowej. Oczywiście: różnica między wyrazem lub zdaniem, w ogóle powiedzeniem jakimś, a stołkiem, butem, chomątem lub wozem jest niewątpliwa i wielka, tak samo jak między obrazem, wierszem lirycznym, modlitwą a wymienionymi przedmiotami kultury materialnej i tysiącami innych. Trudno też porównać język z jakim wielkim gmachem albo miastem, bo na raz i w c a ł o ś c i on istnieje w duszy człowieka tylko jako zdolność, sposobność powiedzenia wszystkich możliwych zwrotów, wyrazów, okresów, a więc jako całość nie jest nawet czynnością (cóż dopiero chwilowym wynikiem czynności!), tylko zdolnością urzeczywistnienia się w razie potrzeby. Wszystko to niby prawda, ale właśnie tylko «niby»: to są dopiero owe widły strzelającego.

Przede wszystkim jest rzeczą jasną, że nie ma mowy o jakiejś rzeczywistej g r a n i c y między kulturą tzw. materialną i duchową. Gdzież jest g r a n i c a między sztuką a rzemiosłem, między kolebą górską a katedrą kolońską, między bieleniem ściany a obrazem, między zygzakiem dziecka a portretem Rubensa, między łyżką a posągiem, między kamieniem rzucanym a działem maszynowym i tak dalej bez końca? Wszędzie mamy nieskończony i ciągły szereg rozwojowy form i tworów od najpierwotniejszych do najwyższych i tylko, gdy wezmę poszczególne twory szeregu, odległe od siebie, to wydają się czymś zupełnie różnym, i tylko, ponieważ nie widzę c a ł e g o szeregu, to poszczególne jego ogniwa nie łączą się na pozór ze sobą. Dla człowieka pierwotnego, który sypiał jeszcze pod drzewami lub na drzewach, w jaskiniach lub dołach, pierwszy szałas sklecony, pierwsza buda, z drzewa lub kamieni zrobiona, była ta-

kim samym arcydziełem, jakim były i są dla człowieka w tysiąc lat później jego świątynie i pałace. I tak dalej i dalej. To jedno. Uprzytomnijmy sobie teraz, że każdy wytwór kultury, choćby najpospolitszy i najmaterialniejszy, każda ława, szklanka, rzemień czy świeca, jest tylko każdorazowym, chwilowym i zewnętrznym produktem twórczości, mającej swą właściwą siedzibę w duszy. Konkretny wytwór jest tylko każdorazowym urzeczywistnieniem się pewnej psychicznej zdolności, nabytej i rozwiniętej. Zwracano nieraz uwagę na to, że gdyby jakieś społeczeństwo kulturalne, mniejsze czy większe, ale przedstawiające całość kultury, przenieść w kraj zupełnie pusty, w czyste pola, lasy i góry, byle tylko ta okolica posiadała naturalne warunki, to ono wcześniej czy później wytworzyłoby znowu całą tę kulturę, jaką posiadało. I na odwrót, gdyby plemieniu jakiemu tzw. dzikich dać europejską stolicę z całymi skarbami kultury w niej nagromadzonymi, to po jakimś czasie cała ta kultura zniknie. Bo konkretna kultura jest tylko szeregiem w nieskończoność powtarzanych wytworów psychicznego rozwoju. Jest zatem rzeczą jasną, że także język w obiektywnym znaczeniu, to jest cały zapas wyrazów, form i zwrotów, jest wytworem nabytego i rozwiniętego uzdolnienia językowego, tkwiącego w duszy, i odnośnych przebiegów psychicznych. Mówiąc, wymawiając zdania i wyrazy, lub je pisząc i słuchając drugich mówiących, to, co mówimy i słyszymy lub piszemy, jest już wytworem, ale spełniając odnośne czynności urzeczywistniamy tylko każdorazowo przebiegi psychiczne, spełniamy czynność wytwarzania, na mocy nabytej i istniejącej w naszych duszach sposobności czyli zdolności językowej. Tak samo jak malarz maluje portret lub obraz, muzyk swój lub obcy utwór wykonuje itd. bez końca. To drugie.

Zastanówmy się wreszcie nad tym, że każdy, choćby najogromniejszy i z najtrwalszego materiału zrobiony wytwór jest rzeczą przemijającą. Oczywiście, między piramidami egipskimi a ciastkiem z pianki, masłem lub papierem jest ogromna różnica, ale znowu nie ma różnicy zasadniczej. Wytwory kultury także pod względem trwałości i wielkości materiału przedstawiają nieskończony szereg od drobnych i chwilę tylko trwających przedmiotów do rzeczy, mogących przetrwać lat tysiące i zadziwiających ogromem.

A tylko, jeżeli z tego nieskończonego mnóstwa rzeczy, wytwarzanych przez człowieka, wyrwiemy z osobna daleko od siebie stojące przedmioty, wydają nam się czymś zupełnie różnym. I otóż: bańka mydlana jest niewątpliwie także tworem ludzkiej kultury, tak samo, jak kółka dymu tytoniowego, które z ust puszczamy; ale jakaż różnica między nimi a kamienicą lub ubraniem! tamte trwają moment tylko, te lata całe. A materiał językowy jest jeszcze lotniejszy niż bańki mydlane, bo jest nim powietrze w pewne drgania wprawiane, czyli dźwięk lub szmer określony. Mimo to, wszystko, co mówimy, skończywszy na najmniejszych wyrazach, składających się z jednej głoski, jest tak samo materialnym wytworem jak bańka mydlana lub kółko z dymu i tak samo w swej najistotniejszej zasadzie jak piramida Cheopsa lub przedmiot z metalu. Bo i te ostatecznie przeminą, to znaczy zmienią swoją formę. Jeszcze raz powtarzam: mimo że materiał, z którego tworzymy mowę, jest daleko delikatniejszy niż drzewo, glina, kamień lub kruszec, mimo że polega na urabianiu fali powietrznej i dla naszych zmysłów takie twory od razu przebrzmiewają, mimo to język i jego wyrazy i powiedzenia są rzeczywistością konkretną. To trzecie.

Z powyższego przedstawienia widać, jak pouczające jest postawienie i rozpatrywanie zjawisk językowych we właściwym związku. Porównanie z kulturą, pozornie bardzo odległą, bo materialną, pozwoliło nam już wyświetlić sobie dosyć zasadnicze pytania i z określeniem «język jest wytworem względnie wytwórczością kulturalną» połączyć treść właściwą i prawdziwą. Oczywiście jeszcze bliższe jest porównanie np. z grą albo inną sztuką, ale zestawienie z kulturą materialną rozświeca w sposób po części nieoczekiwany zjawiska językowe i w tej pogadance w dalszym ciągu na tym stanowisku się zatrzymam.

Z chwilą, kiedy człowiek coś wytworzył czyli nadał kształt zewnętrzny pewnym swoim wyobrażeniom, zamiarom, namysłom, w ogóle przebiegom psychicznym, to te twory *stają przed nim*, nastąpiła projekcja na zewnątrz owych zjawisk wewnętrznych. Równocześnie odbywa się zatem jakby wyodrębnienie tych rzeczy od człowieka, jest to niejako ich odłączenie od duszy i człowiek teraz spogląda na nie jak na części świata zewnętrznego, one działają na

jego zmysły, wywołują wrażenia i na podstawie tego urabia się wyobrażenie względnie pojęcie całkiem określone. Rzecz prosta, że to nie mija bez śladu, owszem, ma bardzo znaczny wpływ na dalszy rozwój, bo pierwotny zamiar twórczy i pierwotne, niezupełnie jasne, nieraz bardzo jeszcze niejasne wyobrażenie zamierzonego tworu i owo zupełnie określone wyobrażenie tworu już urzeczywistnionego kojarzą się silnie ze sobą, co oczywiście ma ważne następstwa. A mianowicie twór raz zrobiony, to jest jego wyobrażenie wysuwa się na plan pierwszy jako ustalenie owego pierwotnego zamiaru i pierwotnego niejasnego wyobrażenia i wskutek tego decyduje o dalszym rozwoju, nadaje mu kierunek. Dlatego to z jednej strony nie ma nic nowego pod słońcem w zakresie ludzkiej kultury, z drugiej zaś tak trudno opuścić przekazane wzory. Rozwój najrozmaitszych przedmiotów kultury, domów, sprzętów, narzędzi itd., najczęściej wykazuje ciągle ten sam zasadniczy motyw, to jest właśnie owo pierwsze, przez projekcję na zewnątrz ustalone wyobrażenie. Nieraz warunki dawno się zmieniły; można by stworzyć inny, daleko odpowiedniejszy temu samemu celowi i danym warunkom twór, a mimo to pierwotny wzór trwa dalej. Rozwój budownictwa, ornamentyki, narzędzi i sprzętów, zależnych pierwotnie, a do pewnego stopnia zawsze, od otaczających warunków i materiału, dostarcza mnóstwa przykładów. Ot, weźmy jeden prosty. Czy młotek okrągły, to jest złożony z osadzonej na trzonku kuli żelaznej, nie nadawałby się lepiej lub równie dobrze do wbijania gwoździ niż zwykły? Można by oczekiwać takiego kształtu tym bardziej, że pierwszym wzorem młota była ręka w pięść zaciśnięta; ale ponieważ materiałem, z którego pierwsze trwałe młoty robiono, był kamień, sposobny do łupania, a nie nadający się do kulistej postaci, ta okoliczność zdecydowała raz na zawsze o rozwoju tego narzędzia. Nasze kolumny świadczą po dziś dzień o starym typie, wzorowanym na azjatyckiej lub afrykańskiej palmie i utrzymanym, chociaż je zaczęto robić z kamienia, itd., itd. W całej kulturze obok celowego postępu mnóstwo wskutek tego przeżytków, siłą bezwładności wleczonych. To samo odnajdujemy w wysokim stopniu w języku: jego twory, raz ustalone, wpływają przede wszystkim niezmiernie na rozwój myślenia, dając płynnym wyobrażeniom twarde kształty, po wtóre

zaś decydują o dalszym rozwoju języka, często niekorzystnie, a w każdym razie osadzając w nim z biegiem czasu mnóstwo przeżytków. Czy rozróżnianie rodzajów w językach indoeuropejskich nie jest ciężarem bezcelowym przynajmniej w trzech czwartych swego zakresu? Ludy, oznaczające w swych językach w razie potrzeby rodzaj naturalny, ale zresztą nie znające tej kategorii, mają języki pod tym względem od naszych lepsze: dla nich jest też rzeczą niepojętą i śmieszną, że np. w polskim stołek jest niby samcem, ławka samicą, a krzesło dzieckiem. Ale kiedy pod wpływem pewnych warunków ustaliła się raz w językach indoeuropejskich forma rodzajowa przy pewnych rzeczownikach, to ten twór nadał raz na zawsze (a raczej na bardzo długo: niektóre języki indoeuropejskie, np. angielski, już się uwolniły od tego przeżytku) kierunek dalszemu rozwojowi wyobrażeń rzeczownikowych i ich wyrazów. W językach słowiańskich stałe i konieczne rozróżnianie czasowników dokonanych i niedokonanych jest bardzo często ciężarem niepotrzebnym, w innych znowu zbyt szczegółowe rozróżnianie różnych czasów przeszłych, ale twory raz ustalone wywierają swój wpływ, często jak widzimy niekorzystny. Czy nie jest bezcelowym zużywaniem siły konieczność mówienia np. w polskim języku: mój młodsz*y* brat jest wesoł*y*, pracowit*y*, przystojn*y* i odważn*y*, ale: moj*a* młodsz*a* siostra jest wesoł*a*, pracowit*a*, przystojn*a* i odważn*a*? Ta konieczna formalna zgoda określeń z podmiotem pod względem rodzaju, liczby i przypadku jest przeważnie lub zupełnie zbyteczna; Niemiec przynajmniej w orzeczeniu mówi jednako: mein Bruder ist gut, i: meine Schwester ist gut. W wielu językach afrykańskich rozróżnia się kilkanaście kategorii rzeczowników i każdy rzeczownik musi do pewnej klasy należeć, a odnośna cecha powtarza się w zdaniu także przy jego określeniach: to konsekwentne i bezmyślne rozszerzenie pierwotnych szczegółowych tworów na wszystkie dalsze jest znowu bezcelowe i uciążliwe. W jednych językach twory imienne przywaliły zupełnie wszystkie inne, sposób mówienia jest w nich urywany i luźny, a na odwrót są takie, gdzie znowu twory czasownikowe zdecydowały o dalszym rozwoju wyrażania się i wywołały niezmiernie ciężką budowę. I tak dalej bez końca. Powiedziałem, że język i języki są arcydziełami ludzkiej kultury: niewątpliwie, ale są w nich

także arcydzieła groteskowej prawie potworności. Stoi to na równi z takimi objawami ludzkiej kultury, jak obowiązkowe kaleczenie nóg u Chinek, obowiązkowe kaleczenie sobie skóry dla ozdoby, obowiązkowe fantastyczne fryzury, nadawanie pewnej postaci czaszkom u rozmaitych szczepów ludzkich itd., itd. Chłop rosyjski nosi koniecznie brodę, polski ją goli równie obowiązkowo, żeby przytoczyć prosty bliski przykład.

Inaczej się ubieramy na po domu, inaczej idąc w odwiedziny do znajomych, inaczej na uroczystą wizytę, bal lub posłuchanie. Rozmaicie się też zachowujemy, chodzimy, kłaniamy: inaczej siedzimy w domu po obiedzie, inaczej przy boku pięknej i światowej pani. I tak dalej i dalej. Oczywiście dlatego, że się znajdujemy w rozmaitych nastrojach, które także na zewnątrz z koniecznością się ujawniają; szczegółowa zaś zewnętrzna postać tych nastrojów, to że raz kładziemy żakiet, raz długi redęgot, frak itd., to już jest wynikiem ustalenia formy czyli zwyczaju albo mody, o cośmy przed chwilą zawadzili. Otóż te różne nastroje znajdują swój wyraz i w języku; rozróżnia się zazwyczaj typ mowy swobodny, codzienny i uroczysty, podniesiony, ale naprawdę jest cały szereg sposobów mówienia, tak jak jest cały szereg sposobów ubrania i zachowania. Nie mogę do kościoła lub na ulicę wyjść w kamizelce, na posłuchanie nie ogolony, za trumną w jasnym ubraniu: nie mogę też, mówiąc w jakimkolwiek uroczystym nastroju, wymawiać «bede, matke», a na odwrót na pytanie kogoś z domowników przy stole: czy będziesz jadł leguminę? wymówię odpowiadając «bede», a nie dobitnie «będę». Do znajomego powiem: masz dobre szkapy; sto razy w swobodnym nastroju wyrażę się: szkapa mi się spłoszyła, ale nie mogę powiedzieć, że cesarz pojechał gdzieś tam nie automobilem, tylko szkapami, że całe ćwiczenia odbył na szkapie, że pod hetmanem ubito szkapę. Wrócę do tego jeszcze później osobno, bo rzecz warta bliższego rozpatrzenia, ale w tej pogadance chcę przede wszystkim oświecić zjawiska językowe z punktu widzenia związku języka z kulturą także materialną i raczej nakreślić szereg (oczywiście nie wszystkich) zadań z tego wynikających, niż je szczegółowo omawiać.

Ponieważ zresztą znużyłem już może uważnego czytelnika, więc na zakończenie i na razie naszkicuję już tylko inne strony takiego rozpatrywania, aby dana wyżej zapowiedź, że na język to jest twory językowe można także patrzeć jak na twory materialnej kultury, nie wydała się gołosłowną.

Wyrazy i zdania, a z nimi cały język, zmieniają swą postać i znaczenie, rozwijają się i przeobrażają: a czyż narzędzia i sprzęty nie rozwijają się również? Zmienia się ich postać, materiał, zastosowanie, różniczkują się w nieskończoność podobnie jak wyrazy. Te same procesy psychiczne, które są czynne w rozwoju języka, działają także w rozwoju innych zakresów kulturalnych. Wyraz zmienia jak wiadomo często do niepoznaki pierwotne znaczenie, tak samo jak materialny twór kulturalny. Jakże daleko odbiegły nasze stołki, zydle i różne sprzęty od materiału, z którego się je robi i od pierwotnych kształtów: łyżka od dłoni zaokrąglonej, widelec od ręki z wyciągniętymi palcami, młot od pięści, a wszystkie trzy przedmioty od kawałka drzewa i metalu, z którego są zrobione; ornament od postaci zwierzęcej lub roślinnej, świątynie, pałace i domy od jaskiń i szałasów! Równie daleko jak *stół* od *ścielenia*, *ściana* od *Stein*, *nóż* od *nizania*, *pastor* od *pasterza*, *ksiądz* od *księcia*, *patrony* pocisków od *patronów* malarza pokojowego, a jedne i drugie od *patrona* itd., itd. Na dnie zaś tych przeobrażeń leżą te same zjawiska psychiczne, które przeobraziły twory kultury materialnej. Giną narzędzia i sprzęty, giną i wyrazy. Utrzymują się długo staroświeckie naczynia, ubrania, są i staroświeckie wyrazy i zwroty. Jeżeli nie znam aktualnego znaczenia wyrazu, to etymologiczne jego znaczenie nic mi nie pomoże i gdybym nie wiedział aktualnego znaczenia wyrazów *schody*, *płot*, *kręt* itd., itd., to etymologiczny ich związek z *chodzeniem*, *kręceniem*, *pleceniem* na nic mi się nie przyda. Obcy język, wyrazy obcego języka są mi bezużyteczne, są niczym, o ile nie wiem, co znaczą. To samo z tworami materialnej kultury. W wykopaliskach znaleziono i po muzeach umieszczono mnóstwo rzeczy, których przeznaczenia, to jest znaczenia nie wiemy: widzimy, że są z kości lub kamienia, tak i tak wyglądają, ale nie znamy ich aktualnego znaczenia i są dla nas tak samo głuche i nieme jak wyraz, własny

czy obcy, którego znaczenie zaginęło lub jest dla mnie chwilowo nie znane. Albo jak obok języka ogółu są języki techniczne zawodów, tak wobec narzędzi i sprzętów, używanych przez wszystkich, są narzędzia techniczne, dla innych niezrozumiałe.

Mógłby ktoś zwrócić mi uwagę, że te wszystkie paralele, chociaż rzeczywiście uderzające, nie są istotne, bo przecież wyraz sam przez się, jako pewne brzmienie, nic nie znaczy, i tylko jest znakiem, symbolem odnośnego wyobrażenia, że zatem nie podobna porównywać wyrazu z nożem, łóżkiem, dywanem. Ale po pierwsze jest mnóstwo materialnych wytworów, które również tylko jako znaki pewnych wartości psychicznych mają swe znaczenie: skrawek wstążeczki, gwiazdka z celulozy albo pióro jakiegoś tam ptaka same przez się cóż znaczą? ale umieszczone na surducie dostojnika, kołnierzu oficera, czuprynie wodza indyjskiego stają się odznaką ich godności. Po wtóre cóż znaczy jakikolwiek twór kultury sam przez się? W gruncie rzeczy tyle, co nic; absolutnego znaczenia nie ma, tylko względne, to znaczy to znaczenie właściwe, które ma dla odnośnego człowieka, czyli jest znakiem pewnej wartości psychicznej i służy do pewnego celu, przez człowieka wytworzonego. Zupełnie tak samo twory językowe. Kompleksy fonetyczne, zwane wyrazami, i głoski same przez się nic prawie nie znaczą, ale nie absolutnie nic, bo są; ale tak samo stół lub pióro do pisania dla dzikiego, który jada na ziemi i pisać nie umie, nic prawie nie znaczą, to jest nie absolutnie nic, bo są kawałkiem drzewa i metalu, ale nie to, co dla nas. Można na to wszystko jeszcze inaczej nieco spojrzeć, ale wracam do przerwanego wątku, a zarazem do końca tej rozprawki.

Przejmujemy, zapożyczamy wyrazy obce: to samo robimy z ubraniem, sprzętami, wynalazkami. A moda? Jej ścisły i ważny związek ze zwyczajem, głębokie znaczenie tych norm dla społeczeństwa? Otóż język i wyrazy podlegają i zwyczajom stałym i modom przelotnym równie dobrze jak ubranie, urządzenie domu, kapelusze i krawatki. Ale o tym wszystkim innym razem, jak i o wielu innych rzeczach, które rozmyślanie uczonego z języka dobywa.

## 2. Językoznawstwo a język literacki[1]

Językoznawstwo ma skłonność do lekceważenia i odsuwania od siebie języka literackiego jako wytworu sztucznego, filolog i w ogóle człowiek wykształcony przeciwnie jest skłonny uważać język ludowy, zwłaszcza narzecza, za popsuty i gorszy rodzaj języka piśmiennego; lingwistę ciągnie do narzecza, jako do tworu pełnego świeżości i drgającego życiem, filologa do języka literackiego jako do czegoś wyższego. Różnica tych zapatrywań sięga głęboko w przeszłość i rozwój filologii i językoznawstwa, a zarazem w istotę przedmiotu i dobrze jest przypatrzyć się bliżej tej sprawie.

Długie wieki filologia nie zajmowała się wcale językiem ludowym i narzeczami, patrząc na nie z góry i co najwyżej wyławiała z nich zapomniane i wyszłe z użycia powszechnego wyrazy dla objaśnienia równie wyszłych z obiegu i skutkiem tego niejasnych wyrazów, spotykanych w starych zabytkach piśmiennictwa. Tak filolodzy starożytni posługiwali się np. wyrazami cypryjskimi dla objaśnienia Homera, wyrazami sabińskimi i innymi dla wyjaśnienia różnych terminów rzymskich. Poza tym, przedmiotem ich zajęcia był tylko język literatury, i to tylko jako twór artystyczny, a nie sam w sobie jako jeden z objawów życia i kultury ludzkiej. Oczywiście zwracano też uwagę na język mówiony i na różnice między nim a językiem pisanym, ale zawsze tylko na ogólny język klasy wykształconej i robiono to tylko z powodu wyłaniania się spornych pytań co do poprawności pisowni, wymawiania, form lub zwrotów. W miarę powiększania się różnicy między językiem piśmiennym a ogólnie mówionym, oraz w miarę rozszerzania się liczebnego i przestrzennego warstwy tzw. wykształconej, pytania te się mnożyły — czego dowodem są np. dzieła późniejszych gramatyków rzymskich lub indyjskich — ale punktem widzenia i sposobem stawiania kwestii była zawsze i wyłącznie poprawność.

I to trwało długie wieki aż w głąb dziewiętnastego. Wprawdzie chrześcijaństwo złamało pogardę dla języków barbarzyńskich, zatem niepiśmiennych, i na widownię klasycznej i poklasycznej kultury wystąpiły z biegiem czasu liczne ludy, dotąd w mroku epok

[1] Język Polski I, 3 (marzec 1913).

przedpiśmiennych żyjące, ale z zasadniczej strony sposobu patrzenia się na język właściwie nic się nie zmieniło. Przejęto i przeniesiono po prostu na inne języki kąt widzenia starożytnych filologów, przejęto i przyswojono sobie żywcem system starożytnej gramatyki, a z chwilą, kiedy u poszczególnych narodów wyrabiał się i ustalał typ języka kulturalnego, względnie literackiego, patrzono się nań tak i zajmowano nim tyle, co i dawniej.

Rozwinęło się tymczasem nowożytne językoznawstwo w wieku XIX. Nie wchodząc w czynniki rozwoju, które to sprawiły, stwierdzimy, że zasadnicza różnica między językoznawczym a filologicznym zajmowaniem się językiem, tak jak te dwa sposoby badania rzeczywiście się rozwijały i rozwinęły, leżała, a po części i dziś leży w odmiennym stanowisku wobec języka. Językoznawstwo wzięło za przedmiot badania język sam w sobie, język jako funkcję i wytwór duszy względnie kultury ludzkiej, nie oglądając się na literaturę. Ewolucja zapatrywań odbywała się jednak powoli i zasadnicze stanowisko nie od razu się zmieniło.

Językoznawstwo indoeuropejskie, powstawszy z początkiem wieku XIX, przejęło opracowany dotąd przez filologię, a raczej przez rozmaite filologie materiał: indyjski (sanskrycki), grecki, łaciński, germański itd. Dopatrzywszy się związku genetycznego między całym szeregiem języków Europy i Azji i rozpatrując systematycznie i szczegółowo te związki i ich rozwój, musiało z konieczności zwrócić uwagę na przeobrażanie się konkretnych zjawisk językowych, głosek, form, znaczeń itd., i starać się ujmować te zmiany w szeregi, grupując je wedle cech wspólnych. Spostrzeżono z jednej strony znaczną prawidłowość w tych zmianach i odpowiednikach między jednym językiem a drugim, z drugiej zaś liczne odstępstwa, czyli to, co znano i dawniej, tylko w znacznie ciaśniejszym zakresie, jako regułę i wyjątek. I dosyć długo obracało się językoznawstwo w tych ramach, kładąc podstawy historyczno-porównawczej gramatyki języków indoeuropejskich, a różniąc się od filologii klasycznej głównie tylko szerokim zakresem przedmiotu i rozległością historycznego widnokręgu, niewiele zaś swym zasadniczym stosunkiem do przedmiotu. Zwolna dopiero uświadomiono sobie, że przede wszystkim trzeba koniecznie wniknąć głębiej w istotę badanego przedmiotu,

a najlepszym dowodem, z jaką trudnością to się działo, jest okoliczność, że to nowe stanowisko, jasno określone i wyrażone, wywołało w ósmym dziesiątku lat zeszłego wieku wśród indoeuropeistów rodzaj rewolucji.

Wówczas to powiedziano sobie między innymi, że dla zdania sobie sprawy z istoty zjawisk językowych jest rzeczą nieodzowną a jasną jak słońce, aby się zwrócić do języków żywych, zatem dostępnych badaniu w całej pełni, przede wszystkim zaś do języka ojczystego, jako takiego, który badaczowi jest najdokładniej, aż do najdrobniejszych odcieni znany, a zarazem, który jest dla niego żywym w najwyższym stopniu. Żądanie i stanowisko niewątpliwie słuszne. To była jedna droga, po której zaczęto schodzić ostatecznie do narzeczy. Po wtóre: dla samych podstaw historycznej gramatyki języków indoeuropejskich było rzeczą bardzo ważną ustalenie ich rozwoju fonetycznego, stwierdzenie, jakie zmiany głoskowe w nich się odbyły, czyli ustalenie tak zwanych (nieszczęśliwie) praw głosowych. Zauważono przy tym, że liczne nieraz odstępstwa od jakiejś zmiany fonetycznej polegają nie tylko na tym, że działanie owej tendencji fonetycznej zostało wstrzymane lub usunięte przez inną tendencję fonetyczną albo przez działanie tzw. analogii, to jest wyrównywania powstałych różnic fonetycznych pod wpływem pokrewnych form lub wyrazów (np. w polskim *żonie* zamiast dawniejszego, fonetycznie regularnego *żenie*, pod wpływem obocznych form *żona*, *żony*, *żonę*, *żoną* itd.), ale często także wskutek mieszania różnych właściwie narzeczy. Np. dosyć liczne w ogólnym języku greckim, polegającym w zasadzie na narzeczu attyckim, ᾱ (*ā*) zamiast oczekiwanego wedle znanej tendencji fonetycznej tego (i jońskiego) narzecza η (*ē*) pochodzą także stąd, że do tego ogólnego języka dostały się różne wyrazy doryckie lub eolskie, gdzie tej zmiany fonetycznej nie było. A to przecież, mówiono sobie, nie jest rzecz właściwie naturalna. Ba, pominąwszy pewną ilość wyrazów, wziętych po prostu jako terminy techniczne, np. doryckie λοχᾱγός, spotykamy w dramacie attyckim w chórach co chwila doryckie ᾱ, a przecież żaden Ateńczyk tak naprawdę w życiu codziennym nie mówił. A jeśli się przypatrzymy jakiemu dialektowi żyjącemu, to spostrzeżemy w nim zadziwiającą prawidłowość w przeprowadzeniu tendencji fonetycznych.

Zarysowała się zatem niby sama z siebie różnica między naturalnym a kulturalnym stanem języka. I powiedziano sobie, że wprawdzie żaden z języków indoeuropejskich wraz ze swymi narzeczami nie przedstawia stanu nie dotkniętego jeszcze przez kulturę, ale im jaki język jest temu stanowi bliższy, tym mniej w nim będzie wyjątków od praw głosowych. Przy sposobności obrachunku krytycznego i zasadniczego, jakie przeprowadzało nowsze językoznawstwo ze swymi poprzednikami, powiedział Brugmann Curtiusowi co następuje:

«Zaleciłbym Curtiusowi zamiast się zwracać do książek, w których przecież jest prawie zawsze mowa tylko o minionych fazach językowych, dostępnych zatem tylko poprzez zaciemniające medium pisma, aby się raz poinformował u żywych narzeczy ludowych, albo wprost, albo z książek, w których są naukowo dokładnie przedstawione. Przypuszczam, że się zadziwi, jak regularnie, w porównaniu z językiem piśmiennym, jest tu utrzymany ten sam kierunek zmian fonetycznych» (Brugmann, Zum heutigen Stand der Sprachwissenschaft, 1885, str. 64 nast., przypisek).

I tu dochodzimy do jądra kwestii. Brugmann wprawdzie mówił wyraźnie, roztrząsając wzajemny stosunek filologii i lingwistyki:

«Nie więcej uprawnione jest twierdzenie, z którym i dziś jeszcze często się spotyka zarówno wśród filologów jak lingwistów, że do filologii należy z istoty rzeczy badanie strony kulturalnej (Culturseite), a do lingwistyki badanie strony naturalnej (Naturseite) języka. Przez stronę kulturalną rozumieją traktowanie języka w duszy i ustach ludzi wykształconych, zwłaszcza zaś w literaturze. Za stronę naturalną uważa się natomiast postać języka w duszy człowieka naiwnego, to znaczy zwykły, naturalny sposób mówienia człowieka prostego. Tu trzeba przyznać, że dotychczas filologia badała rzeczywiście więcej ten wyższy, a lingwistyka ten niższy sposób mówienia. Ale też tylko tyle.

Jeżeli filolog z dawna zwraca uwagę przeważnie na język kultywowany, to robi to z powodu jego stosunku do literatury oraz ponieważ się stara uchwycić indywidualność każdego pisarza z osobna. Ale nie jest to nic wyłącznie filologicznego. Językoznawstwo samo przez się wymaga, aby badacz rozpatrywał życie języka aż

do jego najbardziej swoistych rozgałęzień. Wszakże każdy językowy wytwór (Schöpfung) jest dziełem jednostki, wszystko jedno czy to się da rozpoznać z przekazanej postaci, czy nie. A chociażby jednostka mówiła i pisała nie wiem jak szczególnie, chociażby udział jej refleksji, zwłaszcza artystycznej, w jej produkcji językowej był nie wiedzieć jak wielki, to jej twórczość językowa zależy zawsze od tych samych psychicznych i fizycznych zasadniczych czynników jak u każdego innego, a zatem jest równie dobrze przedmiotem badania językoznawstwa, jak jakiekolwiek inne mówienie. Jeżeli porównawczy lingwiści dotychczas zajmowali się przeważnie stroną naturalną, to dlatego, że historycznojęzykowe badanie powinno od tej strony zaczynać. Zanim się można zwrócić do indywidualnych kształtowań, nieznacznie tylko odbiegających od całości, od jej przeciętnego poziomu, musi się stwierdzić zasadnicze fakty i ogólne zarysy rozwoju językowego. Jest przy tym rzeczą naturalną, że naprzód się uwzględnia tę stronę rozwoju językowego, w której działanie oboczne czynników jest najmniej złożone, gdzie zatem te czynniki najłatwiej dadzą się z osobna oglądać. Tą stroną jest właśnie zwykła codzienna mowa. Językoznawstwo indoeuropejskie jest jeszcze zanadto w początkach, abyśmy mogli od tego swego najbliższego zadania częściej, a nie tylko przygodnie, odstępować i zajmować się zawilszymi pytaniami języka hodowanego. W przyszłości będzie się jednak musiało i na nie zwrócić szczególną uwagę. Oczywiście filolog jako taki powinien także stronę naturalną uwzględniać, tak samo jak on, np. jako archeolog, ma badać nie tylko rozwój budowy świątyń i innych rodzajów artystycznej architektury, ale także rozwój prostego domu mieszkalnego.

A zatem chodzi tu tylko o podział pracy, który zresztą ani był kiedykolwiek zupełny, ani będzie się mógł stale utrzymać w tym stopniu co dzisiaj. Nie podkreślano by zresztą tak różnicy między filologicznym a lingwistycznym badaniem języka, gdyby nie to, że udział refleksji w mowie kultywowanej albo uszlachetnionej w porównaniu z naiwną mową przedstawiano sobie większy, niż jest naprawdę» (w przytoczonej książce, str. 19 nast.).

To stanowisko zajmuje Brugmann i dzisiaj w najogólniejszej zasadzie. Ale podział pracy wydaje mu się już stałym, prawie ko-

nicznym. Z jakości zadania porównawczych językoznawców wynika, że na pewne strony życia językowego nawet w starszych epokach, którymi się przeważnie zajmują, mało zwracają uwagi. Przede wszystkim na indywidualne używanie języka w literaturze. W tym względzie stwierdza dziś Brugmann krótko i stanowczo:

«To, co porównawczy indoeuropeista jako taki dobywa, rzuca światło przede wszystkim na ogólny usus językowy danego narodu, na kształtowanie się języka w duszy człowieka prostego. To zaś, jak na podstawie codziennej, naturalnej mowy przyszło do szczególnego jej kształtowania, jako języka literatury danego narodu, jak znowu poszczególni pisarze z tym językiem się obchodzą i jakie są wzajemne stosunki między językiem codziennym a piśmiennym, to pozostawia się specjaliście» (Grundriss der vergleichenden Grammatik der indogermanischen Sprachen, $I^2$ 1897, str. 31). Brugmann mówi wprawdzie bezpośrednio dalej:

«W ten sposób istnieje w badaniu języków indoeuropejskich podział pracy, stojący w ścisłym związku z kierunkiem rozwoju, jaki nauka z dawna miała i mieć musiała. Czy przy tym jednostka zakreśla sobie szerzej czy ciaśniej granice badania, w każdym razie wszyscy pracujący na tym polu muszą mieć świadomość związku między poszczególnymi częściami, świadomość tego, że wszyscy razem pracują nad wielkim zadaniem wyjaśnienia dziejów indoeur. języków i skazani są w najrozmaitszych kierunkach na pomoc wzajemną, a zarazem tego, że wszyscy jednako mają się kierować ustalonymi wynikami nauki o zasadach rozwoju językowego, a z drugiej strony także przyczyniać się do postępu tej nauki, szukając w szczegółach czynnika ogólnego». Te słowa osłabiają nieco znaczenie owego podziału pracy, ale nie bardzo; zresztą nie o to idzie.

Otóż prawie w całości można się pisać na te zapatrywania, że w gruncie rzeczy zadanie filologa i lingwisty jest jednakie, a zmienia się tylko stosownie do wybranego zakresu badania oraz koniecznego podziału pracy.

Przytoczone słowa Brugmanna z r. 1885 wydają się takie rozumne, wszechstronne i nieuprzedzone, że zarówno filolog jak językoznawca przyklasnąć im może. A jednakowoż pozostały one tylko na papierze i prawie u wszystkich lingwistów, wielkich i ma-

łych, stwierdzić można co najmniej bagatelizowanie języka literackiego. Weźmy parę wyznań z ostatnich czasów. Znany badacz języka rumuńskiego Weigand mówi à propos swego wielkiego atlasu lingwistycznego rumuńszczyzny tak:

«W Niemczech, Francji lub Włoszech byłoby rzeczą niemożliwą wynaleźć ludzi, zupełnie wolnych od wpływu języka literackiego. Nie trzeba tylko sądzić, że wystarcza pytać analfabetę, aby usłyszeć naturalnie rozwinięty dialekt. W krajach bardziej kulturalnych nie ma już w ogóle takich narzeczy. Zapas wyrazów i wymowa uległy wpływowi mniej lub więcej sztucznego języka piśmiennego nie tylko przez szkołę i gazety, ale jeszcze więcej przez obcowanie — nawet w najodleglejszych okolicach. Ale na obszarze rumuńskim panują stosunki zasadniczo różne. Cały język literacki jest młody i zaczyna dopiero teraz z miast wnikać w szerszych rozmiarach do języka ludowego przez obcowanie, zwłaszcza zaś służbę wojskową. Wpływ szkoły jest jeszcze bardzo mały, poza Królestwem Rumunii w ogóle żaden. W całej Besarabii, w Marmaroszu, w różnych ustronnych okolicach górskich Siedmiogrodu i Banatu mówi chłop rzeczywiście jeszcze czystym językiem ludowym» (Weigand: Fünfzehnter Jahresbericht des Instituts für Rumänische Sprache zu Leipzig 1909, str. 135).

A w innym miejscu: «W ogóle, jeżeli chcemy rozwinąć pytania o zmianach językowych, tworzeniu się narzeczy, granicach dialektycznych, mieszaniu się narzeczy itd., musimy się uwolnić od rozpatrywania języków piśmiennych. Powstanie języka literackiego jest osobną sprawą, którą na każdym obszarze osobno trzeba załatwiać, ponieważ panowały szczególne warunki, które trzeba wyjaśnić» (w przytoczonym miejscu, str. 145).

Jeden z młodszych językoznawców, dobrze zresztą przygotowany, Jokl powiada znowu: «...rozróżnianie języka poprawnego (Hochsprache) od pospolitego (Vulgär- oder Trivialsprache) ...może służyć do celów estetycznych, stylistycznych, literackich, ale dla badania językoznawczego, którego przedmiotem jest «strona naturalna» (Naturseite), a nie «kulturalna» (Kulturseite) języka, nie ma tego znaczenia» (Indogermanische Forschungen XXVII, 303).

Appel stwierdza:

«Język książkowy, literacki jest w pewnej mierze wytworem sztuki.

Lingwista jest skłonny upatrywać tu spaczenie naturalnego rozwoju jednego z narzeczy miejscowych pod wpływem czynników kulturalnych, sztucznych, pewnego stopnia uświadomienia w rzeczach językowych.

Filolog uwydatnia, podkreśla to pielęgnowanie języka literackiego przy pomocy wysilków indywidualnych wobec przyjaznych warunków politycznych i innych, w kraju i z zewnątrz...» (Stanowisko językoznawstwa pośród innych nauk, 1913, str. 24).

I trzeba powiedzieć: nic dziwnego. Nic dziwnego w tym przeciwstawianiu czystego, naturalnego języka ludowego a sztucznego piśmiennego, skoro na dnie leżą zapatrywania zasadniczo fałszywe. Brugmann mówi, że żadne ze znanych indoeuropejskich narzeczy nie przedstawia całkiem czysto «stanu natury» (Naturzustand) i że między narzeczami, temu stanowi najbliższymi, w których bezwzględną prawidłowość rozwoju fonetycznego można stwierdzić niezliczoną ilość razy, a narzeczami, najbardziej oddalonymi od owego stanu, w których tę regularność fonetyczną dotąd rzadziej wykazano, są tylko różnice stopnia a nie rodzaju (Grad- względnie Artunterschiede, to znaczy: jest między nimi tylko różnica ilościowa, a nie jakościowa). (Zum heutigen Stand der Sprachwissenschaft, str. 64 nast.). Na takie ujęcie różnicy zgoda, ale nie podobna się godzić na to ciągłe podkreślanie naturalności jako cechy, właściwej językowi ludowemu, a sztuczności jako cechy języka piśmiennego.

1. Każdy język, choćby, wedle określenia lingwistycznego, najnaturalniejszy, język pierwszego lepszego szczepu zgoła niepiśmiennego, wykazuje także ten typ, który byśmy nazwali «literackim», piśmiennym, czy wyższym, niecodziennym, a zatem niby «sztucznym».

Przykładów jest pełno. Weźmy wydaną niedawno przez naszą Akademię Umiejętności książkę B. Piłsudskiego: Materials for the study of the Ainu language and folklore, 1912. I cóż widzimy? Ten szczep, żyjący na Sachalinie, te dzieci przyrody, którym obce jest

pismo, mają swoją «literaturę», tak jest, rzeczywistą «literaturę», starszą i nowszą, z najrozmaitszymi działami i rodzajami, prozaiczną i wierszowaną. I w zgodzie z tym język także «literacki, piśmienny», zwłaszcza także język starszy, z całym zasobem wyrazów, form i zwrotów, w życiu codziennym zgoła nie używanych, wielu Ajnom nawet nie znanych. I to samo wszędzie w Azji, Ameryce, Afryce i Oceanii, nawet u «najdzikszych» szczepów, jak się o tym łatwo z olbrzymiej odnośnej literatury przekonać można. Żeby przytoczyć jeszcze jaki przykład, nam Polakom zbiegiem okoliczności bliższy, wskażę na poezję Jakutów, której próbki dał Sieroszewski w swej znanej książce.

I tak samo było zawsze. Tacyt pisze o Germanach: «Celebrant carminibus antiquis, quod unum apud illos memoriae et annalium genus est, Tuistonem deum terra editum et filium Mannum originem gentis conditoresque» (Germania 2). Albo: «Fuisse apud eos et Herculem memorant, primumque omnium virorum fortium ituri in proelia canunt. Sunt illis haec quoque carmina, quorum relatu, quem barditum vocant, accendunt animos futuraeque pugnae fortunam ipso cantu augurantur» (tamże 3). A przecież był to lud, wówczas jeszcze bardzo niby w pierwotnym stanie żyjący: «Ipse eorum opinioni accedo, qui Germaniae populos nullis aliarum nationum conubiis infectos propriam et sinceram et tantum sui similem gentem extitisse arbitrantur» (tamże 4). I wiele innych podobnych świadectw można przytoczyć. Tak było zawsze i wszędzie, tak jest i dzisiaj. Długie wieki żyły bohaterskie pieśni, podania historyczne i mityczne u Greków, Hindusów i tak dalej bez końca tylko w pamięci, zanim je zapisano, ale to była rzeczywista «literatura», zanim powstała literatura p i s a n a. I dziś wśród ludów cywilizowanych, w sercu Europy, jest jeszcze to samo: idźmy na odludne Polesie lub indziej, a znajdziemy tam u ludu, zgoła niepiśmiennego, całą obfitą literaturę i język także «literacki» obok codziennego. I inaczej być nie może, bo

2. k a ż d y s z c z e p, c h o ć b y w e d l e p o s p o l i t e g o o k r e ś l e n i a n a j p i e r w o t n i e j s z y, m a z a s o b ą t y s i ą c e i t y s i ą c e l a t r o z w o j u k u l t u r a l n e g o: j a k i e j ś s p e c i e s c z ł o w i e k a

«pierwotnego, dzikiego, w stanie przyrody zostającego» nie znamy, ludów bez kultury nie ma.

Wystarczy zatrzymać na tym nieco swą uwagę, aby zdać sobie z tego sprawę. Zapomina się przy tym pospolicie o jednej ważnej rzeczy, mianowicie o tym, że ludy tzw. pierwotne mają inną po części kulturę, niż ludy cywilizowane, mają mnóstwo rzeczy w zakresie zarówno kultury materialnej jak duchowej, któreśmy przeważnie dawno, dawno przebyli i o nich zapomnieli od wieków, ale po części takich także, którycheśmy nigdy nie mieli, które nam są obce i nie znane, podobnie jak na odwrót nasza kultura jest im obca i niepojęta. I nie można twierdzić, jakoby absolutnie nic z tej nam obcej kultury ludów, zwanych «niecywilizowanymi», nie miało może wartości i na przyszłość, jakoby ta kultura, do której się dzisiaj doszło, była w całej swej rozciągłości i we wszystkich swych szczegółach jedynie możliwą i dobrą. W każdym razie można i trzeba rozróżniać różne epoki rozwojowe, ludy paleo-, medio- i neokulturalne, ale nie mówić o człowieku z kulturą i bez kultury — oczywiście o ile mamy na myśli istotne określenia naukowe.

3. W szczególności jest nonsensem mówić o języku w stanie «naturalnym», czy jak tam i przeciwstawiać go językowi «kulturalnemu», czy jak tam.

Język jest specyficznym tworem ludzkiej «kultury» i mówić o języku pozostającym w czystym stanie przyrody jest contradictio in adiecto.

4. Wszystkie czynniki, składające się na twórczość językową, codzienną i artystyczną, są obecne i działają równie dobrze u najdzikszych jak i najbardziej cywilizowanych ludów, bo płyną z zasadniczej istoty psychicznej.

a. Wszędzie jest «literatura», wszędzie jest język także «literacki» czy «sztuczny», wszędzie jednostka, bardziej obdarzona, wpływa indywidualnie, bo wszędzie i zawsze jest cale bogactwo nastrojów i falowań duszy, chęć wypoczynku i wzniesienia się nad szarą i ponurą powszedniość, chęć zaznaczenia swego «ja» i wzniesienia się nad innych, wszędzie są radości, bóle i ogromne tęsknoty, pragnienie swobodnej igraszki i przeraźliwe pytania o życiu i śmierci,

człowieku i bogu. «Dziki» może bardziej potrzebuje przebywać często w sferze «artystycznej, literackiej» niż ktokolwiek z nas: jakżeby on bez tego wytrzymał to bezlitosne życie, to życie, które charakterystyczny zwrot Ostiaków nazywa «ostrym jak brzytwa».

b. Wpływ szkoły i kościoła na język ludowy, wpływ języka piśmiennego na codzienny wydaje się ludziom czymś bardzo «sztucznym», w «naturalnych» warunkach nie istniejącym. Szczytem «sztuczności», możliwym tylko w skomplikowanych warunkach cywilizacyjnych, wydaje się ludziom wpływ nie już innego narzecza, ale języka zgoła obcego, a nawet używanie wprost obcego języka jako «piśmiennego», jak dajmy na to łaciny w Europie średniowiecznej albo staro-cerkiewno-słowiańskiego dawniej u Rumunów. Wszystko to bywa jednak równie często u ludów «dzikich», u «barbarzyńców», jak tego przykładów garściami można przytaczać (tylko bez dodatku «pisma» i «pisanej literatury»); może nawet częściej i pospoliciej i konieczniej, bo stan i właściwość psychiki, odrębność i odporność psychiczna ludów bardziej pierwotnych są chwiejniejsze, niż na wyższych stopniach cywilizacji.

Weźmy z jednej strony ogromny, przygniatający prawie wpływ języka niemieckiego i rosyjskiego na Polaków w Prusiech i Rosji, odbywający się nie tylko siłą faktycznych stosunków, ale i świadomie prowadzony, poparty wszelkimi środkami, jakie tylko te państwa i narody mają do rozporządzenia, i rezultaty tego, a z drugiej strony rozszerzanie się języka łacińskiego w starożytności i zapytajmy, czy dzisiaj taka szybka i dokładna romanizacja byłaby możliwa. Wiemy z historii, że całe szeregi plemion germańskich wynarodowiły się językowo pod wpływem wyższej wówczas kultury celtyckiej i porównajmy z tym miarę późniejszego wpływu Francji na Niemców. Weźmy pierwszą lepszą okolicę Azji lub Afryki: wszędzie widzimy, że język sąsiadów, uważany z jakiegokolwiek powodu za «wyższy», z łatwością się szerzy, staje się językiem «wyższym», tj. niby «piśmiennym». W zasadzie to samo obserwujemy i dzisiaj w Europie: chłop, robotnik daleko łatwiej przejmuje język obcy i w ogóle daleko łatwiej się wynaradawia, niż człowiek wykształcony. I to jest naturalne, bo stopień odporności psychicznej, siła poczucia odrębności narodowej stoi w prostym stosunku do

rozwoju i bogactwa treści, składającej się na życie psychiczne człowieka.

Można zatem zapytać: czy raczej stosunki językowe ludów pierwotniejszych nie są po tym względem «sztuczniejsze» niż u ludów cywilizowanych?

c. Mówi się, że w języku piśmiennym większą rolę gra udział świadomości niż w mowie codziennej i że dlatego ten pierwszy nie przedstawia prostych, normalnych warunków rozwoju. Przede wszystkim w ogóle i w zasadzie mówienie jest objawem tylko świadomym, a że się odbywa przeważnie automatycznie, to co innego — ale nie chcę zatrzymywać się teraz tutaj na tej stronie pytania i podnoszę tylko twierdzenie postawione, że świadomy wpływ na kształtowanie języka piśmiennego ze strony piszących itd. jest większy niż takiż wpływ na język ludowy, codzienny ze strony mówiących. Mnie się to wydaje mocno wątpliwe. Po pierwsze, takich znacznych różnic indywidualnych we wszystkich zakresach zjawisk językowych, jakie po wiele razy stwierdzono nawet w bardzo małych językach szczepowych, nawet w narzeczach jednej osady, nie bywa zazwyczaj w zwartych grupach ludzi wykształconych: zjawiają się tylko przelotnie przez przypływ z zewnątrz i wnet znikają. Niewątpliwie ogólny stosunek jest taki, że im dalej w tył w rozwoju kulturalnym człowieka, tym większe zróżniczkowanie jednostek, a tym mniejsze zróżniczkowanie grup — im zaś dalej naprzód w tym rozwoju, tym większe zróżniczkowanie grup, a tym mniejsze jednostek.

Ale mamy i bezpośrednie, jasne dowody na to, że udział «świadomości» w stosunku do języka nawet u ludów «pierwotnych», a nie tylko u ludu «prostego», jest większy niż u warstw wykształconych. Po całym świecie są bardzo rozpowszechnione języki czyli sposoby mówienia «tajne» czyli zupełnie «sztuczne», już to polegające na obcym materiale językowym, już to na całkiem «świadomych» nowotworach w obrębie wyrazów, już to — bardzo pospolicie — na wstawianiu rozmaitych zgłosek wedle rozmaitych systemów. Używają tych języków nie tylko różne grupy zawodowe, myśliwi, rybacy itd., mężczyźni i kobiety, ale także młodzież, dzieci itd., itd. Czy to nie jest świadome przekształcanie języka i świadome od-

noszenie się do niego? Języki stanowe, socjalne są także u ludów cywilizowanych, ale grają stanowczo mniejszą rolę, bo mniejsza jest potrzeba odgradzania się jednej grupy od drugich, z wyjątkiem złodziei itp., a już ogólne używanie np. przez młodzież sztucznego sposobu mówienia spotyka się tu częściej tylko u ludu wiejskiego.

Jest jeszcze jeden objaw świadomego działania na język, w takich rozmiarach nie znany na wyższych stopniach kultury, a wykazujący zarazem inne dwa czynniki, wpływ jednostki oraz stopień znaczenia, przypisywanego językowi, rzekomo daleko większe u ludzi wykształconych i daleko więcej się odbijające w językach piśmiennych, które także dlatego mają być «sztuczniejsze». Jest to tzw. tabu językowe, rugujące np. po śmierci wodza plemienia wszystkie wyrazy przypominające jego imię, wskutek czego zastępuje się je innymi; podobnie na wyprawach myśliwskich lub rybackich systematycznie unika się nazywania zwierząt, na które się poluje, zwykłymi wyrazami; opisuje się je i tamte z biegiem czasu znikają. Ten czynnik, znany pod nazwą «eufemizmu», działa oczywiście i na wyższych stopniach kultury, ale wynika z innych przeważnie nastrojów, a w żadnym razie nie działa tak bezwzględnie, jak u «dzikich». Widać też z tego faktu, że człowiek «pierwotny» daleko większe znaczenie przypisuje językowi, jego wyrazom, niż człowiek «kulturalny»: dla «dzikiego» wyraz, pojęcie i rzecz sama, to prawie jedno i to samo. Co do wpływu jednostki, to dodam jeszcze: jest niewątpliwe i jasne, że im pierwotniejsze stosunki kulturalne, tym on bywa i musi być silniejszy z racji już poruszanych, a które czytelnik tu dodać sobie może. I przenosząc się w stosunki dzisiejsze Europy powiem: najgenialniejszy i najbardziej wzięty pisarz nie wpływa tak na język swego czytającego społeczeństwa, jak pierwszy lepszy parobek, wracający do wsi z wojska, na język swego środowiska, jeżeli tylko jest jednostką po swojemu wybitną i wpływową. O ileż wszechstronniejszy, silniejszy i dłuższy jest wpływ języka niemieckiego w Galicji na warstwy wykształcone niż na lud wiejski, a mimo to nasz język codzienny jest czyściejszy niż język robotnika lub chłopa. Jeżeli na nas działa silnie w pewnych zakresach życia językowego, to za to na lud w innych daleko silniej.

5. Jest stanowczo złudzeniem ogólnikowe twierdzenie, że w naturalnej mowie ludowej, w narzeczach zwłaszcza bardziej odosobnionych, panuje większa stałość i konsekwencja w przeprowadzeniu tendencji fonetycznych czyli tzw. praw głosowych, niż w językach piśmiennych. W niektórych względach tak, ale za to w innych przeciwnie! W ustronnym narzeczu, językowo bardziej samemu sobie pozostawionym, będzie zapewne mniej odstępstw fonetycznych od pewnej tendencji, spowodowanych przejmowaniem wyrazów z narzeczy innych lub języków obcych, i w tym kierunku prawidłowość będzie większa. Ale za to indywidualne zróżniczkowanie zarówno mowy poszczególnych jednostek jak poszczególnych wyrazów jest daleko większe niż w społeczeństwie mówiącym językiem piśmiennym i w tym kierunku prawidłowość będzie mniejsza. Bo wprawdzie życie pewnego szczepu w jakiejś ustronnej okolicy może być i często bywa kulturalnie prostsze, powolniejsze, jednolitsze niż ludności stolicy europejskiej, ale za to psychika tam jest w ogóle chwiejniejsza i luźniejsza. Stąd to fakt niewątpliwy, ciągle stwierdzany, że najpospolitsze wyrazy mają w narzeczach ludowych najrozmaitszy wygląd wbrew ogólnym tzw. prawom głosowym, w nich działającym.

6. Nie ulega w ogóle wątpliwości, że im prostsze i pierwotniejsze jest życie językowe danej grupy ludzkiej, tym szybszą i gwałtowniejszą jest jego ewolucja w wielu kierunkach (nie wszystkich), także w fonetyce. Wystarczy porównać rozwój nowszych języków europejskich, albo indoeuropejskich w ogóle lub semickich z rozwojem języków ugrofińskich lub afrykańskich z grupy bantu. Taka stałość i takie umiarkowanie rozwoju językowego, jakie widzimy w nowożytnej Europie, są niemożliwe w Afryce lub Australii. Oczywiście wielką rolę gra tu usposobienie ogólne ludu i jego stan socjalny: prosta rzecz, że lud z natury leniwszy, bierniejszy, mniej ulegający wrażeniom, a słabszy charakterem, z drugiej zaś strony jednolitszy pod względem warunków bytu, otoczenia i zajęcia będzie językowo rozwijać się i różniczkować wolniej, niż posiadający w tych względach inne warunki i właściwości.

7. A zatem można, zdaje mi się, stwierdzić w ogóle, że jeżeli powszechnie się utrzymuje, że język ludowy i języki tzw. niecywilizowanych szczepów pod wielu względami przedstawiają «naturalniejsze» stosunki i zjawiska rozwoju, niż języki tzw. piśmienne, to z całą słusznością można i należy wobec tego podkreślić, że na odwrót język ludowy i języki tzw. niecywilizowanych szczepów pod wielu względami przedstawiają «sztuczniejsze» stosunki i zjawiska rozwoju w porównaniu z tamtymi. Oczywiście naprawdę rzecz należy ująć tak: paleokulturalne warunki bytu i rozwoju językowego różnią się przy całej zasadniczej jednakowości podłoża psychicznego znacznie i wielostronnie od neokulturalnych warunków. Jednostronne ujmowanie różnicy jest fałszywe.

W każdym razie język piśmienny oraz odpowiadający mu język codzienny odnośnych warstw danego społeczeństwa jest w zasadzie kulturalnie i wartościowo wyższy niż język ludowy itd., chyba, że wyższej kulturze odmówilibyśmy w ogóle w porównaniu z niższą większej wartości. Oczywiście nie wyklucza to różnych szczegółowych i czasowych dziwactw i chorób, o czym może innym razem, ale to w zasadzie nic nie zmienia i pojawia się zresztą równie dobrze, chociaż w innych postaciach, także w językach tzw. prymitywnych. Nieraz język literacki dochodzi do skrajnego stadium rozwoju, do skrajnego skostnienia w swym pseudoklasycyzmie, co jest oczywiście tylko jednym z objawów skostnienia życiowego danych warstw narodu, zatraca związek z życiem całego ludu i wtedy następuje rewolucja «romantyczna» czy jaka inna. Wiele tego przykładów. Ale trzeba pamiętać, że języki szczepów tzw. pierwotnych jeszcze łatwiej wpadają w jednostronny rozwój i dochodzą, tak jak wiele innych przejawów życia tych plemion, do potwornych nieraz zboczeń, o czym w poprzedniej rozprawce wspominałem.

U niemieckich językoznawców co chwila spotyka się nazywania, a raczej przezywania języka piśmiennego mianem «hodowanego» (gezüchtete Sprache) w przeciwstawieniu do «swobodnej» mowy ludowej. Jest to wielka jednostronność. Hodowanym można nazwać język dworskiej poezji sanskryckiej, język skaldów skandynawskich,

poezji celtyckiej (staroiryjskiej) itd., to jest postać języka pielęgnowaną z całą uwagą przez całe pokolenia w pewnych kołach do szczególnych celów, która z biegiem czasu daleko odbiegła od języka powszechnego, zrosła się z pewnym ciasnym zakresem objawów życiowych i zmartwiała. Hodowanym można jeszcze nazwać język greckiego eposu, chórów w dramatach itd., język «klasyków» u różnych narodów w różnych epokach, do pewnego stopnia w ogóle język poezji. Ale «hodowanym» jest także język w ogóle, bo zawsze i wszędzie człowiek musi i chce się wyrażać także starannie, poprawnie, z szacunkiem, pięknie itd. tak, aby wywrzeć zamierzone wrażenie. Można więc i trzeba rozróżniać typ mowy swobodny i afektowy z całą nieskończoną gamą odcieni. Można więc i trzeba rozróżniać typ mowy wedle różnych stopni kultury. A przy tym pamiętać, że u ludów, bardzo pod względem kultury «pierwotnych», spotykamy bardzo wybitnie «hodowane» sposoby mówienia i na odwrót, że język piśmienny, powszechny ludu wysoko stojącego zdąża ku «swobodzie».

Postępować tak jak dotąd w językoznawstwie jest we zwyczaju, po jednej stronie stawiać naturalność, prostotę, swobodę, prawidłowość rozwoju i język ludowy, narzecza, mowę prymitywnych szczepów, a po drugiej sztuczność, kulturę, hodowanie i języki piśmienne — to rzeczywiście świadczy tylko o słabym zdawaniu sobie sprawy ze zjawisk językowych.

Nie zamykam wcale oczu na właściwości i swoiste, nieraz bardzo złożone warunki rozwoju językowego, między innymi także języków piśmiennych, na nieskończoną rozmaitość typów mowy: przeciwnie, chciałem właśnie i ze swej strony zaprotestować przeciw ciasnemu widnokręgowi w tych rzeczach, bo dotąd mało w tym kierunku zrobiono i dotąd nie tylko ogół i filologowie, ale także językoznawcy widzą źdźbło w oku bliźniego swego, a belki we własnym nie widzą.

## 3. O poezji w języku [1]

Któż z nas tych lat nie pomni, gdy czytając lub raczej ucząc się Homera zawierał znajomość z Jutrzenką o różanych palcach — rododáktylos Eós? Zwłaszcza ci z nas, których żywsza wyobraźnia zwracała się już ku płci słabej, ale pięknej, widzieli zapewne przed sobą w wolnych od szkolnego strachu chwilach wiotką postać dziewiczą, zapowiadającą dzień w różowych promieniach i wyciągającą ku uśpionej ziemi ręce o długich, prześwietlonych palcach. Ale na codzień to mówimy o zorzy porannej i nie widzimy nic szczególnego tam, gdzie stary prosty Grek widział różane palce kobiece. Albo nieraz mówimy o długich zielonych liściach drzew, palmy czy nie palmy — zwykła to rzecz i wyraz zwykły — a poeta widzi przed sobą palmę «zielonowłosą» na pustyni. Patrząc na brzozę płaczącą my widzimy jej zwieszające się gałęzie i nic więcej, poeta — ramiona i rozpuszczone warkocze wieśniaczki, kiedy płacze syna. A oczy i łzy ich, oczy «skier pełne, teraz pełne rosy»: ileż przenośni i obrazów spłynęło już z nich do poezji! I tak dalej i dalej: poezja, «matka piękności, która gra cudzym uszom niepojęte rozkosze», pokazuje także cudzym oczom niewidziane rzeczy i z jej dopiero pomocą, my nędzne płazy, grzebiące się w mule ziemskim, trochę tych rozkoszy zasłuchujemy, trochę tych piękności zawidujemy... Tak.

Ale naprawdę, to te piękności i dziwy były mlekiem, którym matka-ziemia odkarmiła człowieka w jego niemowlęctwie, były strawą powszednią ludzkości, o której ona potem zapomniała, bo ją już dawno, dawno przeżyła. W owe czasy nie były to żadne szczególne dziwy i cuda, tylko rzeczy zwykłe i nie cała zresztą ludzkość o nich zapomniała, bo i dziś są jeszcze bardzo liczne pokolenia, które tak samo na świat patrzą, a których nikt o poezję nie posądza. Na przykład Indianin brazylijski nazywa jednym wy-

---

[1] Język Polski I, 7 (lipiec 1913). Ta rozprawka jest przedrukiem, zmienionym o ile było potrzeba, rzeczy pt. «O języku, poezji, dziecku i człowieku pierwotnym gawęda», ogłoszonej w trzecim zeszycie (z marca 1911) czasopisma «Miesięcznik Literacki i Artystyczny». Był to pierwszy z szeregu zamierzonych artykułów o języku — po ogólnym wstępie, umieszczonym w pierwszym zeszycie — ale zanim się zebrałem na ciąg dalszy, pismo przestało wychodzić, dociągnąwszy zaledwo do roku istnienia. W ten sposób rozprawka owa właściwie przepadła.

razem ramiona ludzi i zwierząt, gałęzie drzew, promienie słońca, włosy i grzywę: mówiąc, ma oczywiście raz to, raz owo na myśli, bo te wyobrażenia rozróżnia, ale istota ich wszystkich jest dla niego ta sama i nie wyróżnia ich tak dalece, by je osobnymi wyrazami nazywać. A więc on widocznie inaczej nie tylko widzi, ale nie może widzieć: ramiona wyciągają się od ciała, idą od niego, są jego wydłużeniem, a tak samo gałęzie drzew i tak samo promienie słońca czy miesiąca i wreszcie włosy spływające. I nic w tym nie ma dziwnego: przecież wszyscy nieraz widzimy promienie słońca, jak padają poprzez liście lub inaczej, a więc słońce je wyciąga, a więc są jego ramionami czy włosami.

Wszyscy znamy wyrażenie: *promień włosów*; nieraz na przykład wcale nie fantastycznie nastrojone starsze damy stwierdzają z zadowoleniem, jakie daje oglądanie prawdy, że ta lub inna młoda osoba ma już siwy promień włosów. I choćby to wyszło z ust najniemilszych, to jednak wydaje nam się trochę poetyczną przenośnią, bo przecież promień — to światła. Ale to znowu są tylko zapomniane rzeczy. U innych Słowian ten sam wyraz prócz promienia światła znaczy nić lub włókno, jeden splot powroza lub warkocza (jedną *wojkę*, jak mówią górale), a także źródło wody; w dawniejszej polszczyźnie podobnie, a i dziś jeszcze mówimy o promieniu wody — tylko, że dawniej nie było w tym przenośni czy poezji, bo promień pochodzi od *prucia* i oznaczał różne podłużnie rozdzielające się rzeczy.

Nie wiem, czy jaki poeta porównał kiedy parasol z nietoperzem, ale można sobie doskonale wyobrazić takie zestawienie na przykład w kapryśnych i fantastycznych wierszach Słowackiego i prawdopodobnie uderzyłoby nas ono swą trafnością, bo rozpięte skrzydła nietoperza naprawdę przypominają rozpięte na drutach poły parasola. Może nawet podziwialibyśmy pomysłową fantazję poety. Ale jeden z ludów afrykańskich bez szczególnie poetycznego uzdolnienia doszedł do tego samego: w języku szczepu Jaunde parasol (nawiasem mówiąc niemiecki) nazywa się nietoperzem; to znaczy, kiedy ci Afrykańcy poznali parasol, to go t a k widzieli, skojarzyli go z wyobrażeniem nietoperza, czyli mówiąc językiem psychologii w ten sposób go apercypowali.

Kiedy mówimy o *rączce* jakiego przedmiotu, to nie widzimy w tym przyboru ze składu poezji, ale wyraz *Morskie Oko* jako nazwę jezior tatrzańskich albo nazywanie okna *okiem wiatru* u szczepów germańskich jesteśmy skłonni przypisać szczególnemu rozmachowi ludów, przyzwyczajonych do życia na szczytach gór lub szerokich morskich przestworzach. Ale różnica naprawdę jest tylko ta, że rączkę do pióra ma każdy z nas na stoliku, a Morskie Oko leży tylko w Tatrach; zapomnieliśmy też, że nasze okno znaczy po prostu tyle co oko, na Rusi każde jeziorko głębokie zowie się oknem, u Serbów toń głęboka na wodzie, różniąca się ciemniejszą barwą od reszty — okiem. Oko jest to po prostu otwór okrągławy. *Gardziel* rzeki lub źródła — to poezja, ale nasze *źródło* nic innego pierwotnie nie znaczy i jest rodzonym bratem gardła, tak samo jak *ujście* (dawniej *uście*) ustami, *odnoga* nogą i tak dalej bez końca.

Niektóre ludy nazywają upływ krwi *kwitnięciem*, nie dla poezji, tylko dlatego, że dla nich kwiatem jest przede wszystkim kwiat czerwony; toteż u szczepów germańskich pierwiastek wyrazu, oznaczającego krew (Blut) jest ten sam, co wyrazu kwiat (Blume, Blüte) i tak się też objaśnia wyrażenie naszego ludu, że dziewusze lica kwitną, bo są czerwone i dlatego też policzki są nazywane u wielu narodów *jagodami*, *jabłkami* itd. Ale: «hrabia miał zdrowe, lecz blade jagody» — w poezji.

Zapisano kiedyś takie opowiadanie u południowych Słowian, które przytaczam w dosłownym przekładzie:

Na początku nie było nic, tylko Bóg i Bóg spał i śnił. Wieki wieków trwał sen jego. Ale było sądzono, że się przebudzi. Zbudziwszy się ze snu spojrzał dokoła i każde jego spojrzenie przemieniło się w gwiazdę. Bóg się zdumiał i ruszył w drogę, aby obejrzeć to, co stworzył swymi oczyma. Idzie, idzie, ale nigdzie końca ani kraju. Doszedł wreszcie i do naszej ziemi, ale już się był utrudził: pot mu na czoło wystąpił. Kropla znoju padła na ziemię, ożyła i oto powstał pierwszy człowiek. Boskie jego pochodzenie, ale nie na rozkosze został stworzony: z potu się zrodził i już od początku było mu sądzono trudzić się i znoić.

Prawda, że to mądre i ładne? Można się zadumać, skąd prosty chłop kraiński wymyślił taką rzecz, pełną mądrości i poezji. Ale on

z pewnością nie był poetycznie nastrojony. On, waląc dzień za dniem swój pot w bruzdy ziemi, pokosy łąki, pnie w lesie ścinane, myślał może czasem nad tym, dlaczego tak się dzieje i w jego mętnej głowie niejasne pojęcie bóstwa i wspomnienie powieści biblijnej o początku człowieka z ziemi połączyło się z silnie odczuwanym krwawym znojem codziennego życia w jedną całość, pełną przyrodzonej a nie zamierzonej poezji. A że *gwiazdy patrzą* na nas, to przecież cała ludzkość tak myśli: one przecież na nas nawet *mrugają*.

A cóż dopiero u dziecka! Tu dopiero widzimy tę niesłychaną łatwość kojarzenia się w duszy najrozmaitszych wyobrażeń, które dla nas już nic podobnego w sobie nie mają. Widać to zresztą nie tylko w nazywaniu jednym wyrazem najrozmaitszych rzeczy, ale także w zdolności widzenia w kilku zygzakach nakreślonych najrozmaitszych przedmiotów. Właściwie jednak to nie tyle zdolność kojarzenia jest u dziecka większa, tylko zapas nabytych wyobrażeń jest u niego mały, a że każde nowe wyobrażenie pojmujemy na podstawie dotychczas odebranych, stąd owe dla nas nieraz niepojęte łączenia. Tak samo jak niepojętym dla nas jest to, że lud italski poznawszy po raz pierwszy słonia nazwał go — wołem libijskim, że cztery połączone patyki nazywa się kozłem lub kobylicą, że kilka gwiazd nazywa się wozem lub niedźwiedzicą, że ten sam wyraz oznacza u nas rybę, a u Niemców gąsienicę (Raupe) i tak dalej — naprawdę bez końca.

A zatem dziecko i człowiek pierwotny patrzą po wierzchu na świat i rzeczy i zwolna dopiero się posuwają w ich rozpoznawaniu; to, co dla nas przez długą pracę niezliczonych pokoleń zostało już rozejrzane, rozebrane i wyróżnione, to dla nich ma jeszcze wspólne cechy. Jest to synteza pierwotna sui generis. My czasem w gorączce, w tępej bezczynności, w przemęczeniu wracamy na chwilę do tego stanu i wtedy widzimy rzeczy i podobieństwa, o jakich nam się nawet nie śni na jawie.

Dawno już powiedziano, że język jest zbiorem pożółkłych metafor, ale to jest tylko względna prawda, bo większa część tego, co dziś przenośnią nazywamy, wcale przenośnią nie była. Jeszcze dziś, na najwyższym szczeblu swego rozwoju człowiek nie może myśleć ani mówić inaczej o bardzo wielu rzeczach: wszystko co

się porusza, zegar, słońce, woda idzie, chodzi, bieży tak samo jak ludzie i zwierzęta. Od dawna zauważono i wyjaśniono, dlaczego zgryzota, troska, wzruszenie zostały nazwane od gryzienia, trzaskania, ruszania; dlaczego mówimy o ostrym głosie lub smaku: wszystko to dzieje się na podstawie podobnych lub takich samych wrażeń i uczuć. Dopiero ex post, kiedy człowiek się oddali od punktu powstania tych nazw i wyrazów, kiedy się posunie dalej w swym rozwoju i owe przedmioty, wyobrażenia, uczucia i wrażenia stanowczo już rozróżnia i za całkiem różne uważa, to mu się te nazwy, jeżeli na nie zwróci uwagę, wydają przenośniami. Przenośniami one są do pewnego stopnia, ale nie zamierzonymi, tak samo jak w nich i innych objawach życia pierwotnego jest sporo poezji, ale nie zamierzonej. I poezję człowiek zwolna poznaje.

Narzucający się ex post człowiekowi stosunek do własnego języka, do własnego sposobu pojmowania świata, jaki w jego języku jest złożony, ma wielkie znaczenie, bo wywiera ze swej strony wpływ na rozwój człowieka. Poeta idzie tylko dalej po tej samej drodze i musi nią iść, jeżeli chce trafić do dusz ludzkich. Ale są jeszcze inne ciekawe rzeczy: na przykład rodzaje w naszych językach polegają pierwotnie na dwóch objawach, na rozróżnianiu naturalnego rodzaju, samca i samicy u ludzi i zwierząt, oraz na kategoriach wartościowych, na rozróżnianiu ważniejszych i mniej ważnych, wielkich, silnych, wspaniałych pojęć i innych małych, słabych, nędznych. Ale kiedy z biegiem czasu, wskutek koniecznego skostnienia, zautomatyzowania się tych środków, to jest tych form językowych i rozszerzenia ich na wszystkie wyrazy, każdy rzeczownik ustalił się w tym lub innym rodzaju, to to ma potem ogromny wpływ na umysłowość człowieka, na fantazję uosabiającą, na mitologię i poezję: bo jeżeli w jednym języku wskutek rozmaitych powodów wyraz oznaczający słońce ustalił się w rodzaju męskim a wyraz oznaczający księżyc w rodzaju żeńskim, to to musi oczywiście wpływać całkiem inaczej na pojmowanie stosunku tych wyobrażeń do siebie, na mit odnośny, niż tam, gdzie się stało odwrotnie; porównajmy tylko *helios*, *luna* (identyczna z naszą łuną), słońce, miesiąc, *Sonne* i tak dalej. Wiele mitów powstało tylko dlatego, że wyrazy mają rodzaj. I jest rzeczą jasną, że lud mający w swym

języku rodzaje inaczej w ogóle patrzy się na świat niż lud, który ich nie zna wcale.

Poeta, żyjąc wśród swego społeczeństwa, żywiąc się jego strawą, musi posiadać zdolność wracania niejako do owych źródeł twórczej duszy ludzkiej, objawiających się tak wyraźnie u człowieka pierwotnego i dziecka, nie przysypanych jeszcze rumowiskiem wznoszonego domu, zwanego kulturą.

Zarówno dziecko jak barbarzyńca mają upodobanie namiętne w rytmice wszelakiej, czy ono polega na rytmice krwi i serca, czy innej, w to tutaj nie wchodzę. Znany to objaw, a odbiwszy się w języku, gdzie pierwotne wyrazy polegają w znacznej części na powtarzaniu (baba, niania, mama itd.), gdzie mamy rytmiczny układ zgłosek wyrazu i całego zdania, przechodzi do poezji jako rytm i rym, aliteracja i asonacja. Dojrzała męska proza unika jak wiadomo tych rzeczy, przynajmniej u niektórych narodów, ale początki każdej literatury noszą na sobie niezatarte piętno tej tkwiącej głęboko w żywych istotach właściwości. Zresztą początki twórczości naukowej, religijnej, poetycznej i w ogóle literackiej zlewają się zawsze ze sobą w zaraniu rozwoju społeczeństwa, a raczej są jednym źródłem, z którego wypływają potem różne strumienie. Dlatego to początki nauki i początki religii są zawsze w szacie rytmicznej albo poetycznej.

Bo to wszystko są początki poznawania bytu i świata, wypływającego bezpośrednio z uczucia.

Poezja jest starą kolebką ludzkości, a jej kołysanie widać w języku.

## 4. Logika a język[1]

Nic pospolitszego, jak wprowadzanie logiki jako sędziego przy ocenie i rozpatrywaniu zjawisk językowych. Nic pospolitszego, jak potępianie pewnych wyrażeń dlatego, że są niby nielogiczne. Jeden z naszych kolegów zawsze wojuje przeciw *zarzutce*, bo przecież się jej nie *zarzuca*, tylko się ją wdziewa na siebie. Pewien radca szkolny nie znosi wyrażenia, że coś *przyniosło korzyść*, i jeżeli uczeń tak

[1] Język Polski I, 9 (listopad 1913).

powie, to zaraz pyta: w czym, w koszyku? Wystarczy przejrzeć rubrykę zapytań w «Poradniku», aby się przekonać, jak często ludzie wysuwają logikę na pierwsze miejsce w obronie rzekomej poprawności językowej. Jeden potępia *stuletnią rocznicę*, bo wszak to nonsens, a co najmniej dwa grzyby w barszcz; innemu nie podoba się zwrot *wieści czy słuchy chodzą*, bo nie mają nóg, itd. bez końca. Ileż to ludzie napsuli sobie już krwi z powodu *większej połowy* albo *tańcujących wieczorków*!

I tak było zawsze. Zwłaszcza ciasne dusze bakałarskie od wieków wywierały w ten sposób swój zły humor na językowej swobodzie i poezji. Poeta Ion, nieco młodszy kolega Sofoklesa, opowiada taką historyjkę: «Z poetą Sofoklesem spotkałem się na Chios, kiedy płynął jako strateg na Lesbos; człowiek to pełen humoru przy winie, dowcipny i ujmującego obejścia. Jego rodzinny przyjaciel a honorowy obywatel ateński Hermesialos podejmował go ucztą. Otóż kiedy chłopiec nalewający wino zaczerwienił się znacznie stojąc przy ogniu, Sofokles go spytał: Czy chcesz, aby wino sprawiało mi przyjemność? Chłopiec odpowiedział potakująco, a Sofokles rzekł: A więc powoli podawaj mi czaszę i odnoś ją powoli. Kiedy chłopiec zaczerwienił się na to jeszcze bardziej, Sofokles, zwracając się do swego sąsiada powiedział: Jak pięknie wyraził się Frynichos w tym wierszu: «Na purpurowych licach błyszczy płomień miłości». Na to uśmiechnął się nauczyciel Eretrieus i rzekł: Z pewnością jesteś doskonałym poetą, Sofoklesie, ale mimo to Frynichos niedobrze się wyraził, mówiąc o purpurowych policzkach pięknego chłopca. Bo gdyby malarz purpurową farbą pokrył policzki tego oto pacholęcia, toby to wcale ładnie nie wyglądało. Żadną miarą nie należy porównywać tego co jest piękne z czymś, co niełądnie wygląda. Roześmiał się z tego Sofokles i rzekł: A więc nie podoba ci się, przyjacielu, ani ten zwrot Simonidesa, którym się Grecy zachwycają: «dziewica śląca słowa z swych ust purpurowych», ani to, kiedy Homer mówi o złotowłosym Apolinie. No, bo gdyby malarz wymalował go ze złotymi włosami, a nie z kruczymi, to obraz by na tym nie zyskał. Ani kiedy poeta mówi o różanych palcach. Bo gdyby ktoś palce na kolor róży pomalował, toby to były ręce farbiarza, a nie pięknej

kobiety. Zaśmieli się biesiadnicy, a Eretrieus zmieszał się wydrwiony i skarcony».

Ci sami ludzie, których gniewa *większa połowa*, mówią spokojnie o *pięcio-* lub *dziesięciodniowej kwarantannie*, chociaż *kwarantanna* to, jak wiadomo, czterdziestodniówka; albo o *złotym reńskim*, chociaż jest srebrny, albo o *szóstce*, chociaż to dziesięć centów. Ci sami, którym nie daje spać *tańcujący wieczorek*, mówią bez namysłu na odwrót o *niewidomym człowieku*, chociaż to on nie widzi, a nie jego nie widać, albo o *usłuchanym chłopcu* itp.

Ale, z drugiej strony, są przecież wyrażenia, które się ogólnie potępia, i to nie z innego powodu. Na przykład zwrot *ubrać suknię, płaszcz, trzewiki*, który się dosyć często słyszy zapewne pod wpływem niemczyzny: *sich anziehen* = *ubrać się*, a więc *anziehen* = *ubrać*. Ale tu wszyscy czystej krwi językowej Polacy czujemy, że to niestosowne, brzydkie, a nawet głupie i nielogiczne. I słusznie Tarnowski wytknął jednemu z młodszych pisarzy wyrażenie, że ktoś *ubrał surdut*, pytając: w co, w spodnie? Podobnie sławny zwrot: *jadąc do kościoła spotkały nas wilki*, razi nas przeważnie swą nielogicznością itd., znowu możemy powiedzieć, bez końca.

Więc jakże? Raz przykładanie łokcia logicznego jest głupstwem, a drugi raz nie? Czego się trzymać? Rzecz nie jest trudna, tylko, jak zwykle, trzeba się trochę zastanowić i zdać sobie ze zjawisk językowych w tym kierunku sprawę. Zasadnicze pytanie brzmi: Czy myślenie logiczne gra wielką rolę w języku? Odpowiedź na to jest, że bardzo niewielką, i rzecz to zrozumiała, bo jeżeli się trochę zastanowimy, to przyjdziemy łatwo do przekonania, że ściśle logiczne myślenie w życiu codziennym w ogóle nie gra zbyt wielkiej roli. Oczywiście nie znaczy to, że pospolicie wszyscy myślimy nielogicznie. Myślenie logiczne nie jest czymś zasadniczo różnym od zwykłego, jest ono tylko wyższą, doskonalszą fazą zwykłego psychologicznego myślenia, które jest jego naturalną i konieczną podstawą. Główna różnica polega na większym lub mniejszym stopniu świadomego zastanawiania się, refleksji. Otóż w życiu codziennym człowiek wyjątkowo tylko zastanawia się nad swymi powiedzeniami, toteż język, który jest przede wszystkim odbiciem tego życia i tego psychologicznego myślenia, nosi na sobie wszystkie cechy

tego stanu rzeczy. Język nie jest, ogółem biorąc, wytworem logicznego myślenia, tylko myśli psychologicznej i życia uczuciowego. Wynikiem tego jest, że co krok spotykamy sprzeczność między ścisłą logiką a tworami językowymi, jeżelibyśmy je chcieli przez szkła logiki rozpatrywać.

Przypatrzmy się najpierw wyrazom w stosunku do ich znaczeń, to jest do wyobrażeń, których są zewnętrznym symbolem i znakiem, czyli innymi słowy: przypatrzmy się nieco nazwom różnych rzeczy i zjawisk. Otóż dopóki wyraz nie stracił zupełnie swego pierwotnego, etymologicznego, ściśle językowego znaczenia, to jego aktualne, rzeczywiste w danej chwili znaczenie zawsze będzie mniej lub więcej nieodpowiednie, jeżeli przyłożymy do niego miarę logiczności. Logika dopiero wtedy przy najlepszej chęci nic nie będzie miała wyrazowi do zarzucenia, jeżeli jego etymologiczne znaczenie się ulotniło, jeżeli ściśle językowo biorąc on nic nie znaczy, jeżeli jest tylko kompleksem dźwięków, skojarzonym wyłącznie z odnośnym wyobrażeniem, który sam przez się nic nie znaczy. Wtedy dopiero najzażartszy bakałarz nie będzie mógł mowy podchwytywać.

A więc, na przykład przy wyrazach *drzwi*, *gwóźdź*, *mur*, *pluskwa*, *ściana*, *kołdra*, *woda*, *koń*, *noga*, *pluć*, *czarny* itd., itd. logiczny mędrzec jest zupełnie spokojny, bo one etymologicznie dla ogółu nic nie znaczą. Ale z drugiej strony mamy tysiące najpospolitszych wyrazów jak *schody*, *spodnie*, *bielizna*, *świeca*, *mydło*, *podnóżek*, *szklanka*, *ubiór*, *zapałka*, *ręcznik*, *niebieski*, które, gdybyśmy chcieli logicznie rozpatrywać ich znaczenie rzeczywiste w stosunku do etymologicznego, okażą się nielogiczne, nieścisłe. *Schody* służą przecież także do *wychodzenia*, a do tego samego służy i drabina, i jakakolwiek droga pochyła; *spodni* nie nosimy ani *pod spodem*, ani *u samego spodu*, tam są raczej trzewiki; jest mnóstwo rzeczy *białych*, których nie nazywamy *bielizną*, i na odwrót bardzo dużo jest bielizny *kolorowej*; *świeca* nazwana od *świecenia*, a więc tak samo mogłaby być nazwana i lampa i zapałka; *ręcznik* służy także do obcierania twarzy, piersi i w ogóle całego ciała, a że to robimy rękami, to cóż z tego? przecież jest mnóstwo innych rzeczy, które rękami robimy, które mają coś z rękami wspólnego, a nie nazywamy ich *ręcznikami*. *Nocnikiem* nazywamy naczynie, którego często używa się i we dnie;

lud nazywa *nocnikiem* nocleg, a *nocnicą* znowu nazywano dawniej wszetecznicę, jak gdyby ona we dnie nie mogła być czynną. *Podnóżkiem* z równym prawem co podnóżek mogłaby być podeszwa, podłoga i wiele innych rzeczy. No, itd.: każdy może się dowolnie długo w ten sposób zabawiać.

A ponieważ badanie językowe wykazuje, że tak samo rzecz się miała i z wyrazami, które dla ludzi mówiących w pewnej epoce nie mają już żadnego etymologicznego znaczenia, więc jest to zjawisko powszechne i konieczne. Wszystkie wyrazy są w stosunku do wyobrażeń, które oznaczają, logicznie rzecz biorąc, tylko w bardzo małym stopniu właściwe, i to tak długo, póki ich znaczenie etymologiczne jest jasne. Ale logika tu w ogóle ma bardzo mało do gadania i słusznie, bo gdybyśmy przy nazywaniu rzeczy i w ogóle zjawisk mieli się logiką kierować, tobyśmy musieli używać chyba długich określeń, definicji i ładnie by wtedy językowe obcowanie ludzi wyglądało! Nie mówiąc o tym, że dokładnie, to jest zupełnie niedwuznacznie zdefiniować rzecz jakąś, nawet najprostszą jest bardzo trudno (proszę spróbować dać wyczerpującą definicję choćby tylko stołu albo stołka); logika leży w tym, że rozwój psychologiczno-językowy stwarza nazwy niedwuznaczne, ściśle z całością wyobrażenia skojarzone, które z biegiem czasu zatracają swoje etymologiczne znaczenie i wtedy stają się już doskonałymi znakami wyobrażeń i pojęć. Droga do logiki prowadzi jedynie i wyłącznie przez myślenie psychologiczne, które sobie doskonale daje radę i logikę dopiero w ogóle umożliwia.

Na czym zaś ta zasadnicza właściwość znaczeń wyrazów polega, jakie są odnośne zjawiska psychiczne, które na dnie tego leżą, i jakie odnośne prawa psychologiczne, o tym pomówimy innym razem. Zapamiętajmy tymczasem ten zasadniczy fakt, że człowiek nazywając językowo wyobrażenia, tworząc dla nich wyrazy jako znaki, nazywa czyli wyraża językowo zawsze tylko jedną ich cechę, i to niekoniecznie bardzo istotną.

Drugie zjawisko językowe, które sprawia, że wyrazy i zwroty są bardzo często w sprzeczności ze ścisłą logiką, to rozwój znaczeń wyrazów, zmiany znaczenia, wskutek czego wyraz oddala się nieraz bardzo od swego pierwotnego znaczenia, albo też ma kilka znaczeń.

Już wśród poprzednio przytaczanych przykładów mieliśmy podobne wypadki. *Kwarantanna* dlatego jest często w sprzeczności ze swym etymologicznym znaczeniem, że z biegiem czasu ilość dni, które trzeba odsiedzieć, stała się dla znaczenia tego wyrazu obojętną; może być większą lub mniejszą. Podobnie rozwój systemu monetarnego objaśnia dzisiejsze znaczenie *szóstki* lub *złotego* itd. *Pióro*, dawniej gęsie, dziś jest prawie wyłącznie metalowe; *peleryna* dzisiaj już nic nie ma wspólnego z pielgrzymem, *krawatka* z Kroatami, *ksiądz* z panem (bo to znaczył ten wyraz) i księciem, *księżyc* z jednym i drugim, *minister* ze służącym itd. bez końca. *Ogłoszeń* wcale się nie ogłasza głosem ani bębnem jak dawniej; bywają nieraz obchody weselsze od *wesela*, *wielkanoc* nie tylko *noc* obejmuje itd. *Szwedzkie* zapałki tak zatraciły po części swe pierwotne znaczenie, względnie je zmieniły, że dziś mamy *krajowe szwedzkie zapałki*, podobnie jak chłop płaci pięć *papierków* często srebrem. Wszystko to «nielogiczne» niby, ale też nie na logice się opiera, lecz jest wynikiem powszechnych i koniecznych zjawisk z zakresu językowo-psychicznego. Przykłady można mnożyć bez końca.

Ściśle i z poprzednimi objawami i z całą poezją łączy się używanie całego szeregu przenośni w każdym języku i w codziennym życiu, o czym mówiłem w poprzedniej pogadance, do której proszę w razie potrzeby zajrzeć. Język nie może istnieć bez przenośni, bo rozwój życia psychicznego nie może się bez nich obejść. I dlatego obruszanie się na zwroty takie jak *wieść idzie* lub *niesie* jest dowodem tylko ciasnoty, zagwożdżenia beznadziejnego. Bo kto by nie chciał mówić, że *noc zapadła, dzień nadszedł* itd. bez końca, toby doszedł do płaskiego idiotyzmu językowego, a i tak by jeszcze metafory i poezji z języka nie usunął — chyba żeby w ogóle przestał gadać, co swoją drogą byłoby najlepiej.

Przypuśćmy, że taki logik nie chciałby powiedzieć, że *dzieli* czy *podziela* czyjeś zdanie, bo go przecież nie rozdziela na kawałki. No, ale jakżeby tu się wyrazić? *Mam to samo zdanie?* Nonsens! Bo jakże dwóch ludzi, albo i więcej może mieć na raz tę samą rzecz, i to jeszcze gdzieś w głowach, a nie w rękach? A może: *jestem tego zdania co i pan*? Hm! cóż to ma znaczyć: *jestem — zdania*, czy zdanie

posiada mnie, czy jak! A cóż zresztą jest samo *zdanie*? Rozpacz! Najlepiej milczeć i tylko na migi językowi i ludziom mówiącym okazywać pogardę.

Wszystko z biegiem czasu powszednieje, ściera się i wyciera, traci swe znaczenie i potrzebuje albo odświeżenia albo zastąpienia nowym przedmiotem. To samo w języku i stąd powstają nieskończone pozorne nielogiczności, nie tylko w wyrazach i zwrotach, ale także formach. Dawniej mówiło się *zimie*, *lecie* i podobnie: były to lokatywy, znaczące tyle, co nasze *w zimie* itd. A więc po cóż było dodawać jeszcze *w*? zapytałby logiczny myśliciel. Ale moglibyśmy go z równym prawem zapytać: a po cóż pan kładziesz na ubranie jeszcze płaszcz, na trzewiki jeszcze kalosze, masz pan to wszystko na sobie i kapelusz na głowie, a bierzesz jeszcze parasol, a na parasol masz jeszcze pokrowiec, a jak deszcz dobrze leje, to jeszcze wejdziesz do pierwszej lepszej sieni? I tak ciągle w życiu i rozwoju kulturalnym. Dziś mówimy *wniwecz*, ale dawniej mówiło się *niwecz*, które to samo znaczyło: *ni-we-cz*; podobnie lud mówi w niektórych stronach *wniwco* zamiast dawniejszego *niwco*; mówimy *byle tylko*, chociaż *byle* znaczyło już *by tylko*; w romańskich językach mówi się *con meco*, chociaż łacińskie *mecum* znaczyło już ‘ze mną’, itd. bez końca. W ten sposób w dzisiejszych językach indoeuropejskich używa się prawie wyłącznie przypadków z przyimkami, chociaż dawniej już same przypadki wystarczały: *iść domu* znaczyło *iść do domu*, *iść kim* znaczyło *z kim* itd. A dziś często już samo *z* nie wystarcza i mówimy *razem z kim* itd.

Często pozorna nielogiczność wyjaśnia się różnym pojmowaniem zjawiska u różnych ludzi i narodów. My mówimy: wziąć, ukraść, wyjąć *z kieszeni*. Francuz *dans la poche*, zatem dosłownie ‘w kieszeni’ i to może się wydać nielogicznym, bo niby nikt nie wchodzi do kieszeni i nie zabiera czegoś w niej. Ba, ale rzecz znajduje się w kieszeni i ręka zabierająca także musi się znaleźć najpierw w kieszeni, czyli Francuz wyraża moment początkowy, a my dalszy. Podobnie w jednych językach mówi się: rzucić *coś pod stół*, a w innych *pod stołem* i nie wiadomo, który zwrot jest lepszy, bo jeżeli *pod stołem* ściśle biorąc mogłoby też znaczyć, że ktoś kuca pod stołem i rzuca, to znowu *pod stół* mogłoby ściśle biorąc także

znaczyć, że ktoś ze spodu rzuca i uderza w stół. Zwroty: *wracając do domu zmoczył nas deszcz* wydają nam się nielogiczne, ale właściwie tylko dlatego, że ich nie używamy; Francuz najspokojniej ich używa i zyskuje tylko na tym jego język. Zastanówmy się tylko. Polski «logik» nieubłagany powie: przecież nie deszcz wracał do domu, a Francuz odpowie mu na to: przecież tylko idiota mógłby w ogóle być w wątpliwości, kto wracał do domu, deszcz czy my. No i jak powiemy: *po drodze do domu zlał nas deszcz*, to w gruncie rzeczy «logicznie» nic się nie zmienia, a sumienie mimo to mamy spokojne.

Albo znowu rzućmy okiem, jak ludzie mówiący nic się nie troszczą o konsekwencję logiczną. Skoro *rękaw* okrywa całą rękę, a *rękawica* dłoń i palce, to dlaczegóż *nogawica* nie znaczy tyle co skarpetka, i dlaczegóż nogawicy nie nazywamy **nogawem*? Ano, bo i w życiu samym, w sporządzaniu tych przedmiotów nie było jakiejś absolutnej konsekwencji, tak samo jak rola stopy i nogi nie jest taka sama jak rola ręki i ramienia. A więc w gruncie rzeczy jest to tylko pozorna niekonsekwencja.

Nie potrzebuję chyba dodawać, że sens tych wszystkich uwag nie jest taki, że wszystko wolno powiedzieć. Zaznaczyłem to już na początku i każdy człowiek to sam zrozumie. Tylko trzeba pamiętać, a przede wszystkim rozumieć, że logika nie jest sądem dla języka, jak nie jest jego niańką. Język ludzki zwolna dąży do coraz większej logiczności, ale jego prawdziwą kochaną nianią jest zwykłe, swobodne, trochę dziecinne, pełne śmiechu i płaczu i poezji myślenie. I tak wyrasta twór przedziwny, potężny, który umożliwił duszy myślenie wyższe, ścisłe i logiczne. Ale gdyby go logika wzięła była od początku na wychowanie — oczywiście jest to w ogóle niemożliwe, contradictio in adiecto —, toby wyrósł dziwoląg w guście stylu niektórych logicznych myślicieli.

Na zakończenie przytoczę rozsądne i trafne zdanie Behaghela z jego książki «Die deutsche Sprache» (2. wydanie, str. 86): «Widzimy zatem, że są nielogiczne wyrażenia, które także językowo są fałszywe, ale i takie, które są ogólnie uznane za językowo poprawne. Różnica między jednymi a drugimi leży tylko w tym, że raz mamy świadomość logicznej sprzeczności, a drugi raz nie. Ale

czy przy pewnym wyrażeniu słuchacz lub czytelnik znajduje się w pierwszym położeniu i wyrażenie zatem jest niestosowne, czy też w drugim i wyrażenie zatem jest stosowne, tego logika nie jest w stanie rozstrzygać. Nie może więc ona żadną miarą być najwyższym sędzią w rzeczach językowych».

## 5. Czy język — to stworzenie leniwe i grymaśne, co raz wraz czegoś zapomina, rzuca stare a dobre, za to po mistrzowsku łata i znowu swoje własne twory z tyłu »obkęsywa«? [1]

Cóż za pytanie — zawoła czytelnik, a żywszy może się i żachnie na niewczesne żarty. Przecież, pomyśli on może, jeżeli nie skądinąd, to już z Pańskiej rozprawki zeszłorocznej mogliśmy się dowiedzieć, że język jest wytworem i twórczością ludzkiej kultury, częścią całego rozwoju kulturalnego człowieka, a czyż o naszej duchowej kulturze można mówić, że polega na lenistwie i grymasach, na zapominalstwie itd., jak brzmi wyżej pytanie? No, po pierwsze, to nie ja tak myślę, tylko jeden wcale znakomity uczony — naprawdę! Właściwie to nie wiem, czy tak myśli — trzeba być ścisłym —, ale tak pisze i o to właśnie idzie. Bo gdyby tak sobie pisał ktoś nie znany i nie czytany, no to cóż? niechby sobie pisał! Ale że to pisze znany filolog w książce dla szerszych kół przeznaczonej, która świeżo wyszła w drugim wydaniu [2], a więc widocznie jest czytana, nie od rzeczy będzie przypatrzyć się bliżej tym szczególnym twierdzeniom. Zobaczymy, że uczoność, to jest przyswojenie sobie wielu szczegółów z danego zakresu zjawisk, wcale jeszcze, niestety, nie daje przywileju na właściwe o nich myślenie. To jedno. Po wtóre, pomyśli łatwo czytelnik, ów uczony nie sądzi przecież chyba, że lenistwo i grymasy, zapominanie i łatanina, a wreszcie «obkęsywanie» — to już wszystkie objawy życia językowego, tylko z pewnością mniema, że wśród innych występują także takie, a to co innego. No, zapewne. Ale, jak zobaczymy, ów uczony widzi jednak te czynniki na każ-

[1] Język Polski II, 2—3 (luty—marzec 1914).

[2] Mowa o książce prof. Brücknera «Dzieje języka polskiego« (Lwów 1913).

dym kroku w życiu języka i uważa je za takie, co działają stale i powszechnie, chociaż oczywiście nie wyłącznie.

Zaznaczę jeszcze, że wcale nie piszę dla przekonania tego uczonego, tylko dla pożytku czytelników; nie dla dawania jemu rad — nieciekawe to zajęcie dawać ludziom rady —, tylko dla pomówienia w dalszym ciągu o ogólnych zagadnieniach językowych, przy czym staram się wedle najlepszego swego rozumienia plewić nieprawdę — to łatwiej — i podglądać prawdę choćby trochę tylko — to trudniej.

Dawniej odmieniano regularnie: *sjem sejmu*, *szmer szemru* (porównaj *szemrać*), *Zgierz Zegrza*, *psek pieska*, *bochnek bochenka*, *Kielce Klec*, *chrzbiet (grzbiet) chrzepta* itd.: rezultat to rozwoju na gruncie polskim słabych samogłosek, tak zwanych jerów, które były w tych wyrazach. Otóż uczony, o którym mowa, tak się o tym odzywa: «Wspominamy o tej dawnej odmianie, aby naocznie lenistwo mówiących i skutki jego wykazać; im bowiem wygodniej nie zachowywać w pamięci mieszanin form, wolą formę częściej używaną lub wpadającą dobitniej w ucho wszędzie jednostajnie przeprowadzić». I dalej: «Jest to stała, ogólna dążność: wyrównywanie dawnych różnic dla ułatwienia, uproszczenia pracy pamięciowej, dla reprodukcji mechanicznej form, jak najgładszej». Rzeczywiście ciekawe pojmowanie rzeczy! Bo już do czego jak do czego, ale do mówienia się ludzie nie lenią. Najgnuśniejsi dzicy, pracujący tylko z konieczności, ćwierkają jak wróble całymi dniami. A po wtóre: właśnie wśród ludów dosyć pierwotnych spotykamy często języki tak trudne, z takimi finezjami fonetycznymi, z takim bogactwem niepojętych dla nas szczegółów i form, że oczywiście wymagają ogromnej pracy pamięciowej, no i jakoś się to tym dzikusom udaje. Przypatrzmy się uważniej wymienionym faktom. A więc kiedyś odmieniano *pĭsŭkŭ*, 2. p. *pĭsŭka* itd.; potem, wskutek ściśle fonetycznego rozwoju polszczyzny, zrobiło się z tego *psek pieska*; wreszcie, drogą wyrównania, zrobiono *piesek pieska*. A więc cóż się stało? Oto przywrócono właściwie istniejącą dawniej jednolitość postaci, zburzoną przez działanie rozwoju fonetycznego; wprowadzono znowu ład i zgodność. A czy to nie «praca»? Zatem lenistwo tutaj — to bajki.

Albo znowu: «Język dąży stale do oszczędzania trudu i czasu, więc ściąga i skraca słowa, często używane, a na których niezbyt

wiele zależy, obcina je czy obkęsywa, pewny, że i tak zrozumieją; cały szereg samogłosek odpada w ten sposób. Po cóż tracić czas na wymawianie dwuzgłoskowego *tamo*, *samo*, kiedy *tam*, *sam* wystarczy... *takż* byłoby zbyt trudnym, nie opłaciłoby się więc lenistwo... mówi się *kto*, niepodobnaż tego skrócić, ale zamiast *nikto* mówimy *nikt*...» Jużci coś, coś jest na tym, ale po pierwsze bardzo niewiele, a po wtóre wyrażone w tak strasznie grubej i niedołężnej formie, że dziw bierze. Naprzód, co znaczy «słowa często używane»: czy *tamo*... było częściej używane, niż *ono*, *baba*...? Po wtóre, co znaczy «tracić czas»: przecież tu chodzi o drobną cząstkę sekundy! Po trzecie, skąd pewność, że wymówienie *tam* kosztuje mniej trudu, niż *tamo?* Po czwarte, co znaczy «wygoda, nieopłacanie się lenistwa»: czyż *nikt* jest «wygodniejsze» niżby było *takż* (to znaczy wymawianie *taksz*) i czy jest «wygodniejsze» niż *nikto?* Doprawdy? A już ten obraz języka, niby psa «obkęsującego» z tyłu ludziom poły!

O oszczędzaniu pracy i o wygodzie, jako motywie, możemy mówić wprost, bez obawy wywołania nieporozumień tylko w takich, licznych zresztą wypadkach, jak *kilo*, *une auto* (automobil), *hakata* itp., albo przy upraszczaniu trudnych zbiegów spółgłoskowych. Ale już przy skracaniu często bardzo używanych wyrazów, jak tytułów rozmaitych (*waszmość*, *jaśnie pan* itd.) właściwym czynnikiem nie jest wzgląd na wygodę i chęć oszczędzania pracy, tylko co innego, a mianowicie daleko posunięta automatyzacja. A mianowicie: każda w ogóle czynność kulturalna, składająca się z przebiegu psychicznego i fizycznego, każdy przebieg językowy, zwrot, wyraz itd. w miarę powtarzania odbywa się przeważnie automatycznie, to jest prawie nieświadomie. I to jest zarazem bardzo ważnym momentem rozwoju kulturalnego, bo dopiero wtedy, kiedy człowiek dojdzie do takiego właśnie załatwiania odnośnych czynności, odbywają się one sprawnie i gładko, nie potrzebując ciągłej kontroli ze strony uwagi i świadomości i człowiek ma niejako ręce rozwiązane, swobodę ruchów do nowej pracy. Doskonale to można widzieć przy spełnianiu jakichkolwiek czynności kulturalnych, wykonywaniu najrozmaitszych zajęć i rzemiosł, sztuk i prac, a więc np. przy stolarce, ciesielstwie, czytaniu, grze na instrumentach itd. bez końca. Dopiero wtedy czytamy i gramy dobrze, gdy się już nie

potrzebujemy zastanawiać nad każdą literą, nad każdym ruchem palców itd., gdy to wszystko odbywa się automatycznie. Otóż to samo zjawisko działa w języku. Dopiero wtedy mówimy dobrze i biegle jakimś językiem, gdy w razie potrzeby, to jest na skutek zjawiającej się odnośnej pobudki psychicznej, od razu, bez namysłu znajdujemy właściwy wyraz i zwrot, gdy je w dalszym ciągu bez trudności, automatycznie, prawie nieświadomie wymawiamy. Inaczej tak tu, jak i we wszystkich innych podobnych wytworach i pracach kultury, jesteśmy partaczami i to, co nam ma służyć jako środek, jest jeszcze samo celem.

Przejdźmy teraz do języka ojczystego, do języka, którym władamy doskonale. Rzecz prosta, że zjawisko automatyzacji nie zatrzymuje się nagle, nie przestaje działać dlatego, że coś wykonujemy już zupełnie dobrze. I owszem działa ona nieustannie i staje się powodem ważnej ewolucji; ale o tym w ogóle innym razem. Tu zwrócę tylko uwagę na wypadki szczególnie sprzyjające większej niż zwykle automatyzacji, a takimi są zwroty, wyrazy i części wyrazów nieustannie powtarzane, a nie mające szczególnego znaczenia, ani pojęciowego ani funkcjonalnego. Jasne, że do takich należą ciągle powtarzane tytuły, które też we wszystkich językach, zawsze i wszędzie, ulegają skróceniom, czyli przystosowują się do daleko posuniętej automatyzacji. Tak samo nieustannie, zwłaszcza przez mało kulturalnych ludzi, powtarzane i w mowę wtrącane *powiadam Panu*, *powiada*, *podobno* itd.; dalej wszelkie partykuły i końcówki. Przy końcówkach działa jednak także prawo mechaniczne, boć zrozumiałą jest rzeczą, że przy końcu wyrazu mniejsza jest energia, mniejszy jest zapas siły artykulacyjnej, niż na jego początku. Jeżeli zatem nasz uczony przy wszystkich takich i podobnych wypadkach powiada tylko: «jedna dążność, aby z coraz mniejszym wysiłkiem, z coraz mniejszą stratą czasu wyrażać to samo, wywołała je wszystkie», to mu nie zazdrościmy pomysłowości.

Tak samo wygodne zapewne, gdy się nie ma ochoty myśleć, ale strasznie pierwotne jest wyjaśnienie ciągłego znikania różnych form i wyrazów tym, że się ich zapomina. A z tym ciągle się u naszego filologa spotykamy. «Szczególnie u czasowników pozapominał (język) dawnych form wiele»; «o wiele znaczniejszym zmia-

nom, niż głosownia, uległa w tej samej dobie cała odmiana... Najpospolitsza z nich polega na tym, że pamięć zawodzi; mówiący, nie chcąc jej zbytnio obciążać, pozbywają się stale form rzadszych, odskakujących w czymkolwiek od «prawidła»»; ba, ale: «bywa jednak i odwrotnie; formy, acz bardzo nieliczne, podobają się mówiącym z różnych przyczyn, czepiają się pamięci i z czasem rozszerzają swój zakres daleko poza pierwotne granice, rugują nawet formy o wiele liczniejsze, ale mówiącym mniej dogodne». Ale to nic nie szkodzi. «Ubytek wynagradza się tym, że jedna forma musi zastąpić dawniejszych kilka; jeszcze częściej wynagradza go się utworzeniem nowej formy. W istocie nie masz «nowej» formy, bo język z niczego nic nie stworzy nowego, za to jest mistrzem w łataniu; rzuci dobre a stare, a przyczepi skądsiś coś innego». A ponieważ «wyników tego nie można nigdy z góry obliczyć, bo jednym podoba się to, drugim owo», więc wniosek uczonego, myśliciela prosty: «Język — grymaśnik, nigdy nie odgadniesz z góry, czego mu się zechce, dokąd podąży». Ot i chwała Bogu, znaleźliśmy krótkie a jędrne określenie, możemy, za przykładem Niemców w Galicji, którzy, przyzwyczajeni do swych Niemek, nie zawsze się mogą pogodzić z naszymi paniami, nazwać język «eine polnische grymaśnica» i napchawszy kieszenie podobnymi etykietkami ruszyć w świat i rozlepiać je wszędzie. Tylko, że nikt od naszego uczonego nie żąda, aby odgadywał przyszły rozwój języka, bo tego i daleko mocniejsza głowa nie potrafi. Ale tak samo nikt nie jest w stanie nakreślić z góry rozwoju człowieka i całej jego twórczości kulturalnej. Mimo tego jednak nikt nie mówi, że malarstwo to grymaśnica, że poezja i sztuka w ogóle to grymaśnica, że zwyczaje, wyobrażenia religijne itd. to grymaśniki;tak samo jak nikt, dlatego że nie można przewidzieć pogody, ciepłoty, trzęsienia ziemi itd., itd., nie nazywa przyrody grymaśnicą. No, bo wtedy wypadałoby jeszcze tylko, o ile kto wierzy w Boga, i jego zamianować jenerałem tych wszystkich grymaśników i grymaśnic i puścić się w wesoły i niefrasobliwy taniec, zamiast pisać książki i zamiast w ogóle pracować naukowo. Oczywiście! Jeżeli wyrazy i formy języka znikają dlatego, że ludzie mają słabą pamięć, jeżeli ludzie odrzucają zupełnie dobre wyrazy i formy tylko dlatego, że im tak do głowy strzeli i niby pół-

główki skądsiś coś do swego języka przyczepiają, no to całe językoznawstwo nie mogłoby stać wiele wyżej od zbierania marek, a nawet nie marek, ale śmieci, które wiatr po świecie roznosi, a język byłby niby wcale misternym gniazdkiem, które jednak kto i z czego zrobił: a ot, głuptas wróbel ze słomek i piórek, które zbierał po drogach i polach!

A teraz przypatrzmy się trochę uważniej twierdzeniom uczonego. «Najpospolitsza zmiana polega na tym, że pamięć zawodzi; mówiący, nie chcąc jej zbytnio obciążać, pozbywają się stale form rzadszych, odskakujących w czymkolwiek od «prawidła»». A więc jedna połowa tego zdania powiada: mówiący nie gubiliby wyrazów i form, ale cóż, kiedy biedacy mają słabą pamięć. A druga połowa twierdzi: mówiący to stworzenia niegłupie, zarzucają pewne formy, bo chcą wprowadzać ład i jednostajność i nie chcą niepotrzebnie obciążać pamięci, działają więc świadomie i mądrze. Czytelnik przyzna, żem tylko postać tego zdania trochę karykaturalnie przerysował, alem prawdy nie naruszył. No, i cóż począć z takim uczonym?

Gorzej jeszcze. Bo takie stanowisko, takie pojmowanie rzeczy, jak w przytoczonych zdaniach, prowadzi wprost i krótką drogą do jaskrawego absurdu. «Język rzuca stare a dobre, a przyczepia skądsiś coś innego i łata». A więc ludzie mówiący są nie tylko już grymaśnikami, ale dalibóg idiotami! No, a teraz: gdyby jednak byli trochę mądrzejsi i nie rzucali starego a dobrego i gdyby mieli lepszą pamięć? A no, toby mówili dziś tak jak ich praojce w jaskiniach! A jakże wtedy z całą resztą kultury? czyby była taka jak w jaskiniach, czy taka jak dzisiaj? I gdzież rozwój, gdzie konieczność rozwoju? Gdzie ta olbrzymia, czasem rozkoszna, a ciągle bolesna i straszliwa praca, jaką ludzkość wykonywa, bo ją wykonywać musi, bo jakieś niepojęte, przeogromne Coś tak jej każe? Gdzie jakiekolwiek zrozumienie dla tego wiekowego zmagania, które i w języku widać?

Oczywiście, w życiu jest nie tylko ból i praca, ale także swoboda, zabawa, śmiech i kaprys i w dziejach języka może być znać tego więcej niż na przykład w dziejach religii. Ale język wyrósł chyba przede wszystkim, tak jak cała kultura, ze srogiej potrzeby życiowej, objawiającej się w ludzkich gromadach. I cały jego roz-

wój sprowadzać do lenistwa, grymasów i zapominalstwa znaczy nie mieć ani źdźbła zrozumienia dla prawdziwej nauki humanistycznej, dla nauki o człowieku.

I na tym nie koniec, niestety. U naszego uczonego widać, niestety, prawdziwą nienawiść do wszelkich reguł, to znaczy naprawdę do porządku. Boć każdy wie o tym dobrze, że w zjawiskach językowych nie ma takich stałych i prostych reguł jak ta na przykład, że z ziarna sosny wyrasta sosna, a z ziarna jabłka jabłoń, albo że słońce wschodzi i zachodzi, albo że buty kładę na nogi a czapkę na głowę itd. bez końca. Ale w mowie ludzkiej wziętej jako całość jest taka sama konieczność rozwojowa jak w zjawiskach fizycznych, a przede wszystkim: w nieskończenie rozmaitych szczegółach, składających się na rozwój języków, jest porządek i harmonia, płynące z niewzruszonej zasady przyczynowości i związku życia. Każdy wie przy tym, że zjawiska to inne niż fizyczne, a więc inaczej się przedstawiają i układają, ale to rzecz podrzędna.

Rozumie się, że człowiek mający takie zapatrywania i myśli, jak nasz uczony, zachowuje się wobec zjawisk językowych i najprostszych nawet wątpliwości jak trzcina wiatrem raz w tę raz w drugą stronę poruszana, albo jak «eine polnische grymaśnica». Formę *twarze* nazywa «zakazaną» i stawia na równi z pisownią *dobryj curki* (sic!); *e* w *ogień*, *okien* nazywa dowolną, nieuzasadnioną wstawką tylko dlatego, że kiedyś dawno, kiedy te formy wyglądały *ognĭ*, *oknŭ*, nie było w nich w środku samogłoski: a no, to proszę, niechże Pan mówi *ogń* i *okn*! Albo powiada: «wiemy, że tylko tam *we*, *ze* jest uprawnione, gdzie w zgłosce następnej była niegdyś półsamogłoska również. Ale czytelnik, nie gramatyk z zawodu, może wymagać, aby i jemu podano wskazówkę co do tego *w*, *z* lub *we*, *ze*, przynajmniej w piśmie; otóż można mu polecić, niech, miarkując jedno drugim, pisze *z strachu*, ponieważ pisze i mówi *w strachŭ*; niech pisze *w wrotach*, ponieważ mówi *z wrót*» itd., itd., bo szkoda wszystkie przykłady tej niewczesnej reguły wypisywać. Oczom się nie chce wierzyć i ma się ochotę zawołać: a cóż to, łaskawy Panie, obchodzi język? Przecież język — to grymaśnik, któremu się raz to, raz owo podoba, który wedle fantazji rzuca, łata i obgryza wyrazy

jak młody pies, to goniący za swoim ogonem, to ciągnący przechodnia za spodnie, to znowu na brzuchu leżący! Więc idźże Pan do licha razem ze swoim «uprawnieniem» i «uzasadnieniem», z którym Pan ni stąd ni zowąd wyjeżdżasz.

I zupełnie słusznie tak mu powiedzieć można, bo raz drwi z gramatyków, którzy podają różne reguły w razach wątpliwych, podczas gdy «w istocie rozstrzyga tylko zwyczaj». A drugim razem mamy takie widowisko. Cała Polska mówi i pisze *twarze*, *ze strachu* itd., itd., a nasz uczony w imię jakiejś reguły czy czego każe pisać *twarzy*, *z strachu* itd.! Cała Polska mówi i pisze *Hegla*, *Heglowi* itd., *Lutra*, *Lutrem* itd., a nasz uczony powiada, że te formy «są chłopskie, nie cywilizowane, bo tylko wilczym prawem narzucamy im nasze *e* ruchome, którego same przecież nie znają». Język polski, grymaśnik, mistrz w łataniu itd., objawia się zdumionym oczom naszym jeszcze jako chłop niecywilizowany!

I co począć z takim uczonym? No, bieda niewielka. Trzeba robić przeciwnie, niż robi język wedle jego wyobrażenia, to jest brać to, co u niego dobre, a takie zapatrywania odrzucać, nawet z wyrozumiałością; boć jasną jest rzeczą, że naprawdę to wielkim grymaśnikiem jest on sam, ten uczony! Z wyrozumiałością, bo obok tego jest wielkim pracownikiem przed Panem.

Łaskawy czytelniku! Obawiam się, że się niewiele nauczyłeś czytając dzisiejszą moją gawędę, ale możeś się chociaż trochę ubawił. W takim razie pomyśl tylko, że cały ten ustęp można było co prawda dać do działu humorystyki językowej, ale zresztą miej wyrozumienie dla redaktora i dla podpisanego, którzy od czasu do czasu muszą dać coś «zasadniczego». Jest wprawdzie o czym pisać, ale nie zawsze się chce i dlatego człowiek jest czasem rad, gdy napotka przekorę. Ale nie znaczy to wcale, żebym i ja ze swej strony pisał to wszystko dla przekory.

Na zakończenie aforyzm, skromny, ale własny i myślę prawdziwy. Do pracy naukowej, a zwłaszcza do myślenia naukowego, do myślenia o życiu, trzeba głowy mocnej a pokornej.

## 6. O rozwoju [1] fonetycznym [2]

§ 1. W językoznawstwie indoeuropejskim, tak jak ono się rozwinęło i ustaliło w XIX wieku, po rzuceniu podwalin, po ustaleniu przedmiotu badania i rozejrzeniu się w zadaniach i sposobach postępowania, przyszła wnet kolej na to, co w początku systematycznej już i świadomej celu pracy musiało być pierwszym, dla dalszej budowy nieodzownym, a mianowicie na fundamenta. Pierwszych kilkadziesiąt lat pracy można porównać do wyboru miejsca pod budowę, wybrania fundamentów, zwożenia materiałów, naszkicowania planu; w drugiej dopiero połowie XIX wieku, zwłaszcza w latach siedemdziesiątych wzięto się naprawdę do wznoszenia gmachu od podstaw, do rzucenia mocnych fundamentów. Na tę pracę podstawową składały się: raz wnikanie w przedmiot badania w ogóle, to jest w istotę zjawisk językowych, w funkcję i rozwój mowy ludzkiej, po wtóre zaś skupienie uwagi na stronę fonetyczną języka w ogóle, a języków, indoeuropejskich w szczególności. Ponieważ elementami języka są głoski, ponieważ materiałem konkretnym zarówno najszczytniejszej poezji jak codziennego mówienia są rozmaite głosy i szmery, wytwarzane narzędziami mownymi człowieka i falami powietrza, i ponieważ także to, co jest podstawą gramatyki języków indoeuropejskich, to jest porównywanie, zestawianie wyrazów i form tych poszczególnych języków ze sobą, musiało się w ostatniej instancji sprowadzać do materiału fonetycznego, przeto wnet uznano tę część pracy, to jest fonetykę, dla pomyślnego dalszego rozwoju językoznawstwa indoeuropejskiego, za nieodzowną, na razie za najważniejszą. Okazało się też, że odziedziczona po starożytności tradycyjna gramatyka w tym właśnie zakresie przedstawiała nie tylko największy, ale wprost zupełny brak. Wzięto się zatem do rewizji tego, co w zakresie fonetyki dotąd, od ukonstytuowania się lingwistyki indoeuropejskiej, zrobiono, do badania czynności organu mownego, powstawania i istoty głosek, zmian fonetycznych i stosunku fonetycznego, jaki między poszczególnymi językami indoeuropejskimi zacho-

---

[1] Wyraz i pojęcie «rozwoju» biorę zawsze w znaczeniu obojętnym ‘przeobrażania się’, a nie ‘postępu’.

[2] Język Polski III, 2—3 (luty—marzec 1916).

dzi. Cała ta praca, z całą świadomością i energią zwłaszcza w latach siedemdziesiątych wdrożona, odbywała się w znacznej mierze jako reakcja przeciw uprzedniej praktyce i nadała językoznawstwu zwłaszcza ostatniej ćwierci (niecałej) XIX wieku cechę charakterystyczną, wysuwając w tej epoce na pierwszy plan fonetykę. Główny interes uczonych i lwia część ich pracy skupiały się w tej dobie na fonetyce. Była to naprawdę praca konieczna i podstawowa, chociaż zarazem tylko przygotowawcza.

Praca rozdzieliła się z natury rzeczy na fonetykę historyczną, to jest na badanie ewolucji fonetycznej poszczególnych języków indoeuropejskich i porównywanie ich stanu fonetycznego, oraz na fonetykę opisową, to jest na badanie istoty i rozwoju elementów i skupień fonetycznych, oraz roli i czynności narzędzi mownych.

§ 2. W jednym i drugim kierunku bardzo było indoeuropeistom pomocne zapoznanie się z gramatyką staroindyjską czyli sanskrycką, tak jak ona została skodyfikowana w dziełach gramatyków indyjskich, zwłaszcza Paniniego. Albowiem w przeciwieństwie do gramatyki klasycznej, to jest greckiej, która, przejęta żywcem prawie przez Rzymian, panowała w Europie aż do czasów nowożytnych, a stała w ogóle nader nisko, gramatyka Hindusów osiągnęła w analizie form, ścisłości obserwacji w fonetyce wysoki stopień rozwoju. Ciekawe jest przeciwieństwo i różnica myśli i nauki greckiej i europejskiej a staroindyjskiej w tym punkcie. Grecy, naród obdarzony tak wyjątkowymi zdolnościami, który stworzył naukę i sztukę europejską, który także w zakresie literatury zajmował wyjątkowe stanowisko, którego język stał się przedziwnym narzędziem tej literatury, nie miał właśnie dla języka zmysłu naukowego i jego spostrzeżenia w tym kierunku, poza stylistyką i retoryką, nie wyszły nigdy z powijaków. Za Grekami zaś poszli Rzymianie i Europa, aż do czasów nowożytnych. Natomiast aryjscy Hindusi, lud także obdarzony bardzo wielkimi zdolnościami, który również wytworzył wielką i wspaniałą literaturę, chociaż z mniej rozległym zakresem naukowej badawczości od Greków, w obserwacji języka wyprzedził ich ogromnie.

Otóż nowoczesna lingwistyka indoeuropejska bardzo wiele trafnych, ścisłych i delikatnych spostrzeżeń przejęła wprost od gramatyków indyjskich, jak przede wszystkim analizę etymologiczną form

i wyrazów, analizę złożeń (kompozytów), analizę i układ głosek, szeregi wokaliczne itp. I to był w porównaniu z gramatyką klasyczną wielki postęp.

§ 3. Ale indyjscy Aryjczycy tak samo jak Grecy, tak samo zresztą jak cała starożytność i czasy następne aż prawie do wieku XIX, nie znali wcale pojęcia ewolucji i rozwoju, nie znali go zupełnie zwłaszcza w zakresie życia psychiczno-kulturalnego. To jest może największa różnica między nowoczesną a dawniejszą umysłowością. Epoka klasyczna na najwyższym szczeblu swego greckiego rozwoju znała tylko historię jako następstwo zewnętrznych zdarzeń czegoś w istocie swej niby stałego, nie znała zaś wewnętrznej ewolucji, ba, w zakresie kultury i psychiki ludzkiej przypuszczała dosyć powszechnie jako ogólną zasadę i ogólny punkt widzenia cofanie się, upadek z dawniejszego wyższego, doskonalszego stanu; nie istniała nauka o historii i rozwoju kultury; nawet w zakresie życia organizmów i zjawisk fizjologicznych, pomimo poszczególnych trafnych obserwacji, nigdy się nie wzniosła na ogólne rozwojowe stanowisko. A Hindusi mieli w tym kierunku właściwie jeszcze mniej zmysłu odpowiedniego niż Grecy.

W tym punkcie nowożytna nauka europejska musiała zaczerpnąć z własnych środków i wcześnie też znać na językoznawstwie indoeuropejskim korzystny wpływ ewolucjonizmu nauk przyrodniczych. Koncepcja rodziny językowej indoeuropejskiej, prajęzyka indoeuropejskiego jako wspólnego źródła, powolnego rozwoju poszczególnych języków itd. nie istniała w starożytności i istnieć by nie mogła, bo nie było po temu w umysłowości klasycznej danych warunków rozwojowych.

Jednak ten konieczny i płodny sposób patrzenia się na zjawiska językowe nie od razu i nie tak łatwo znalazł swe zastosowanie także i w fonetyce. Ci sami uczeni, którzy w ogóle na wzajemne stosunki poszczególnych języków indoeuropejskich, na wzajemny stosunek narzeczy jednego języka, na powolną ewolucję mowy i języków, na pojęcia chronologiczno-rozwojowe różnych epok (przy czym tzw. praepoki grały ważną rolę) mieli już dosyć jasny pogląd, wobec zjawisk fonetycznych, wobec ewolucji fonetycznej, stali jeszcze długo bezradnie. Nic w tym zresztą dziwnego, boć chodziło

tu o zjawiska i zakres faktów, daleko trudniej mogących dojść do świadomości, o drobne elementy językowe, i trzeba było znacznego wysiłku uwagi i pracy. Toteż rozwój pojęć o istocie zmian fonetycznych czyli ewolucji fonetycznej musiał być powolny.

§ 4. Fonetyka, zarówno opisowa jak historyczna, doszła w nowoczesnym językoznawstwie do wysokiego stopnia rozwoju. Ma ona jeszcze oczywiście swoje problemy i zadania do rozwiązania i opracowywania i zawsze je mieć będzie, bo badawcza praca umysłu ludzkiego wraz z ogólną jego ewolucją nieustannie posuwa się naprzód, ale możemy stwierdzić i śmiało utrzymywać, że idziemy właściwą drogą, że fundamenty zostały dobrze i silnie założone. Fonetyka jest i będzie jedną z podstaw historycznej czyli rozwojowej czyli naukowej lingwistyki; przy czym wcale nie chcę twierdzić, że ewolucjonizm sam przez się już zbawia, lub że nie należy pilnie rozpatrywać strony aktualnej zjawisk, to jest ich funkcjonalnego znaczenia w danym zakresie, czasie i środowisku. Et haec facienda et illa non omittenda.

Jest rzeczą jasną, że praca językoznawcza w zakresie, który dawniej jako pole badania właściwie nie istniał, musiała wydobyć nie tylko całe mnóstwo spostrzeżeń, stwierdzić całe mnóstwo zjawisk i faktów, ale także, porządkując je i wnikając w ich istotę, wytworzyć względnie ustalić cały szereg szczegółowych i ścisłych czyli technicznych pojęć i terminów. To samo dzieje się lub się działo w każdej nauce. Ta też strona nowożytnego językoznawstwa, specjalnie historyczno-porównawczej gramatyki indoeuropejskiej, stanowi największą zewnętrzną różnicę od dawniejszej gramatyki i największą zewnętrzną trudność do pokonania dla niefachowca; ona też długi czas robiła lingwistykę indoeuropejską tak niepopularną, bo trudną, dla filologów klasycznych itd. Trzeba sporo pracy, wysiłku i dobrej woli, aby wejść w domostwo lingwistyki, ale to samo jest przy każdej innej nauce. To samo, ale niezupełnie. Stosunek niefachowców do językoznawstwa jest nieco inny niż do innych nauk i powód tego jest jasny. A mianowicie, każdy człowiek zna przynajmniej jeden język, i to zupełnie dobrze, mówi nim i pisze, podczas gdy materiał innych nauk, zwłaszcza przyrodniczych, zna bezpośrednio, bez osobnego uczenia się, tylko w bardzo małym stopniu i dlatego naukę,

która ma za przedmiot język, to jest zakres zjawisk każdemu bezpośrednio dany, ludzie właściwie lekceważą, myśląc sobie, że tu nie ma nic do uczenia się i rozmyślania. Ludzie cenią sobie dopiero znajomość obcych języków, których się trzeba wyuczyć i których posiadanie zapewnia im rozmaite korzyści. No, ale sposób do tego i zwykłą, praktyczną gramatykę każdy przecież zna; nie ma w tym nic szczególnego. I dlatego o języku i kwestiach językowych każdy jest gotów rozprawiać i sądzić, podczas gdy przy innych naukach, gdzie się nawet materiału prawie wcale nie zna, ludzie cicho siedzą. Lingwistyka szczegółowa, np. historyczno-porównawcza gramatyka języków indoeuropejskich ze swym obcym dla niefachowca wyglądem, całym szeregiem osobnych terminów i znaków, trochę ludziom, jak zwykle rzecz nie znana, imponuje, ale nie bardzo — bo to przecież dotyczy języka, tej każdemu doskonale znanej rzeczy, więc co tu dużo o tym gadać?! Na co, poza praktycznymi podręcznikami różnych języków, pisać o tym grube tomiska?! Ale na grube dzieła przyrodnicze, historyczne itd. ludzie spoglądają z szacunkiem.

I tu dochodzimy do właściwej różnicy, do właściwego powodu rozmaitego stosunku wykształconego ogółu do językoznawstwa a do innych nauk. Oto z jednej strony nauka o języku nie daje żadnych praktycznych korzyści, nie prowadzi do żadnych wynalazków, które by się w życiu dały wyzyskać, a z drugiej strony cała jej waga, cały jej ciężar spoczywa właściwie w wytężonym skierowywaniu uwagi, w wytężonej pracy uświadamiania zjawisk — dobrze na pozór znanych. Wiele zaś innych nauk dopiero zjawiska same wydobywa, a to jest niewątpliwie z jednej strony łatwiej, z drugiej dla przeciętnego umysłu zabawniej.

Celem tych moich pogadanek, rozpoczętych wraz z przeobrażeniem się Poradnika Językowego na Język Polski, jest właśnie zbliżenie ogółu wykształconego do językoznawstwa, wyjaśnienie mu zadań tej nauki, wyjaśnienie, choćby w drobnej mierze, istoty zjawisk językowych, roli i rozwoju języka. Obecnie chcę pomówić o stronie fonetycznej, od czego może nawet ze względu na poruszone wyżej powody i momenty i ze względu na to, że dyletanci srodze u samych tych podstaw grzeszą, należało zacząć.

§ 5. Otóż pierwszym zasadniczym faktem w zakresie fonetyki jest fakt przeobrażania się, zmian, przemian poszczególnych głosek, ich grup lub całych szeregów, oraz zmian innych fonetycznych zjawisk i właściwości, jak np. akcentu. Mamy tu dwojakie fakty. Po pierwsze zmiany w czasie, różnice chronologiczne w systemie fonetycznym tego samego języka. Każdy, kto chodził do szkoły średniej, wie, że dzisiejszy język kulturalny polski nie tylko w wielu innych rzeczach różni się znacznie od dawniejszego, ale także w fonetyce, i to, ogółem biorąc, tym więcej, im dawniejszą jego fazę mamy na oku. Fonetyka polska drugiej połowy wieku XIV różni się bardziej od dzisiejszej, niż fonetyka wieku XVI itd. Dawniej mówiono np. *sędzić sędzi sądzę sądził*, dziś *sądzić sądź* jak *sądzę sądził*, a jeszcze dawniej samogłoski nosowe w ogóle inaczej brzmiały; dawniej mówiono *tamo*, *szczyry*, *żyr*, *cirpieć* lub *cirzpieć*, dzisiaj *tam*, *szczery*, *żer*, *cierpieć*; dawniej było pochylone *á* (*å*, zbliżone do *o*) obok jasnego, dziś pochylone wszędzie jest zastąpione jasnym; jeszcze dawniej rozróżniano długość i krótkość samogłosek itd., itd. To samo jest, jak wiadomo, w każdym języku: przeobraża się i zmienia nieustannie. Obok tych zmian następowych mamy różnice współczesne. I to rzecz każdemu dobrze znana. Wystarczy posłuchać mowy niższych warstw w Krakowie, wyjść za miasto, pojechać do Zakopanego itd., aby się przekonać, że lud nasz mówi inaczej niż my, i to nie tylko co do składni, form, wyrazów i ich znaczeń, ale także co do wymawiania. Jest to dobrze znany fakt istnienia narzeczy. Ale nawet pozostając w obrębie warstwy inteligencji czyli w obrębie języka tzw. kulturalnego lub piśmiennego, spostrzegamy, że między naszym językiem tu w Krakowie a językiem innych okolic i środowisk Polski są pewne, także fonetyczne różnice, nieraz, np. w mowie Polaków na Litwie i Rusi, wpadające nam od razu w ucho, np. inne zmiękczanie *s* niż u nas (*siła* itd.), wymowa *Kraśiński* itp.

Te współcześnie istniejące różnice fonetyczne w obrębie tego samego języka polegają oczywiście także na zmianach, a cała ich różnica od tamtych, chronologicznych czyli czasowych różnic, sprowadza się do tego, że zmiany i różnice dotyczą nie tylko czasu, ale i przestrzeni. Żadna zmiana fonetyczna (i w ogóle językowa) nie odbywa się od razu na całej przestrzeni, to jest u wszystkich ludzi,

danym językiem mówiących. Pod tym względem istnieje nieskończone stopniowanie: z jednej strony zmiana może się dokonywać prędzej lub wolniej, w obrębie jednego lub kilku pokoleń, z drugiej może ogarnąć cały obszar językowy lub tylko jego większą lub mniejszą część. Np. zanik dawnych różnic iloczasowych w samogłoskach czyli stałej oboczności długich i krótkich samogłosek objął zwolna cały bez wyjątku obszar polski (w ściślejszym tego słowa znaczeniu, to jest poza kaszubskim); podobnie dawne zmiękczone *t*, *d* na całym obszarze polskim przeobraziły się z biegiem czasu w *ć*, *dź*; *rz* przeszło prawie na całym obszarze, jak i w języku kulturalnym, w *ż* (względnie *sz*) i tylko w niektórych narzeczach południowo-zachodnich oraz tu i ówdzie na północnym-wschodzie słychać jeszcze głoskę *ŕ*, a znów w kilku gwarach objęło je ogólne mazurzenie (*zeka*, *gzech*); *á* pochylone znikło zwolna z języka klas wykształconych zupełnie, natomiast w narzeczach przeważnie się utrzymało; *é* pochylone dopiero zwolna zanika w języku kulturalnym, ale do zupełnego zaniku jego w mowie wszystkich wykształconych Polaków jeszcze daleko; zmiana *ł* na *u̯* posuwa się zwolna ku wschodowi, zarówno w języku piśmiennym jak w mowie ludu, ale wahania lokalne, często w obrębie jednej okolicy, wsi, nieraz rodziny, są jeszcze bardzo znaczne itd., itd. Oczywiście to samo było zawsze i wszędzie.

Zatem pierwszy, zasadniczy i elementarny fakt możemy sformułować w ten sposób: system fonetyczny każdego języka, to jest jego głoski i właściwości fonetyczne, przeobraża się nieustannie; tempo i zakres (zarówno co do zjawisk jak przestrzeni) przeobrażenia wykazują przy tym najrozmaitsze stopniowania.

§ 6. Zanim pójdziemy dalej, zatrzymajmy się jeszcze trochę przy tym zasadniczym zjawisku i uprzytomnijmy sobie, jak niełatwo takie, zupełnie niby oczywiste i elementarne, dla naukowego myślenia konieczne zjawiska dochodzą do świadomości ogółu ludzkiego. Jużci Grecy i Rzymianie i w ogóle wszyscy wykształceni zawsze wiedzieli i wiedzą, że język się zmienia i że także jego wygląd fonetyczny nie pozostaje ten sam, bo trudno tego nie spostrzec. Ale mimo to starożytni nigdy nie doszli do tego, żeby przeobrażanie

się fonetyczne języka poznać i uznać jako zjawisko powszechne, naturalne i konieczne, i ażeby, co za tym idzie, to zjawisko systematycznie obserwować i systematycznie przy wszelkich dochodzeniach językowych, jak np. etymologicznych, uwzględniać. A nie ulega wątpliwości, że ogół wykształcony i dziś jeszcze stoi na tym samym stanowisku, co Rzymianie lub Grecy. Ba, na co nam ogółu?! Toć wiemy, że na tym samym stanowisku w gruncie rzeczy stały jeszcze takie potężne duchy jak Mickiewicz i Słowacki! Zawsze, i dzisiaj jeszcze, bardzo wśród ludzi rozpowszechniona fantastyczna, tak zwana dzika etymologia, polegająca na zestawieniu wyrazów wyłącznie na podstawie podobieństwa, istniejącego aktualnie w danym czasie (np. łać. *deus* z greckim *theós*), nie byłaby możliwa, gdyby ludzie raz sobie porządnie uświadomili i stale pamiętali o momencie rozwojowo-historycznym. Bo aktualne podobieństwo dwóch wyrazów w danym czasie, o ile nie chodzi o takie oczywiste związki jak *koń-konik*, *pan-pani*, *biały-bielić* itd., itd., niesłychanie często, ba przeważnie, polega na przypadku. W powyższym np. wypadku uwzględnienie momentu historyczno-rozwojowego wykazuje, że łaciński wyraz brzmiał dawniej nieco *deivos*, a grecki **dhvesos*[1] i późniejsze ich fonetyczne podobieństwo od razu znika, okazuje się wynikiem przypadkowym. Na odwrót trudno niefachowcowi uwierzyć, że polskie *córka*, czeskie *cera*, ruskie *dočka*, starocerkiewne *dŭšti* — to, pomijając końcówkę czyli sufiks, genetycznie ten sam wyraz[2], a nadto ten sam wyraz co litewskie *duktẽ*, niemieckie *Tochter*, greckie *thygátēr*, sanskryckie *duhitā́*, bo — no bo są całkiem do siebie niepodobne. A tymczasem po uwzględnieniu fonetycznego przeobrażania się tych wyrazów dochodzimy do zupełnie pewnego i niewzruszonego rezultatu, że wszystkie one polegają na tej samej i jednej formie pierwotnej, która w prajęzyku[3]

[1] Przynajmniej prawdopodobnie; w każdym razie całkiem inaczej niż wyraz łaciński.

[2] Pol. córka a stck. dŭšti nie mają ani jednej głoski tej samej!

[3] To znaczy, nie w jakimś pierwotnym języku, tylko po prostu w epoce, kiedy języki indoeuropejskie tworzyły jeszcze jeden, mniej lub więcej jednolity, na kilka tysięcy lat przed Chr.

indoeuropejskim brzmiała **dhughətḗ*[1]) lub **dhughətḗr*, a dialektycznie **dhuktḗ(r)*.

Nieraz jednak i aktualne fonetyczne podobieństwo bardzo długo się utrzymuje. Np. wyraz *matka*, *mać*, *maciora*[2]), jak wiadomo, we wszystkich językach indoeuropejskich do dziś dnia brzmi dosyć podobnie. Albo wyraz *syn*, niem. *Sohn*, litew. *sūnùs*: dzisiejsza postać tego wyrazu w tych językach jest jeszcze dosyć podobna do staroindyjskiego (sanskryckiego) *sūnús*, a litew. *sūnùs* prawie niczym się nie różni od formy praindoeuropejskiej. Albo weźmy litew. *ẽsti* 'bywa, jest' (w znaczeniu niemieckiego 'es gibt'): ten wyraz litewski brzmi prawie zupełnie tak samo jak brzmiał w prajęzyku indoeuropejskim, to znaczy przez cztery do pięciu tysięcy lat (a zapewne jeszcze dłużej) prawie zupełnie się nie zmienił; a i jego dzisiejszy polski i niemiecki wygląd, *jest*, *ist*, także jeszcze jest dosyć podobny.

Widzimy zatem, że moment aktualnego w danym czasie podobieństwa fonetycznego wyrazów jest najzupełniej względny.

§ 7. Trzeba zrozumieć i żywo pamiętać, raz na zawsze wiedzieć jasno i mocno, że wygląd fonetyczny każdego języka ulega nieustannemu, to powszechnemu, to częściowemu, to powolniejszemu, to szybszemu, ale ciągłemu, stałemu i koniecznemu przesuwaniu się, przeobrażaniu. I po wtóre: że w ciągu tych długich tysięcy lat rozwoju względnie istnienia, jakie każdy język ma za sobą, jego wygląd fonetyczny (tak samo oczywiście jak i inne jego cechy) musiał w porównaniu z jego stanem obecnym lub w ogóle stanem w jakiejś znanej epoce ulec ogromnemu przeobrażeniu. Wystarczy przecież rzucić okiem na istniejące dzisiaj języki indoeuropejskie, a więc na polski i inne słowiańskie, na niemiecki, angielski i inne germańskie, na włoski, francuski i inne romańskie, na litewski i łotyski, na nowogrecki, armeński (ormiański), perski itd., itd., aby się o tym jak najoczywiściej przekonać. Bo wszystkie te języki, tak do siebie dzisiaj niepodobne, są kontynuacjami, rozwidleniami jednego języka sprzed kilku tysięcy lat. A następnie wystarczy rzucić okiem na historyczną fonetykę jednego lub drugiego

---

[1] ə oznacza pewną samogłoskę, którą dla tej epoki wypada przyjąć.

[2] *Maciora* znaczyło dawniej 'matka'; w starej polszczyźnie używa się np. nawet o Matce Boskiej; później się znaczenie wyspecjalizowało. Por. *macierz* itd.

języka lub trochę sobie przypomnieć wygląd fonetyczny francuskiego np. w porównaniu z łaciną, niemieckiego w porównaniu z gockim, polskiego w porównaniu ze starocerkiewnym, żeby przytoczyć parę najbliższych przykładów, aby się przekonać, jak nie tylko silne, ale i różnorodne bywają w ciągu kilkunastu wieków zmiany fonetyczne. Niektóre głoski trzymają się długo bez wielkich zmian, przeważnie jednak ulegają znacznym przeobrażeniom, a bardzo często, jeżeli uwzględnimy nieco dłuższy przeciąg rozwoju, stają się całkiem do siebie niepodobne. Np. francuskie *ch*, to jest co do wymowy nasze *sz*, z łacińskiego *k*: *cheval* ⇐ [1]) *caballus*, *chien* ⇐ *canis*, franc. *j* (to jest nasze *ż*) z łac. *j*: *jurer* ⇐ *jurare*, franc. *i (j)* z łać. *k* w grupie *kt*: *nuit* ⇐ *nocte(m)*, słowiańskie *č (cz)*, *ž (ż)* z *k*, *g*: *pieczesz* obok *piekę*, *możezs* obok *mogę*; *dj* przeszło w językach słowiańskich w różne głoski: **medja* (= łac. *media*) rozwinęło się w starocerk. i bułg. w *žd (mežda)*, w pol. w *dz (miedza)*, w ruskich językach w *ž (meža)* itd.; podobnie *tj*; głoski *j*, *v (w)*, *s* w wielu językach z biegiem czasu zanikają zupełnie, w innych się trzymają; w celtyckich językach znikło z czasem zupełnie dawne *p* (np. staroiryjskie *athair* 'ojciec' = grec. *patḗr*, łac. *pater* itd.), podczas gdy w innych tylko wyjątkowo ginie; dawne *j* rozszczepiło się w greczyźnie w *h* (tzn. spiritus asper), a w pewnych warunkach w *dz*: *dzygón* = łać. *iugum*, *dzōrós* 'silny, mocny (o winie)' = naszemu *jary* itd.; greckie *dzēta* brzmiało pierwotnie *zd*, potem przeszło w attyckim i innych narzeczach w *dz* lub *z*; często z biegiem czasu samogłoska staje się do siebie niepodobną: *a* przechodzi w *i* lub na odwrót (np. sanskryckie *pitā́* 'ojciec': obok łac. *pater*, grec. *patḗr* itd., kaszubsko-słowińskie *lâpa* = *lipa*) itd., itd. bez końca.

Uświadomienie sobie tego rodzaju niesłychanie licznych i pospolitych przeobrażeń przyda nam się później do zrozumienia, jak dalece pozbawioną sensu jest skłonność dyletantów do kombinacji etymologicznych, nie uwzględniających tego zasadniczego faktu ewolucji fonetycznej, a operujących jakimś tajemniczym znaczeniem poszczególnych głosek.

---

[1] O znakach ⇐ i ⇒ p. przypisek 2 na str. 70.

§ 8. Drugim zasadniczym zjawiskiem rozwoju fonetycznego jest znaczna jego prawidłowość czyli stałość i konsekwencja zmian fonetycznych. Na tę to stronę zjawiska zwróciło nowsze językoznawstwo baczną uwagę wbrew dawniejszej praktyce i doszło w latach siedemdziesiątych do skrajnego sformułowania zasady o «bezwyjątkowości praw głosowych». Zostawmy tę zasadę na razie na boku i przypatrzmy się samym zjawiskom.

Otóż przypatrując się uważnie wzajemnemu fonetycznemu stosunkowi np. języków romańskich, albo stosunkowi poszczególnych języków germańskich do siebie, albo języków słowiańskich itp. spostrzega się i stwierdza z łatwością wielką prawidłowość i stałość odpowiedników (czyli oboczności) fonetycznych. Np. stosunek fonetyczny między naszym *krowa*, czeskim i południowo-słowiańskim *krava*, a ruskim (to jest rosyjskim, małoruskim, białoruskim) *korova* powtarza się w dziesiątkach i dziesiątkach najrozmaitszych wyrazów, np. takich jak *wrona*, *mróz*, *próg*, itd., itd. Albo stosunek fonetyczny, jaki widzimy w pol. *biały* || *bielić*, powtarza się w polszczyźnie stale w całym szeregu wyrazów (*dział* || *dzielić*, *wiara* || *wierzyć*, *biały* || *bielizna*, *piana* || *pienić* itd. itd.), a tej polskiej oboczności *a* || *e* (po pewnych spółgłoskach) odpowiada w innych językach słowiańskich jednolita samogłoska tzw. *jať* (*ě*, np. starocerk. *bělŭ*, *běliti*, *měra*, *měriti* itd., itd.). Inna oboczność fonetyczna polska, również w dziesiątkach i setkach wyrazów i form się powtarzająca, a mianowicie taka jak: *biorę*, *zbioru*, *ubioru* || *bierzesz*, *bierze*, *miotać* || *miecie*, *pszczoła* || *pszczelny*, *żona* || *żeński* itd., itd., odpowiada w innych językach słowiańskich znowu (przeważnie) jednej głosce, ale innej, mianowicie zwykłemu *e* (np. starocerk. *berǫ*, *bereši* itd., *žena*, *ženĭskŭ* itd., itd.).

Albo weźmy takie zjawisko (stosunek, oboczność) fonetyczne jak *cz (č)*, *ż (ž)* || *k*, *g* w językach słowiańskich, np. *piekę*, *pieką* || *pieczesz*, *piecze*..., *mogę*, *mogą* || *możesz*, *może*..., *noga* || *nóżka*, *nożny*..., *oko* || *oczny*, *oczko*. Ten stosunek powtarza się w setkach i tysiącach wyrazów i form we wszystkich językach słowiańskich.

I to samo możemy stwierdzić dla niezliczonych innych przeobrażeń czyli zmian fonetycznych we wszystkich językach, i dotyczy to zarówno stosunku poszczególnych języków jednej ciaśniejszej,

grupy do siebie, np. języków słowiańskich między sobą, germańskich między sobą itd., itd., jak i poszczególnych narzeczy jednego języka między sobą, jak i wreszcie poszczególnych całych grup między sobą.

Weźmy narzecza jednego języka i ich wzajemny stosunek fonetyczny. Mamy tę samą stałość; np. w narzeczach mazurujących nie jeden tylko lub drugi wyraz wykazuje *c, z, s* wobec głosek *cz, ż, sz* narzeczy nie mazurujących i języka piśmiennego, tylko w setkach i setkach wypadków. Albo, jeżeli pewne narzecza zachowały *á* pochylone, to tak samo nie w kilku lub kilkunastu, ale w tysiącach form. I to samo odnosi się do zmian, względnie odpowiedników fonetycznych międzydialektycznych w ogóle.

Ale nie inaczej rzecz się ma i ze stosunkiem całych grup — oczywiście o ile są pokrewne — do siebie. Stosunkowi, któryśmy wyżej stwierdzili w pol. *krowa* || czesk. *kráva* || ros. *korova* odpowiada w języku litewskim (i w ogóle w grupie bałtyckiej) stale *ar*: *kárvė, várna* itd., a podobnie i w innych językach indoeuropejskich mamy w tych wypadkach, to jest w wyrazach etymologicznie pokrewnych, stale *or* (lub *ăr*). I to samo powtarza się w innych wypadkach.

Rozumie się prawie samo przez się na podstawie tego, co dotąd powiedziano, ale lepiej zaznaczyć to jeszcze osobno i wyraźnie, że to samo odnosi się do chronologicznego stosunku zmian fonetycznych w obrębie jednego i tego samego języka, jednego i tego samego narzecza. Jeżeli dawniejszy język polski kulturalny posiadał obok jasnego *a* pochylone *(á)* i jeżeli w pewnej epoce jego rozwoju to pochylone *á* przesunęło się w wymowie tak, że ostatecznie spłynęło z jasnym *a* w jedną samogłoskę, to nie nastąpiło to w pewnych tylko wyrazach lub formach, lecz — ogółem biorąc — we wszystkich. Albo jeżeli zmiękczone *r* w pewnej epoce języka polskiego przeobraziło się w *ʳż* (względnie *ʳsz* w odpowiednim położeniu), a to znowu w dalszym ciągu zmieniło się w *rz*, wymawiane jak *ż* (względnie *sz*), to znowu nastąpiło to powszechnie, a nie tylko czasem, w niektórych wyrazach i formach, w innych zaś nie. I tak dalej bez końca.

§ 9. Otóż na podstawie tego rodzaju spostrzeżeń, robionych w niezliczonych przypadkach w obrębie zarówno poszczególnych

języków i narzeczy, jak i całych grup, mniejszych i większych, językoznawstwo indoeuropejskie stwierdziło zwolna fakt, że przeobrażenie fonetyczne odbywa się nie dowolnie, kapryśnie lub na wyrywki, tylko stale i prawidłowo. I wreszcie, w epoce rewizji podstaw językoznawczych w ogólności, a fonetycznych w szczególności, sformułowano to spostrzeżenie jako zasadę bezwyjątkowości praw głosowych, czyli innymi słowy postawiono twierdzenie, że zmiany fonetyczne głosek lub grup głosowych odbywają się w zasadzie powszechnie, we wszystkich wypadkach, zatem w zasadzie bez wyjątku.

Naprzód uwaga o terminie «prawa głosowe (Lautgesetze, lois phonétiques)». Termin ten jest po dziś dzień w językoznawstwie indoeuropejskim, a za jego przykładem i w lingwistyce w ogóle, przeważnie powszechnie używany. Jednak szczęśliwy nie jest, bo albo nasuwa na myśl prawa, ustanawiane względnie rozwijane przez człowieka, w zakresie ustawowo-prawnym, etycznym itp., albo też prawa fizyczne, przyrodnicze. Zjawiska fonetyczne, nazywane prawami głosowymi, mają i z jednym, i z drugim rodzajem praw niejedną cechę wspólną, ale wykazują też znaczne i ważne różnice. A pojęcie, w tym terminie zamknięte, można zupełnie wystarczająco określić mianem zmian, przeobrażeń, albo tendencji, albo rozwoju fonetycznego, przeto lepiej terminu «prawo głosowe» unikać. Ja osobiście od wielu lat, zarówno w wykładach jak rozprawach, zupełnie go nie używam i żadnego przez to kłopotu nie doznaję. Daleko ważniejszą rzeczą jest zwłaszcza dla początkujących i dyletantów, uchwycić jasno, to jest naprawdę zrozumieć i przyswoić sobie samo pojęcie.

Cóż to jest to tak zwane «prawo głosowe» czyli mówiąc po prostu, zmiana fonetyczna? Jest to uogólnienie całego szeregu poszczególnych, konkretnych wypadków, wydobywające to, co w nich jest wspólnego. Np. na podstawie całego mnóstwa takich odpowiedników jak *biały* || *bielszy*, *bielić*, *wiara* || *wierze*, *wierzę*, formułujemy fakt: w języku polskim głoska, kontynuująca dawniejsze ogólnosłowiańskie *ě* (jat') rozszczepiła się (w tym a tym czasie) w *a* || *e*; mianowicie przed następującymi niepalatalnymi (niezmiękczonymi) spółgłoskami przedniojęzykowymi (*t*, *d*, *n*, *r*, *l*, *s*, *z*) przeobraziła się

ostatecznie w zwykłe *a*, zaś przed wszystkimi innymi w zwykłe *e*. Na podstawie całego mnóstwa takich odpowiedników (oboczności) jak *krowa-krava-korova* || litew. *kárvė*, *brzeg-brěgŭ-bereg* || niem. *Berg* formułujemy fakt: grupa głosowa *or*, *er* w położeniu między spółgłoskami zmieniła się w językach słowiańskich w ten sposób, że w narzeczach lechickich ostatecznie przeobraziła się w *ro*, *re* (z czego dalej *ře*), w narzeczach czeskich i południowo-słowiańskich w *rá*, *rě*, w narzeczach ruskich w *oro*, *ere*. W praktyce mówimy krótko: dawne indoeuropejskie *ū* przeszło w językach słowiańskich (to znaczy jeszcze w prasłowiańskiej epoce) w *y*, zmiękczone *ŕ* przeszło w polskim w *rz*, pragreckie *ā* przeszło w jońskim w *ē* (*η*), prapolskie (ogólnopolskie) *cz*, *ż*, *sz* przeszły w tych a tych narzeczach w *c*, *z*, *s* itd., itd., a pisząc przedstawiamy to jeszcze krócej w takiej formie: ideur.[1]) *ū* ⥱ [2]) sł.[1]) *y*; pragr. *ā* ⥱ jon. *η* itd. Jeżeli zestawiam różne narzecza jednego języka lub rozmaite języki jednej grupy ze sobą, to oczywiście stwierdzenie stosunków fonetycznych przybiera wygląd zrównań albo oboczności. Mówimy np.: sanskr. (czyli staroindyjskie) *ū* = gr. ῡ = łac. *ū* = słow. *y* = lit. *ū* itd., albo też, co jest właściwsze: sanskryckiemu *ū* odpowiada gr. ῡ, łac. *ū*, słow. *y* itd., co też można wyrażać (za przykładem Baudouina de Courtenay) krótko: sti. *ū* || gr. ῡ || łac. *ū* itd.

§ 10. Otóż fonetyka historyczna w nowożytnym ujęciu, czy to jednego języka czy całej grupy, jest uporządkowanym zbiorem tego rodzaju jednostkowych, ale zarazem już gatunkowych stwierdzeń wszystkich poznanych przeobrażeń, zmian, względnie oboczności fonetycznych. Porządek czyli system wynika z faktu, że rozmaite takie «prawa głosowe» dadzą się podciągnąć pod uogólnienia wyższego rzędu, przy czym mogą być stosowane różne punkty widzenia. Ogółem biorąc, wynikają te uogólnienia po pierwsze z jakości czyli natury a) głosek, b) właściwości i dążności fonetycznych, a po wtóre z jakości i bezpośrednich przyczyn zmian fonetycznych. A więc co się tyczy pierwszego momentu, rozróżniamy rozwój samo-

[1] Lub ide. — indoeuropejski, dokładniej: praindoeuropejski; podobnie: (pra)sł(owiański).

[2] Ten wygodny i jasny znak, wyrażający zarazem zrównanie jak i kierunek rozwoju, wprowadziła polska nauka.

głosek od spółgłosek, rozwój spółgłosek dzielimy na rozwój spółgłosek zwartych, sonornych (nosowych i płynnych) i spirantów (*s*, *z* itd.); rozwój spółgłosek zwartych rozpada się oczywiście na poddziały: spółgłoski wargowe, przedniojęzykowe itd. Dalej łączymy w osobne grupy rozwój samogłosek pod względem iloczasu, rozwój systemu akcentuacyjnego, rozwój pod względem budowy zgłosek, rozwój osobnych głosek i grup głoskowych (np. *st*, *kt* itd.). Ze względu na drugi moment rozróżniamy rozwój niezależny od zależnego, o czym jeszcze niżej będzie mowa, zmiany głosek pod wpływem akcentu, następstwa fonetycznego, np. przegłos samogłosek pod wpływem jakości następującej zgłoski (np. rozszczepienie *o* || *e*, *e* || *a*, w polskim: *żona* || *żeński*, *wiara* || *wierny*; palatalizacja spółgłosek np. słow. *cz*, *ż* z pierwotnych *k*, *g*, pol. *ć*, *dź* z pierwotnych *t*, *d* itd., itd.), upodobnienia (asymilacje), dysymilacje (np. *r-r*⇐*l*(*ł*)-*r*: *Małgorzata* ⇐ *Margorzata*, *mularz* ⇐ *murarz* itd.), rozwinięcie nowych spółgłosek w pewnych warunkach (tak zwane wstawki, epentezy itp., np. słow. *str* ⇐ *sr* w *ostrów*, *struga*, gr. φαίνω ⇐ *φανjω, gr. ἀνδρός ⇐ *ανρος itd.).

§ 11. Jest jeszcze trzeci moment, bardzo ważny i konieczny, mianowicie chronologiczny. Ponieważ rozwój fonetyczny przedstawia ciągłość w czasie wraz z organizmami psychofizycznymi, które są podłożem rozwoju językowego, przeto, rzecz prosta, moment następstwa czasowego musi być uwzględniany. Przeobrażenia fonetyczne, zmiany, oraz tendencje albo dążności i przyzwyczajenia, których owe zmiany są wynikiem, trwają czas jakiś, krótszy lub dłuższy, a następnie znikają, powstają nowe itd., tak, że często po pewnym czasie rozwija się dążność wprost przeciwna dawniejszej. Tak np. w epoce wspólności językowej słowiańskiej i jeszcze w epoce przedhistorycznej poszczególnych języków słowiańskich panowała dążność wzgl. przyzwyczajenie fonetyczne, aby zgłoski się kończyły na samogłoski, a wszystkie następujące elementy spółgłoskowe należały do zgłoski następującej, innymi słowy, aby granica zgłoskowa padała po samogłosce, czyli aby wszystkie zgłoski były otwarte. Rezultatem tej właściwości prasłowiańskiej są takie przeobrażenia jak monoftongizacja dawniejszych dyftongów (np. *cěna* ‘cena’ ⇐

*koinā*[1]), *suchŭ* 'suchy' ⇐ **sausos*[2]), rozwinięcie samogłosek nosowych (np. *(v)ǫsŭ* 'wąs' ⇐ *(v)onsŭ*, *męso* 'mięso' ⇐ **menso*), upraszczanie takich grup spółgłoskowych, które wedle ówczesnych przyzwyczajeń fonetycznych nie mogły się wymawiać na początku wyrazu lub zgłoski (np. *pętŭ* 'piąty' ⇐ **penktos*, *kanǫti*, staropol. *kanąć* 'kapnąć' ⇐ **kapnǫti* itd., natomiast *prostŭ* 'prosty' pozostało, bo wymawiało się *pro | stŭ* itd.), przeobrażenie dawnych grup, w których między samogłoską a spółgłoską znajdowało się jeszcze *r* lub *l (ł)* np. **berza* (por. litew. *béržas*) ⇒ starocerk. itd. *brěza*, pol. *brzoza* (⇐ **breza*), rus. *bereza* itd. por. wyżej. Z biegiem czasu jednak ta właściwość została zachwiana, w niektórych językach słowiańskich prawie zupełnie przełamana, i grupy spółgłoskowe wskutek rozmaitych przemian, jak np. wskutek masowego zaniku tak zwanych półsamogłosek czyli jerów (tzn. samogłosek zredukowanych, wymawianych mniej dobitnie niż normalnie) nowo powstające, pozostają bez zmiany, wbrew dawniejszej dążności, np pol. *lekki*, *panna*, *wierny*, *pełny* itd. bez końca.

Albo np. istniejąca niegdyś w językach słowiańskich wrażliwość spółgłosek tylnych *k*, *g*, *ch* na następujące przednie (palatalne, zwykle miękkimi zwane) samogłoski, która już w prasłowiańskiej epoce doprowadziła do przeobrażenia się tych spółgłosek w tych warunkach na *č*, *ž*, *š* (np. *pekǫ*, *pečeši* 'piekę, pieczesz', *mogǫ*, *možeši* 'mogę, możesz', *duchŭ*, *dušĭnŭ* 'duch, duszny'), już dawno przestała działać względnie istnieć. My, Polacy, mówimy wprawdzie do dziś dnia *pieczesz*, *piecze*, *możesz*, *może*, *możny*, *rączka*, *nóżka*, *muszka* itd. bez końca; ba, nie ulega wątpliwości, że i dziś jeszcze każdy z nas w danym razie na nowo takie formy utworzy, bo np. od jakiegoś rzadko używanego, albo nowo urobionego, albo z obcego języka przejętego wyrazu na *-ka -ga*, albo nawet po prostu od zwykłego takiego wyrazu, od którego jednak nie używamy zdrobniałej formy, jeżeli nam przyjdzie jej jednak użyć, to bez namysłu utworzymy formę na *-czka*, *-żka* np. od *zapomoga*, *wręga* powiemy w danym razie na pewno *zapomożka*, *wrążka* lub *wrężka*, a nie **zapomogka*,

---

[1] Tyle co **kojna*.

[2] **sausos*, wymawiane prawie jak **sałsos* przez tych Polaków, którzy nie znają właściwego *ł*.

**wręgka*. Ale to wcale nie znaczy, że dziś istnieje taka dążność fonetyczna, czyli wedle utartego terminu, że dzisiaj działa takie prawo głosowe, czyli jeszcze inaczej, że dzisiaj nie możemy wymówić **zapomogka* (to znaczy de facto **zapomokka*) itp. Bo przecież mówimy *lekki* itp., po wtóre owo *cz*, *ż* w formach *rączka*, *nóżka* rozwinęło się pierwotnie wtedy, kiedy tam jeszcze było *ĭ* (prasłow. *ąčĭka*, *nožĭka*), a ono przecież od dawna znikło; tak samo przed *e*, *i*: bo dziś przecież mówimy *ginę*, *kiedy*, *kij*, *moge* ⟸ *mogę*, dialektycznie *mogemy* lub *mogiemy*, *nogę* = *noge*, *rękę* = *ręke*, *muchę* = *muche* itd., to znaczy dziś i od dawna *k*, *g*, *ch* znajdując się przed *e*, *i* wcale nie zmieniają się w *cz*, *ż*, *sz*. Jeżeli zatem dziś jeszcze tworzymy takie formy jak *zapomożyna*, *wrężka* itp., chociażeśmy ich nie odziedziczyli, to tylko dlatego, że oboczność fonetyczna *k* || *cz*, *g* || *ż*, *ch* || *sz*, istniejąca w tysiącznych, przez nas odziedziczonych i powtarzanych formach i wyrazach jest nie tylko bardzo silna, w świadomości naszej językowej żywa, ale co ważniejsza, nabrała znaczenia morfologicznego, jako cecha charakterystyczna formalna: jedne formy mają *k*, *g*, *ch*, inne zaś *cz*, *ż*, *sz* i dlatego tworzymy nowe na ich wzór, tak jak gdyby owa dążność fonetyczna dziś jeszcze istniała.

To fonetyczne przeobrażenie *k*, *g*, *ch* ⟹ *č*, *ž*, *š* zresztą jeszcze w epoce prawspólności słowiańskiej przestało być żywe jako fonetyczna dążność, bo kiedy w innym, późniejszym czasie tejże epoki rozwinęły się nowe *ě*, *i* przez przeobrażenie dawnych dyftongów *oi* (*ai*), to stojące przed nimi *k*, *g*, *ch* także wprawdzie nie utrzymały się w tej postaci, ale ich wymowa przesunęła się już nie w *č*, *ž*, *š*, tylko w *c*, *dz*, (*s*): *noga-nodze*, *ręka-ręce*, *wilk-wilcy*. A więc jak krótko to formułują Niemcy: andre Zeiten, andre Lautgesetze.

§ 12[1]. Otóż ten moment chronologiczny, który jest oczywiście bardzo ważny, uwzględnia się w fonetyce historycznej przy przedstawieniu rozwoju poszczególnych głosek i właściwości fonetycznych. Ale tutaj chodzi nam właściwie o to, czy ten moment tworzy ogólną zasadę układu, czy przedstawiając fonetykę języka, który znamy na przestrzeni kilkunastu wieków, rozróżniamy w ogóle epoki,

---

[1] Język Polski III, 4 (kwiecień 1916).

czy np. historyczną fonetykę języka polskiego dzielimy na kilka epok, np. na przedhistoryczną, staropolską, średnio(wieczno)- i nowopolską, czy nie. Otóż dotychczasowa praktyka naszej nauki tego nie robi. Przedstawiając dzieje fonetyczne języka polskiego od czasów najdawniejszych, kiedy polszczyzna była jeszcze tylko narzeczem prasłowiańskiego, aż do czasów dzisiejszych, uwzględniamy moment chronologiczno-rozwojowy przy każdej z osobna głosce, przy każdej z osobna właściwości systemu fonetycznego, rozróżniając fazy prasłowiańską, prapolską, staropolską, nowopolską; ale całości fonetyki nie dzielimy na okresy. Jeżeli nam chodzi o dokładne przedstawienie języka pewnego okresu jako całości, to wtedy przedstawia się ten okres osobno jako fonetykę staropolską, względnie jako część gramatyki staropolskiej; tak samo mamy gramatyki i fonetyki staro-górno-niemieckie (althochdeutsch), średnio-górno-niemieckie (mittelhochdeutsch), starofrancuskie itd., itd.

Nie ulega wątpliwości, że ta praktyka, po części usprawiedliwiona względami praktycznymi, jako zasada nie jest słuszna i musi się zmienić. Najlepszym dowodem tego, a zarazem dowodem potrzeby przedstawienia, które by uwzględniało moment historyczny jako ogólną zasadę, jest okoliczność, że mnożą się obecnie osobne «dzieje» różnych języków kulturalnych. Stoi to co prawda w związku z tym, że dotychczasowa naukowa gramatyka, chociaż niby historyczna, nie uwzględnia wcale momentu dziejów społeczeństwa, rozwoju odnośnego społecznego organizmu, jego przede wszystkim kulturalnej ewolucji na tle oczywiście ogólnie historycznym. Dotychczasowa naukowa gramatyka jest tylko surowym zbiorem ściśle językowych faktów, przedstawionych w możliwie ścisły, a zazwyczaj suchy sposób. W szczególności pozostawia zupełnie na boku etiologię rozwoju językowego, czynniki i przyczyny, które wywołały taką a nie inną ewolucję języka. Prawda, że to rzecz trudna; prawda, że w szczególności o ile chodzi o fonetykę, rzecz to jeszcze trudniejsza. Ale fakt pozostaje faktem, że gramatyka w ogóle, fonetyka w szczególności, jest w przedstawieniu nowożytnego językoznawstwa ciągle jeszcze historyczną czyli rozwojową tylko w szczegółach, nie przedstawia rozwoju języka jako całości twórczej pracy językowej społeczeństwa, nie daje charakterystyki różnych ważniejszych epok

tego rozwoju — krótko mówiąc, równie jej daleko do pełnej naukowości, jak i do tego, aby była dziełem sztuki.

§ 13. A teraz zawróćmy do zmian fonetycznych i ich ogłoszonej jako hasło ostatniej ćwierci XIX wieku bezwyjątkowości. Dawniejsze językoznawstwo często operowało już to wyjątkami już to sporadycznymi zmianami językowymi, to jest już to odstępstwami od jakiegoś normalnie w wielu wypadkach spotykanego przeobrażenia, już to zmianami, które tylko tu i ówdzie, w niewielu wypadkach, czasem nawet tylko w jednym jakim wyrazie lub formie się odbyły. Szkoła tzw. młodogramatyków, a za nią zwolna ogół lingwistów, stanęła na stanowisku, że wyjątki są zawsze pozorne, a naprawdę sporadycznych zmian językowych nie ma. Zasadę bezwyjątkowości tzw. praw głosowych sformułowano dokładniej w ten sposób: zmiany fonetyczne są w tych samych warunkach rzeczywiście bezwyjątkowe, cały ciężar walki, ataku i obrony, skupił się zatem koło tego pojęcia tych samych warunków.

Przede wszystkim stwierdzono działanie tzw. analogii, to jest wpływu grup wyrazowych, formalnych lub znaczeniowych lub znaczeniowo-formalnych, które oddziałując na poszczególne wyrazy i formy, wchodzące w skład grupy, krzyżują lub usuwają zmianę fonetyczną. Zmiany fonetyczne bowiem bardzo często rozrywają naturalny związek fonetyczny, zaś analogia przeciwdziała temu, stara się ten związek na nowo przywrócić. Np. prasłowiańska odmiana czasu teraźniejszego *berą*, *bereši* itd., albo rzeczownika *žena*, *ženy*, *ženě* itd. i podobnie w setkach innych wyrazów, przeobraziła się z biegiem czasu na gruncie polskim wskutek przeobrażenia fonetycznego samogłoski *e* przed niepalatalnymi (twardymi) spółgłoskami *t*, *d*, *n*, *r*, *ł*, *s*, *z* i przybrała taki wygląd: *biorę*, *bierzesz*, *bierze*, *bierzemy*, *bierzecie*, *biorą*; *żona*, *żony*, *żenie*, *żonę*, *żenie*, *żoną*, *żono*, czyli fonetyczny związek tych grup, tworzonych przez formy osobowe i przypadkowe tych samych wyrazów został naruszony, nadwątlony przez to, że w pewnych formach rozwinęło się *o*, w drugich pozostało *e*. I cóż widzimy w następstwie? oto, że dzisiaj, i już od dosyć dawna, mówimy *żona*, *żony*, *żonie* itd., czyli, że jednolitość fonetyczna została przywrócona w ten sposób, że formy trzeciego i siódmego przypadku dostały pod wpływem reszty, zatem analogicznie,

samogłoskę *o*, podczas gdy dawniejsze ich postaci miały na mocy rozwoju fonetycznego samogłoskę *e*. To samo stało się w rzeczownikach w ogóle; dawniej odmieniano na mocy rozwoju fonetycznego *siostra, siostry, siestrze..., brzoza, brzozy, brzezie..., jezioro, jeziora, (w) jezierze..., czoło, czoła, (w) czele...*, itd., a dzisiaj *siostra, siostrze, brzoza, brzozie, jeziora, w jeziorze, czoło, w czole*, itd. I tylko w formach izolowanych, to jest takich, które wskutek jakichś czynników wyszły ze związku grupowego, np. w wyrażeniu *(stać) na czele*, które znaczeniowo się wyodrębniło od *czoła* i jego odmiany, utrzymała się dawna postać fonetyczna; albo *brzezina*, itp. Wiadomo dalej, że odmiana *biorę, bierzemy..., niosę, niesiesz...* itd. znajduje się już na drodze do tego samego wyrównania; tu jesteśmy niejako świadkami całego przebiegu, bo istnieje jeszcze szereg odziedziczony z poprzednich epok z takim wyglądem, jaki powstał wskutek panującej niegdyś dążności fonetycznej, i odmiana *biorę, bierzesz...* itd. jest jeszcze postacią języka piśmiennego i starannego, zaś obok niej w życiu codziennym *bierę* (wzgl. *biere*), *bierzesz..., bierą* itd. i oczywiście ta postać odmiany wcześniej czy później zwycięży, stanie się jedyną i poprawną.

To samo widzimy w niezliczonych innych wypadkach we wszystkich językach i epokach; jest to zjawisko wcale nie wyjątkowe, tylko normalne i stałe. To jest zatem jeden bardzo ważny czynnik rozwojowy, krzyżujący względnie usuwający działanie zmian fonetycznych, wywołujący tzw. wyjątki.

§ 14. Drugi czynnik polega na równie powszechnym fakcie, że każdy język w mniejszym lub większym stopniu przejmuje wyrazy, formy i zwroty z innych, począwszy od języków zupełnie mu pochodzeniem obcych, a skończywszy na narzeczach oraz na dawniejszych fazach tego samego języka, wskutek czego często występuje jakieś odstępstwo od własnego rozwoju fonetycznego tego języka w danej epoce. Zasilanie się języka kulturalnego narzeczami ludowymi zwykle, w normalnych warunkach, ogranicza się do pewnego zasobu wyrazów, przede wszystkim technicznych, i na fonetykę nie ma wpływu, bo często świadomie się unika wszystkiego, co by mogło na «chłopski język» i «chłopską wymowę» wyglądać. Ale po pierwsze żywy związek między miastem i wsią, inteligencją i ludem,

zawsze przecież istnieje i jest niemożliwą rzeczą, aby to i owo, nawet co do wyglądu fonetycznego, nie wsiąkało w ciągu wieków z narzeczy do języka powszechnego; a po wtóre są epoki, gdzie ten wpływ języka ludowego i jego dialektów jest znaczniejszy i obfitszy, tak np. często w epoce tworzenia się języka kulturalnego i konsolidacji narodu, oraz w epokach świadomej reakcji przeciw zastojowi w życiu, przede wszystkim w literaturze i sztuce, kiedy czerpie się pełną ręką z życia i języka ludowego, jak np. w czasach romantyzmu, albo w ostatniej dobie. Bywają oczywiście i szczególne warunki, jak np. w starożytnym Rzymie albo w Grecji, które zlewaniu się różnorodnych, dialektycznych elementów sprzyjają.

W języku polskim mamy np. sporo wyrazów z fonetyką odmienną od polskiej, pochodzących z języków polskiemu bliskich, czeskiego i ruskiego, na co się różne przyczyny i warunki złożyły. Tak np. wyrazy *obywatel*, *Władysław*, *rohatyna*, *hrabia*... zamiast polskich *obywaciel*, *Włodzisław*, **rogacina*, *grabia*..., wykazują odstępstwa czyli «wyjątki» fonetyczne pozorne, bo ten wygląd fonetyczny jest czeskiego pochodzenia. Albo wyrazy *kniaź*, *rusznica*, *na pohybel*, *bezhołowie* (tak dzisiaj pospolite), *prowodyr*, *portki*, *czort*, *rubacha*... zamiast polskich *ksiądz*, *(książę)*, **ręcznica*, *na pogibiel*, *bezgłowie*, **przewodierz*, **partki*, *czart*, *grubacha*... wykazują znowu fonetykę ruską.

I polskie narzecza są tu i ówdzie odpowiedzialne za «wyjątki» fonetyczne języka kulturalnego, chociaż w ogóle rzadko wobec znanych naszych skłonności arystokratycznych; np. *cacko*, *cąber*, *baca* zamiast starszych, niedialektycznych *czaczko*, *cząber*, *bacza*.

Oczywiście także sięganie do dawniejszych faz własnego języka, w pewnych znowu epokach lub u pewnych pisarzy żywsze, stale zaś utrzymujące się przez kościół i język Pisma świętego, modlitw itd., albo przez język prawa itp., dostarcza nieraz pozornych «wyjątków» fonetycznych, chociaż ten wpływ przeważnie się odnosi do form, wyrazów i znaczeń. Licznych i typowych przykładów tego rodzaju dostarcza język łaciński i grecki w swym późniejszym rozwoju. Częstsze są wypadki takie jak *rajca* || *radca*, gdzie mamy dwie postaci z różnych czasów pochodzące, podobnie *mistrz* || *majster*,

*alkierz* || *erkier* itp., wyrazy wzięte z niemieckiego, ale w różnych epokach.

§ 15. Trzeci czynnik, wchodzący w grę, dotyczy już warunków samych zmian fonetycznych. Otóż pod względem ich jakości i stopnia ich złożoności są możliwe najrozmiatsze wypadki i kombinacje, a co za tym idzie, częstość faktycznego występowania jakiejś zmiany fonetycznej bywa najrozmaitsza. Skrajne biegunowe wypadki są: *a)* przeobrażenie nastąpiło absolutnie we wszystkich wypadkach, w których dana głoska de facto się znajdowała czyli głoska (lub grupa głoskowa) w swej dawniejszej postaci jako taka znikła, nie istnieje, przeobraziwszy się w inną; oraz *b)* zmiana nastąpiła tylko w jednym wyrazie.

Wypadek pierwszy jest zwykły, obejmuje on znaczną ilość tzw. zmian fonetycznych niezależnych, które polegają na powolnym, zwykle niedostrzegalnym w osobnych momentach czasu, przesuwaniu artykulacji głoski, z czym łączy się bardzo często niemożność innego wymawiania w normalnych warunkach w danym czasie i u danego społeczeństwa. Np. dawne indoeuropejskie *ū* przesuwając się zwolna w wymowie u językowych przodków Słowian przeobraziło się ostatecznie jako głoska i jako wyobrażenie fonetyczne w *y* we wszystkich absolutnie wypadkach. Nie możemy przytoczyć wyrazu lub formy, gdzieby na miejscu dawniejszego *ū* nie było *y*, i to jest zrozumiałe, bo tu mamy do czynienia z przeobrażeniem się pewnego wyobrażenia fonetycznego jako takiego. Albo: indoeuropejskie aspiraty, to jest spółgłoski takie jak *th*, *dh*, itd., straciły na gruncie prasłowiańskim bezwzględnie aspirację, przeobraziły się w *t*, *d*, itd.; aspirat nie ma tu absolutnie; indoeurop. samogłoski, krótkie *a*, *o* oraz długie *ā*, *ō*, na gruncie słowiańskim rozwinęły się w ten sposób, że spłynęły w jedną samogłoskę, krótkie w *o*, długie w *a*, znowu bez wyjątku; podobnie dawne dyftongi absolutnie uległy monoftongizacji, *ei* w *i*, itd. I tego rodzaju przykładów możemy przytoczyć całe szeregi. Ale nie tylko wśród zmian tzw. niezależnych spotykamy te wypadki; nie brak ich także wśród zmian tzw. zależnych, kombinatorycznych. Np. tak pospolity objaw fonetyczny, jak wymawianie dźwięcznych z pochodzenia spółgłosek przed bezdźwięcznymi (głuchymi) jako bezdźwięcznych (np. *babka* jak *bapka*, *wódka* jak

*wótka* itd.), lub odwrotnie (*prośba* jak *prożba* itd.), jest bezwyjątkowy.

Zasadnicza powszechność, bezwyjątkowość jest bezpośrednio zrozumiała i jasna w tych zwłaszcza wypadkach, gdzie rozwój fonetyczny doprowadził do swoistej nieistniejącej przedtem (w danym języku i w danym czasie) głoski, a do zupełnego zniknięcia dawniejszej; bo wtedy jest czas jakiś, dłuższy lub krótszy, w normalnych warunkach niemożność innego wymawiania. Kto wymawia *ł* jak *u̯*, ten normalnie właśnie nie posiada wyobrażenia fonetycznego *ł*, tylko *u̯* i wskutek tego wymawia tylko *u̯*. Kto wymawia *ś*, *ź* tak jak je wymawiamy dajmy na to w Krakowie, ten nie wymawia ich tak jak Polacy ze wschodnich okolic, litewsko-ruskich, i na odwrót. Tym się też tłumaczy trudność uczenia się obcych języków, a przede wszystkim właśnie trudność przyswojenia sobie obcej wymowy takich głosek, jakich w swoim języku nie posiadamy. Jak nam trudno porządnie wymówić angielskie lub francuskie samogłoski! Człowiek ma niejako wyżłobione koleje artykulacji pewnej ilości głosek i mimo wysiłków, aby z nich wyjechać, ciągle w nie wpada. Tak zatem nawet wtedy, gdy świadomie się wysila, aby inaczej wymawiać!

Możemy zatem stwierdzić w tych wszystkich wypadkach zasadniczą jednolitość wymawiania czyli bezwyjątkowość zmian fonetycznych, raczej ich rezultatów, polegającą na niemożności innego wymawiania w danym czasie i środowisku, czyli polegającą na istnieniu takiego właśnie a nie innego wymawiania.

§ 16. Bez porównania rzadsze są wypadki z drugiego bieguna, a nawet teraz, kiedy to piszę, nie przypominam sobie przykładów, gdzieby można przysiąc, że zmiana fonetyczna odbyła się w jednym tylko wypadku, to jest, gdzieby skład warunków ją wywołujących raz tylko w całym języku wystąpił. Trudno wobec bogactwa każdego języka o absolutną pewność. Ale wypadków, gdzie z tym zastrzeżeniem możemy stwierdzić jednostkową zmianę fonetyczną, a zwłaszcza takich, gdzie tylko w kilku wypadkach ją obserwujemy, jest dosyć. Na czymże polega ten drugi skrajny wypadek? Na tym, że głoski wymawiamy de facto w przygniatającej większości wypadków w kompleksach fonetycznych, to jest wyrazach i powiedzeniach.

Wskutek tego mamy nieskończone bogactwo kombinacji i warunków, wśród jakich poszczególna głoska de facto się zjawia; w szczególności zaś, obok grup i warunków niezmiernie często się w języku powtarzających, mamy i drugi biegun, mianowicie bardzo rzadką, a nawet wyjątkową, jednorazową kombinację warunków. Weźmy np. wyraz *jeniec*, który pochodzi od słowa *jąć*, a mianowicie utworzony jest od imiesłowu *ję̨t(y)* sufiksem *(i)ec*. Ten wyraz brzmiał dawniej *ję̨ciec*, zaś w drugim i dalszych przypadkach, gdzie półsamogłoska znikła, *jęćca* itd.; w takiej kombinacji w pewnej epoce *ć* przeobraziło się w *j*, albo mówiąc dokładniej grupa *ćc* przeobraziła w *jc*, tak jak np. w *ojca* ⇐ *oćca*, *winowajca* ⇐ *winowaćca* itd. W owej więc epoce ludzie używając tego wyrazu mieli zamiar, rozpęd do wymówienia mniej więcej *jejca*; jednak wskutek szczególnej kombinacji warunków, wskutek trudności takiego lub podobnego wymawiania dla owych ludzi, nie doszło do d o k ł a d n e g o wykonania tego zamiaru; nosowośc tkwiąca w samogłosce *e* połączyła się z następującym elementem fonetycznym *j* i zarazem usamodzielniła, rozwinęło się z tego *ń* (tj. artykulacja elementu nosowego przedniojęzykowego + artykulacja elementu palatalno-przedniojęzykowego). Nic w tym właściwie nie ma dziwnego, bo przecież nasze samogłoski nosowe przedstawiają w położeniu przed zwartymi spółgłoskami właściwie grupę, złożoną z samogłoski nosowej i odpowiedniej spółgłoski nosowej, zatem w naszym wypadku możemy schematycznie i grubo rzecz przedstawić tak: zamiar fonetyczny był *ję̨njca*: no, a cóż to jest właściwie tak bardzo innego niż *jeńca*, jeżeli jeszcze zważymy, że *e* w *jeńca*, jak w ogóle samogłoski przed nosowymi spółgłoskami, jest także trochę (pod koniec swej artykulacji) nazalizowane? Pierwszy przypadek, *jęciec*, został następnie analogicznie, wedle przypadków zależnych, zastąpiony postacią *jeniec* podobnie jak dawne *ociec* wedle *ojca*, *ojcu*... (⇐ *oćca*)... przez *ojciec*. Widzimy zatem, rozpatrując bliżej, że w danym wyrazie nie odbyło się nawet żadne szczególne przeobrażenie, tylko konfiguracja szczególna warunków doprowadziła do rezultatu wyjątkowego, to jest takiego, którego gdzie indziej nie widać.

Weźmy wyraz *Tatry*, który niegdyś brzmiał niewątpliwie **Tartry*. Otóż *r* przed spółgłoską, a nawet przed grupą spółgłoskową

normalnie się utrzymuje *(karczma, wartki)*, ale tutaj po *t* następowało znowu *r* i w tej rzadkiej kombinacji fonetycznej, przez rodzaj dysymilacji pierwsze *r* znikło; drugi znany przykład staropol. *chabry* rozwinęło się tak samo z *charbry* obocznej postaci wyrazu *chrobry*. Widzimy zatem w dwu tylko wyrazach działanie tzw. prawa głosowego.

Albo *dziś* zamiast oczekiwanego **dzieńś* lub *dzieńś*, bo normalnie, w tysiącach przykładów, prasłowiańskie jer' (ĭ) w pozycji mocnej (tj. kiedy nie zniknęło jak w pozycji słabej) zastępuje się czyli kontynuuje w polszczyźnie przez *e*. Ale jest parę «wyjątkowych» wypadków z *i*, w «wyjątkowych» też warunkach.

Albo *szczutek, szczutka* kontynuuje dawniejsze *szczudłek, szczudłka*. Otóż zresztą *dł* nie przeobraża się nigdy w *t*, ale tutaj w przypadkach zależnych, gdzie ta grupa znajdowała się przed *k* i wymawiała się bezdźwięcznie: *szczutłka*, *ł* także bezdźwięczne, niedosłyszalne, znikło, i de facto zapanowała wymowa *szczutka* itd. A potem, jak w tylu innych wypadkach, dla przywrócenia naruszonej przez ten rozwój fonetycznej jednolitości, pierwszy przypadek *szczudłek* zastąpiono na wzór przypadków zależnych postacią *szczutek*.

Niech tych parę przykładów wystarczy. A teraz łatwo sobie wyobrazić, ile najrozmaitszych stopniowań wykazuje rzeczywistość rozwoju językowego między tymi obu biegunowymi wypadkami: absolutną powszechnością jakiejś zmiany językowej i absolutną jej jednostkowością. I łatwo też zrozumieć, że w gruncie rzeczy między obu tymi skrajnymi wypadkami nie ma żadnej zasadniczej różnicy; tylko w jednym wypadku dane warunki i przyczyna powtarzają się wiele razy, w drugim zaś raz jeden lub parę!

§ 17. Różnorodność i niewspółmierność warunków wyjaśnia też zawsze w zasadzie wszystkie tzw. wyjątki lub odstępstwa od stwierdzonego zresztą rozwoju fonetycznego. Że w bardzo wielu wypadkach nie udało się jeszcze tych warunków poznać i wydobyć, no to jest tylko naturalne, zarówno z ogólnej racji, którą jest właściwość ludzkiego stopniowego poznawania rzeczywistości, jak i z rozmaitych szczegółowych racji. Ale to nas nie dręczy ani doprowadza do rozpaczy wobec tego, że jesteśmy na właściwej drodze, a to grunt.

Trzeba też pamiętać, że prócz najrozmaitszych warunków fonetycznych na wygląd wyrazów oddziałują też warunki niefonetyczne, mianowicie różne objawy wpływu wywieranego przez inne wyrazy na podstawie skojarzeń, do których to objawów należy także wspomniana poprzednio analogia. Np. nasz wyraz *dławić* wobec dawniejszego wyłącznego *dawić* nie wykazuje jakiegoś wyjątkowego fonetycznego rozwinięcia się *ł* (wsuwki, jak dawniej mówiono), tylko polega na tym, że obok *dawić* istniało słowo *dłabić*, dosyć podobne i wyglądem i znaczeniem. I te dwa słowa *dawić* i *dłabić* zlały się w jedno nowe *dławić*, które ma jak widzimy wszystkie wspólne elementy tamtych dwu, a nadto po jednym szczegółowym: z jednego *ł*, z drugiego *w*.

Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na jedną ważną okoliczność, a mianowicie na to, że działanie analogii nieraz usuwa prawie zupełnie konkretne wypadki czyli rezultaty działania jakiejś zmiany fonetycznej czyli tzw. prawa głosowego. Np. tak zwane *l* epentetyczne, pojawiające się w takich wypadkach jak w starocerk. *zemlja* itd., w polszczyźnie zostało w zgłoskach sufiksalnych prawie bez śladu wyrugowane wedle form, gdzie go nie było (bo w jednych formach, to znaczy w pewnych warunkach, to *l* się rozwinęło, w drugich nie). Pozostało zaledwie parę śladów, takich jak *grobla*, czyli stosunek się niejako odmienił: to co było niegdyś fonetycznie «normalnym», stało się z biegiem czasu «wyjątkowym». Weźmy jeszcze inny przykład. Grupa *zr* niegdyś przeobraziła się w *zdr* i ta właściwość fonetyczna trwała czas jakiś, a potem ustała, tak że potem grupa *zr*, pojawiajająca się ciągle na nowo przez złożenia, derywację itd., pozostała niezmieniona. Otóż wyrazy *zdrada*, *zdradzić*, *zdrój* (⇐*wzdrój*) i parę innych pozostały w swoim odziedziczonym fonetycznym wyglądzie, natomiast dziesiątki i setki innych nie mają *-d-*: *zrąb*, *wzrok*, *zraz*, *wzruszać*, *z ręki* itd., podczas gdy dawniej mówiono *zdrąb*, *wzdrok*, *zdraz*, *wzdruszać*, *zdręki* itd. Wyrazy, które się z rozmaitych przyczyn odosobniły i zatraciły związek ze swoją grupą etymologiczną, jak *zdrój* (⇐ *wzdrój* ⇐ **wz-rój*, a raczej ⇐ **vŭz-rojĭ*), albo *zdrada* (⇐ **(i)z-rada*), utrzymały odziedziczoną postać fonetyczną, zaś inne, których związek etymologiczny z grupą pozostał żywy, lub które na nowo urabiano (jak złożenia), już tego *-d-* nie wy-

kazują. Najpierw oczywiście przestało *d* się ukazywać w swobodnych połączeniach syntaktycznych (*z ręki*, *z rowu...*).

Reasumując stwierdzamy jako zasadę stałą przyczynowość rozwoju fonetycznego, która w sprzyjających, prostych warunkach objawia się jako powszechność i bezwyjątkowość [1]) przeobrażeń fonetycznych. Ale, ponieważ mamy do czynienia z zakresem zjawisk psychofizycznych, w ogóle bardzo złożonych i skomplikowanych, więc też jest cały szereg czynników, działających stale, normalnie i koniecznie, które sprawiają, że obraz rozwoju fonetycznego jest bardzo różnorodny i skomplikowany. Ale nie znaczy to wcale, że jakaś zmiana, jakiś objaw fonetyczny, choćby najdrobniejszy, jest bez przyczyny, bo do tego właściwie się sprowadza cała kwestia. Ludzie, którzy piorunują na lingwistykę i tzw. bezwyjątkowość praw głosowych, albo świadomie nie chcą rozumieć, co ta zasada znaczy, albo też nie są w stanie jej rozumieć. Tertium non datur. Wybór wolny!

§ 18. [2]) Zastanówmy się teraz, jak się to dzieje, że się wymawianie zmienia; dlaczego i jakim sposobem, skoro przecież zawsze wymawiamy swój język tak, jakeśmy się raz nauczyli, i nigdy nie mamy zamiaru inaczej wymawiać, wyjąwszy chyba ze żartu.

A więc naprzód, dlaczego. Otóż jest jasną rzeczą, że zmiany fonetyczne są tylko jednym ze szczegółowych i nieskończenie licznych objawów ciągłego przeobrażania się życia kulturalno-psychicznego i jego wytworów w ogóle. Zwolna, ale nieustannie zmienia się, przeobraża cała ludzka kultura, czyli całe kulturalne działanie człowieka, i to zarówno w dziedzinie materialnej jak moralnej i umysłowej. Zmieniają się nasze wytwory materialne jako wyniki przeobrażania się odnośnych potrzeb i odnośnej twórczości, zatem nasze domy, sprzęty, ubrania, narzędzia itd.; zmieniają się nasze zwyczaje, zapatrywania, sztuka, literatura itd.; zmienia też pismo i język, a jednym z objawów tej ogólnej ewolucji języka jest rozwój fonetyczny czyli zmiany wymawiania. Zatem najogólniejszą przyczynę zmian fonetycznych możemy tutaj zostawić na boku

---

[1] Widzieliśmy zresztą, że ta tzw. bezwyjątkowość jest w ogóle pojęciem zbytecznym i dosyć nieszczęśliwym.

[2] Język Polski III, 5—6 (maj—czerwiec 1916).

jako wspólną i ogólną dla całego rozwoju kulturalnego człowieka, nie wdając się przy tym w to, czy ta zasadnicza przyczyna jest znana, czy nie. Tutaj nam wystarczy najzupełniej przyczyna pośrednia, mianowicie fakt współdziałania indywidualno-społecznego w związku z odwieczną prawdą: si duo faciunt idem, non est idem. Moment to, czynnik, także jeszcze bardzo ogólny i zasadniczy, bo także jeszcze dla całej kultury ważny i istotny. Mowa i język, tak samo jak wszelkie inne działanie i dzieła ludzkie, są równie dobrze wytworem jednostki jak społeczeństwa, są koniecznie wytworem i jednostki, i ogółu. To współdziałanie jednostek i całości, wyrażające się w nieskończonych, konkretnych zahaczeniach, walkach i przystosowaniach, podlega nieustannemu przeobrażeniu, nieustannej ewolucji. A teraz: każda jednostka normalna jest nieco różna, mniej lub więcej, od każdej innej, zachowuje się i działa swoiście, w sposób sobie właściwy, chociażby tylko w drobnej mierze różny od innych — i to we wszystkim, także w mowie, a także, choćby w bardzo drobnym zakresie i w drobnych rozmiarach, w wymawianiu. I z tego powstaje wypadkowa społeczna w postaci ewolucji fonetycznej, względnie w postaci poszczególnych zjawisk zmian fonetycznych. Pamiętajmy przy tym, że każdy człowiek, jak w ogóle każdy żywy twór, posiada pewien zasób siły życiowej czyli rozpędowej i pewną twórczość; zastanówmy się dalej, uprzytomnijmy, sobie to nieskończone zderzanie się, łączenie i odsuwanie tych nieskończenie różnych jednostkowych rozpędów w obrębie nieustannie drgającej zbiorowości, te nieskończenie liczne, następowe kombinacje czynników w obrębie jednostki, między jednostkami i między jednostkami a całością — a uwydatni nam się jasno wobec tego stanu rzeczy konieczność ciągłej ewolucji językowej w ogóle, fonetycznej w szczególności.

Wydobądźmy teraz kilka ważniejszych momentów z tego całego, mrowiącego się splotu życia językowego.

Otóż pod względem następstwa czasowego najważniejszą rolę odgrywa niewątpliwie przejmowanie wymowy przez dzieci od starszych. Każde nowe pokolenie ma z jednej strony nowy zasób siły życiowej, z drugiej bezpośrednie dziedzictwo poprzedzającego pokolenia i nie ulega wątpliwości, że w tym punkcie, to jest przy

przejmowaniu wymowy przez dzieci od starszych, dokonywa się zawsze pewne przesunięcie fonetyczne, które gra ważną rolę zwłaszcza w tych właściwościach wymowy, które u starszego pokolenia zaczęły wychodzić z fazy względnego spokoju. Ale i w ogóle. Użyjmy porównania: wyobraźmy sobie mianowicie kalkowanie rysunku lub pisma, i to staranne. Na ogół obraz przekalkowany będzie taki sam, ale zupełnie taki sam nie będzie nigdy. Teraz zdejmijmy z przekalkowanego nowy obraz za pomocą kalki i powtarzajmy to dalej, a następnie porównajmy obraz pierwszy z dziesiątym lub dwudziestym, a zobaczymy już różnice wyraźne. Albo porównajmy doświadczenie, którego nam życie dostarcza w uczeniu się pisma przez dzieci: dziecko stara się całą siłą uwagi, ócz, ręki, języka, całego ciała nawet, pisać wedle wzoru, napisanego mu przez nauczyciela czy mamę, czy ciocię. Rezultat: każde pismo jest podobne i różne.

Pod względem współcześnie działających czynników mamy takie: jednostka, rodzina, środowisko codzienne, naród. Jednostka: weźmy tylko dwa typy, człowieka, który się zachowuje mniej więcej tak jak wszyscy, figurę nijaką, i człowieka z silną indywidualnością. Jest rzeczą jasną, że stopień, w jakim obaj ulegają otoczeniu, a w jakim na nie wpływają, będzie różny, nie tylko w ogóle, ale także w mowie i wymawianiu. A jednostki takie jak wybitni mowcy, aktorzy, nauczyciele itd. oddziałują silnie także na fonetykę.

Rodzina tworzy naturalną komórkę niejako rozwoju kulturalnego, a ona składa się z kilku czynników, ojca i matki itd., dziecko zaś jest niejako dziedzicem wypadkowej z tego, także pod względem fonetycznym. Wpływ kobiet, matki, babki, piastunki jest zazwyczaj rozleglejszy, ciąglejszy, ale wpływ mężczyzn, ojca itd., bywa zazwyczaj silniejszy, bardziej pobudzający świadome naśladowanie. Kombinacji oczywiście bez końca.

Środowisko codzienne, a raczej środowiska, bo po pierwsze jedno luzuje drugie, a po wtóre są współcześnie rozmaite. Następczo można i trzeba wyróżnić otoczenie wczesnej młodości, towarzystwo dziecinne i szkolne, następnie otoczenie dojrzałej, bujnej młodości, wreszcie środowisko pracy zawodowej: a wszędzie towarzyszy, kolegów, przyjaciół. Współdziałają tu i krzyżują się mnogie czynniki, lokalne, zawodowe itd., znajdujące swój wyraz na polu językowym

w istnieniu właściwości czysto rodzinnych, miejscowych, gwarowych, zawodowych, kulturalnych. Uprzytomnijmy sobie ogromne różnice także pod względem wymawiania i płynącą stąd różność wywieranego wpływu choćby tylko u ciętego, pełnego poczucia swej siły, władzy i wartości podoficera, uroczystego organisty, podmiejskiego robotnika i spokojnego rolnika i proszę sobie samemu obraz w tym kierunku dalej wypełniać. Ogółem biorąc najważniejsze są niewątpliwie dwa środowiska: rodziny i miejscowości, w drugim rzędzie dopiero: zawodu.

Całość czyli naród: z rodzaju wewnętrznego ustroju, składu i zajęć ludności, stopnia kultury, naturalnych warunków życiowych (geograficznych i innych) itd., wynika rozmaity rodzaj i stopień zależności językowej jednostki od całości, oraz rodzaj i stopień oddziaływania w tym względzie jednostki na całość.

§ 19. Na tym, po krótce naszkicowanym podłożu indywidualnie-społecznej twórczości językowej, czynnej między innymi także w zakresie ewolucji fonetycznej, działa następujący moment pierwszorzędnego znaczenia. A mianowicie: czy my naprawdę zawsze jednakowo wymawiamy, to jest, ściślej mówiąc, czy zawsze jednakowo wykonywamy czynność fonetyczną? Otóż stanowczo nie, bo to bezpośrednio zależy od nieustannie zmieniających się i falujących nastrojów i afektów jednostek. I zależnie od tego jest cała skala stopni i sposobów wykonywania czynności wymawiania, która wskutek tego, chociaż w wyobrażeniu psychicznym w zasadzie ta sama, w rzeczywistości najrozmaiciej się realizuje. Jest wymawianie: a) normalne, zwyczajne, spokojne; b) dobitne, staranne, energiczne; c) pobieżne, niedokładne, szkicowe niejako (niedomawiające wielu rzeczy); d) afektowe (oczywiście najrozmaitsze, np. gniewne, pieszczotliwe), żeby wymienić tylko główne typy. Każdemu wiadomo, że znajdując się w takich różnych nastrojach, rozmaicie wymawia, to znaczy niejednakowo wykonuje artykulacje, akcentuje itd. Inaczej wymawiamy *psiakrew* obojętne, a inaczej w gniewie, pasji, inaczej w chłodnej zaciętości, a tak samo każdy inny wyraz i całe zwroty, nie tylko to polskie słówko. Bo zmienia się wtedy układ szczęk, warg itd., czynność muskułów, siła i objętość i szybkość prądu wydechowego. Albo w pieszczocie, skupiającej akcję wymawiania przede

wszystkim w przodzie i górze jamy ustnej! I nie są to rzeczy, odbywające się nieświadomie! Te zmiany artykulacji odbywają się mimo woli, ale są świadome! Albo zestawmy swobodną gawędę, w pogodnym, trochę leniwym nastroju ducha z kimś bliskim i doskonale nam znanym, z tym sposobem mówienia, kiedy znajdując się w sytuacji dla siebie ważnej i poważnej całe swoje ja skupiamy. W pierwszym wypadku wymawiamy niedociągając niejako artykulacji do szczytu, w drugim przeciwnie starannie ją wybijamy. A teraz: co znaczy wymawiać dobitnie, starannie, z naciskiem? Znaczy to oczywiście, ustalone już i wyżłobione koleje artykulacji niejako pogłębiać, albo żeby użyć innego porównania, pogrubiać linie rysunku. I w tym leży nie tylko możliwość, ale i konieczność nieznacznego, ale nieustannego przesuwania artykulacji. Nacisk będzie przy tym oczywiście obejmować przede wszystkim elementy dla artykulacji charakterystyczne, do czego jeszcze niżej wrócimy.

Prosta rzecz, że w miarę różnej jakości i częstości nastrojów i afektów u różnych ludzi ich wpływ na wymawianie będzie różny, czyli ogółem biorąc wysuwa się tu na pierwszy plan usposobienie, charakter, i to naturalnie zarówno jednostek jak całych grup, szczepów i narodów. Sądzę jednak, że decydujący wpływ na przeobrażanie artykulacji wywiera nie tyle charakter żywy, usposobienie pobudliwe, ile charakter energiczny i silny. Bo im więcej w objawach życiowych będzie się zaznaczać energia, tym bardziej będzie się przesuwać wymawianie; wszakże akcentuacja np., która jest tak ważnym czynnikiem fonetycznego rozwoju, zależy bezpośrednio od usposobienia. I zapewne dlatego tempo ewolucji fonetycznej jest u Słowian powolniejsze niż u ludów germańskich itp. W każdym razie trzeba odnajdywać u poszczególnych zarówno ludzi jak grup (szczepów) dominujące rysy ich charakteru, aby móc wynaleźć czynnik najważniejszy dla fonetycznego rozwoju. Żywość usposobienia, drażliwość i łatwe panowanie uczuciowych nastrojów nie wykluczają wcale pewnej, nieraz znacznej bierności — na odwrót usposobienie spokojne, mniej wrażliwe nie wyklucza charakteru silnego itp. A jest rzeczą jasną, że w pierwszym wypadku przesuwalność wymowy będzie mniejsza niż w drugim. Chodzi zatem ostatecznie o siłę i trwałość afektów i poruszeń woli, a nie o ich częstość i żywość.

§ 20. Wymawianie danego języka u danego osobnika tworzy skomplikowany, ale zwarty i jednolity system fonetyczny, w którym wszystko wzajemnie na siebie oddziaływa. Jasne np., że jeśli dany język w danym czasie posiada liczne spalatalizowane spółgłoski (takie jak nasze *ń*...), to ta właściwość musi oddziaływać na sąsiednie samogłoski inaczej niż w języku, gdzie takich spółgłosek nie ma. Dlatego w polszczyźnie nie ma bardzo niskich i bardzo tylnych samogłosek, boć np. tak częste grupy fonetyczne *ńa b́a ḿa ća*... (tj. *nia*...) muszą naszemu *a* nadawać odpowiedni odcień artykulacyjny. Albo wiadomo, że spółgłoski takie jak *t d*, *k g* itd. można wymawiać rozmaicie: np. głuche *t p k* wymawiały i wymawiają różne szczepy germańskie z przydechem, mniej więcej jak $t^{ch}$ $p^{ch}$ $k^{ch}$ (przez *ch* oznaczam głoskę podobną do naszego *ch*), zaś szczepy romańskie i słowiańskie wymawiają czyste *t p k*. Dlatego też w językach germańskich te głoski łatwo ulegają dalszemu przeobrażeniu. I tak dalej bez końca. Wspomnę tylko jeszcze o różnych sposobach i typach akcentuacji: w polszczyźnie np. słaby akcent nie alteruje wymowy samogłosek, natomiast energiczny akcent rosyjski lub bułgarski ogromnie je przeobraża. Wreszcie wiadomo, że każdy język, to jest każdy naród wzgl. szczep posiada sobie właściwą ogólną tzw. bazę artykulacyjną i ogólny charakter jakościowy wymawiania, bardzo znacznie także na poszczególne głoski wpływający. Ogólny układ i czynność dolnej szczęki, języka, warg itd. jest u różnych ludów rozmaity, a to oddziaływa na jakość i kierunek ewolucji fonetycznej.

W związku z tym wszystkim w różnych językach są różne strony, to jest różne elementy głosek przede wszystkim świadome, ważne i charakterystyczne, i one to przy dobitnym wymawianiu przede wszystkim ulegają naciskowi, pogłębianiu i przesuwaniu. Np. palatalizujący wpływ samogłosek *i e* był w języku polskim silniejszy niż w wielu innych, stąd w następstwie odcień palatalizacji spółgłosek (*t' d'*...) był dla Polaków charakterystyczny i dlatego zwolna się wzmagał, aż wreszcie doprowadziło to do wymowy *ć dź*... To znaczy w pewnej epoce Polacy wyraźnie rozróżniali *t* od *t'* itd., natomiast w wielu innych językach afekcja głoski *t*... przed *i* lub *e* była tak słaba, że nie rozróżniano takiego *t* od *t*, stojącego przed

*a* lub *o*, i dlatego też ono nie ulegało większemu przesunięciu, bo w dobitnym wymawianiu wcale nie kładziono nacisku na tej palatalizacji, gdyż była ona cechą obojętną.

§ 21. Ostatnie uwagi przeprowadzają nas do odpowiedzi na drugie pytanie, mianowicie w jaki sposób się odbywają zmiany fonetyczne, skoro ich się nie zauważa. Otóż najpierw co do tego niezauważania: stoi to w bezpośrednim związku z nieznacznością przesunięć artykulacyjnych. W większości wypadków przesunięcia są minimalne i dlatego ich nie zauważamy. Ale są także wypadki, gdzie zmiany są większe i dlatego dochodzą do świadomości; a wypadki te nie są ani rzadkie, ani wyjątkowe, nadzwyczajne, tylko i owszem należą do zjawisk zwykłych. Ogółem biorąc można powiedzieć tak, że zmiany bezpośrednio płynące z momentu społecznego są wyraźne i świadome, zaś zmiany, płynące bezpośrednio z czynnika indywidualnego, nie. Jeżeli np. szkoła ruguje u nas pochylone *é*, albo jeszcze ogólniej, jeżeli szkoła ruguje dialektyczną wymowę uczniów, to to polega wprost na działaniu momentu społecznego; tak samo, jeżeli jakaś wymowa staje się modną pod wpływem stolicy lub pewnych kół towarzyskich, np. wymowa paryska spółgłoski *r*. Jeżeli natomiast prasłow. *śestra* ostatecznie w języku polskim przeobraziło się w *śostra* (siostra), to ta ewolucja fonetyczna odbywała się przez kilka wieków i mniej więcej niezależnie u poszczególnych jednostek, które nigdy nie miały świadomości, że wymowa samogłoski pierwszej zgłoski się zmienia. Ale jest oczywiście rzeczą najzupełniej jasną, że w obu razach mamy koniecznie z obu czynnikami do czynienia, tylko stosunek ich wzajemny jest różny.

Teraz przypatrzmy się dokładniej tym nieznacznym przesunięciom, nigdy nie zauważonym, i warunkom, istniejącym w głoskach, które na to pozwalają. Otóż po pierwsze głoska jest wyobrażeniem wprawdzie jednolitym, ale złożonym z całego szeregu cech artykulacyjnych. Sama tylko działalność i położenie języka przy wymawianiu głosek jest ogromnie różnorodna, a są czynne prócz tego przecież także krtań, podniebienie miękkie, wargi itd. Zatem głoska wymówiona składa się z całego szeregu elementów fonetycznych czyli częściowych wymówień, a wyobrażenie głoski, które za każdym razem mówiąc urzeczywistniamy, składa się z całego szeregu ele-

mentów wyobrażeniowych czyli częściowych wyobrażeń. I otóż przesuwanie artykulacji czyli przeobrażanie wymowy a zarazem wyobrażenia głoski normalnie odbywa się nie tylko bardzo drobnymi, minimalnymi stopniami, ale także tylko częściowo: nie całe wymówienie głoski trochę się przesuwa, tylko jego część lub części. Jeżeli np. *t* w położeniu przed *i* zaczyna się wyraźnie palatalizować (czyli zmiękczać), to zmienia się tylko zwolna akcja przedniej części grzbietu języka przez silniejsze przyciskanie do twardego podniebienia, inne zaś składowe pozostają bez zmiany.

Drugi zasadniczy fakt, stojący zresztą w ścisłym związku z właśnie omówionym, to fakt, że głoska, jej wyobrażenie, nie jest tworem nieruchomym, to jest o granicach nieruchomych, ściśle oznaczonych i niewzruszonych, innymi słowy ściśle jednostkowym, tylko ma granice płynne, ma pewną swobodę w swym składzie i obwodzie, czyli pewną swobodę, pewien zakres swobodnego wahania zarówno w wykonaniu jak słuchaniu. Głoski mowy są wyobrażeniami gatunkowymi, a nie jednostkowymi. Jak wyobrażenie konia jest tworem psychicznym, wytworzonym z całego szeregu jednostkowych wyobrażeń widzianych przez nas koni, tak i wyobrażenie np. naszego *a* jest tworem psychicznym, wytworzonym z nieskończonego mnóstwa jednostkowych, w najrozmaitszych wyrazach i położeniach wymawianych i słyszanych *a*. Niewątpliwie inne jest wykonanie i wyobrażenie głoski *a* w *niania* a w *tata*, w *rak* a w *raj* itd., itd. Ale obok tego istnieje niewątpliwie ogólne wyobrażenie głoski *a*, które jest wypadkową tych wszystkich poszczególnych wyobrażeń.

I dlatego to drobne zmiany, zachodzące w obrębie naszego wyobrażenia głosek, uchodzą naszej uwagi.

Oczywiście są najrozmaitsze stopnie złożoności i płynności głosek, zależnie od różnicy a) głosek, b) epoki, c) języka. Stopień złożoności i płynności głoski jest odwrotnie proporcjonalny do stopnia jej wyrazistości i stałości: im uboższe jest wyobrażenie głoski w składniki i im mniejszy zakres wahań jej granic, tym jest stalsze i wyrazistsze (co jednak nie jest równoznaczne z wartościowością, ważnością); i tak są spółgłoski zwarte, ogółem biorąc, wyrazistsze od spirantów itp. Są języki, w których nie ma wyraźnej różnicy między *t* a *d*, *k* a *g* itd., u nas natomiast jest ta różnica ustalona;

nie możemy dowolnie wymawiać *t* lub *d* lub coś między nimi pośredniego. Albo: my rozróżniamy stale *s ś sz*, a nadto z łatwością jeszcze *ś́* (to jest zmiękczone *sz*) oraz *s'* (to jest *s* mniej zmiękczone niż nasze *ś*, tak jak wymawiają np. Polacy litewscy: *siła* itd.); zaś Niemiec nie bardzo rozróżnia nawet *ś sz*. Za to my nie rozróżniamy wielu odcieni samogłosek; nasze samogłoski są mało zróżnicowane: nasze *a* obejmuje zarówno szerokie *ä*, a przynajmniej palatalne, wysokie *a* (np. w wyrazach *niania*, *maj*...) jak zwykłe, obojętne *a*.

Widzimy zatem, jak się to znowu łączy najściślej z ogólną jakością systemu fonetycznego danego społeczeństwa w danym czasie.

§ 22. Już z tego, co się dotychczas powiedziało, wynika właściwe pojmowanie rozpowszechnionego w nowoczesnej nauce rozróżniania a) niezależnego czyli spontanicznego, b) zależnego czyli kombinatorycznego rozwoju fonetycznego. Przez pierwszy rozumie językoznawstwo takie zmiany fonetyczne, które nie mają osobnej przyczyny językowej, np. przejście praindoeur. *ū* w prasłow. *y* (np. sanskr. *dhūmá-s*, łac. *fūmus*. lit. *dúmai*: słow. *dymŭ* 'dym' itd. bez wyjątku); przez drugi takie, które ją mają, np. rozszczepienie prasłow. *e* w pol. *e* || *o* zależnie od jakości następującej zgłoski (np. prasłow. *berą berete*: pol. *biorę bierzecie*). Brugmann Kurze vergleichende Grammatik der indogermanischen Sprachen (Strassburg 1904) tak określa te pojęcia: «Unbedingten Lautwandel nennt man den Wandel, den eine Einzelartikulation erfährt, ohne dass dabei die besondere Art der begleitenden Artikulationen oder die Betonung oder das Sprechtempo einen bestimmenden Einfluss üben, z. B. Wandel von *ĕ̄* und *ŏ̄* in *ă̄* im Urarischen [każde praindoeur. *o e* występuje w aryjskim, t.j. indo-irańskim jako *a*, np. **bherō* (gr. φέρω itd.), ale ar. **bharā* itd. bez wyjątku]. Dagegen heisst bedingter Wandel der, bei dem solche Einflüsse stattfinden, z. B. Übergang von *a* in *e* in ahd. *gesti* [ahd. = althochdeutsch; nowoniem. *Gäste*] aus *gasti* durch assimilierende Einwirkung des folgenden *i*, von *i* in *e* in mhd. *geste* aus *gesti* infolge der Schwachtonigkeit der Schlusssible» (str. 38, 2).

Jest jasną rzeczą, że zarówno pierwszy jak drugi rodzaj zmian czyli rozwoju fonetycznego jest zależny, tylko pierwszy zależy od

całości systemu fonetycznego danego języka w danym czasie, drugi ma prócz tego szczegółowe przyczyny. Zatem najlepiej oba rodzaje nazywać, z odpowiednim zastrzeżeniem, ogólnie i szczegółowo zależnym. Ogólnie zależne zmiany fonetyczne są, o ile widzę, dwojakie: a) wyobrażenie głoski powoli się zmienia wskutek nieustannego procesu kojarzenia z innymi głoskami języka, o czym już mówiłem [1]); b) różnicowanie się głosek szczegółowo zależne spotyka na swej drodze zaporę w postaci głosek w danym czasie (i oczywiście w danym języku) wyobrażeniowo samodzielnych, które na ostateczny wynik mają przeważnie wpływ decydujący. Przykład to wyjaśni: polskie *o*, które się rozwinęło z *e*, np. w *siostra*, *biorę*, *jezioro* itd., albo, schematycznie przedstawiając, polskie *Śo* ⇐ *Śe* [2]) (w odpowiednich warunkach) musiało kiedyś przebywać stadia pośrednie i brzmieć *Śö*, ale ta wymowa się nie utrzymała, *ö* uległo wpływowi jedynie samodzielnej wówczas, a najpodobniejszej samogłoski *o* i przesunięte zostało aż do zupełnego *o*. Dlaczego? Niewątpliwie dlatego, że system wokaliczny polski, tj. ilość samodzielnych samogłosek w polszczyźnie, była (i jest) niewielka, zatem i zdolność rozróżniania niewielka, a co za tym idzie, takie tworzące się wskutek szczegółowo zależnego rozwoju n o w e samogłoski, niełatwo się mogą utrzymać i ulegają wpływowi asocjacyjnemu istniejących typów. Natomiast przy spółgłoskach jest w polszczyźnie inaczej. Widzimy zatem i tutaj ten ogólny wpływ całego systemu fonetycznego. Po wtóre zaś jest jasną rzeczą, że w mniejszym czy większym stopniu ten hamujący wpływ ma dla każdego języka ogromne znaczenie: inaczej różniczkowanie się głosek poszłoby w nieskończoność i rozsadziło fonetyczną stronę języka w okruszyny.

W końcu podkreślam wyraźnie, że granica między rozwojem ogólnie i szczegółowo zależnym jest z natury rzeczy płynna i że skrajnym wypadkiem zmian szczegółowo zależnych będzie rozwój głoski czy grupy głoskowej w jednostkowych warunkach, tj. w jednym jakimś wyrazie, jak o tym mówiłem w § 16. Jest to zarazem wypadek z bieguna przeciwległego do rozwoju ogólnie zależnego i dla-

[1] Por. uwagi w §§ 20, 21.

[2] Przy czym *S* — spółgłoska; zamiast *Śo Śe* wedle zwykłego sposobu pisania byłoby *Sio Sie*.

tego przedstawia się na pozór jako wyjątek. Trzeba jednak zaznaczyć, że do pewnego stopnia każdy wyraz wzgl. stały zwrot ma swoją odrębną historię fonetyczną. Bo wymawiamy de facto całe wyrazy, zwroty, powiedzenia, które wyjątkowo tylko z oddzielnych głosek się składają, normalnie zaś są kompleksami głosek. Ale mimo to głoska ma swoją samodzielność, oczywiście wyobrażeniową czyli psychiczną przede wszystkim i oczywiście względną. Ale nic w tym nie ma szczególnego, bo bezwzględnej samodzielności w ogóle nie ma w zakresie tworów kulturalnych.

§ 23. Na zakończenie uwaga i przestroga, aby ściśle odróżniać głoskę od litery, bo litera to znak tylko. Ta przestroga wydaje się może zbyteczną, ale historia językonawstwa uczy, że niestety tak nie jest i do dziś dnia to mieszanie pojęć jest zjawiskiem bardzo pospolitym. Reguły i ujęcia zjawisk w praktycznych gramatykach polegają przeważnie na tym, że ludzie się patrzą na wyrazy i głoski napisane i operują tymi napisanymi postaciami jak kawałkami materiału.

Dla wszystkich, których interesują zjawiska językowe, jest także rzeczą konieczną zaznajomić się z zasadami fonetyki: a) opisowej, b) historycznej. Co się tyczy pierwszej, to odnośne wiadomości powinna dawać szkoła, przede wszystkim oczywiście na podstawie języka ojczystego i przy uczeniu języków nowożytnych, żywych. Na zachodzie w tym względzie dużo się zmieniło na lepsze, ale brak jeszcze konsekwencji w wymaganiach. Co się tyczy drugiej, to i tutaj najlepszą, naturalną podstawą jest język ojczysty; szkoła niestety jest jednak jeszcze bardzo daleka od należytego zużytkowania tego cennego materiału.

Na razie bardzo polecam wszystkim ciekawym czytelnikom naszą Encyklopedię polską, wydawaną przez Akademię Umiejętności, to jest jej drugi i trzeci tom, poświęcone językowi[1]. No, i oczywiście także zastanowienie się — w braku czegoś lepszego — nad tą moją rozprawką o rozwoju fonetycznym.

O zagadnieniu znaczenia głosek pomówię osobno.

---

[1] Tomy dawno wyczerpane. Ale językowy tom 2. wydania tej Encyklopedii P. A. U. ma się ukazać za rok. *Redakcja Języka Polskiego.*

## 7. Mowa a myśl[1]

«Zdanie jest to myśl wyrażona słowami»; «mowa służy do wyrażania myśli» — oto zwykłe szkolne określenia, do których życie dodaje co najwyżej jeszcze to, że mowa służy nieraz także do «ukrywania» myśli; ale to nie zmienia nic zasadniczo. Otóż nie myślę napadać na te określenia, chciałbym je tylko niejako lepiej przykręcić i dopomóc czytelnikom do łączenia z nimi właściwej treści, bo na tym wszystko zależy. Żadne określenie nie zastąpi zrozumienia.

Zauważmy przede wszystkim, że mowa wyraża nie tylko myśli, ale także uczucia, nastroje, postanowienia i zamiary. Jest to bezpośrednio jasne, a z tego wynika, że w tych szkolnych określeniach trzeba «myśl» brać w obszerniejszym znaczeniu każdej treści psychicznej i tych treści zespołu, albo też wyraźnie «uczucia i wolę» dodawać. Nie ulega wprawdzie wątpliwości, że ogromna większość wyrazów oznacza pojęcia, ale równie pewnym jest, że mimo tego co najmniej połowa, jeżeli nie więcej, wszystkiego tego, co ludzie mówią, wyraża nastroje, uczucia i różne akty woli. I nie ma w tym sprzeczności, jak to zaraz zobaczymy.

Przypomnijmy sobie napierw, że wyobrażenia i pojęcia zawierają zawsze i koniecznie jakiś żywioł uczuciowy, taki czy inny, przelotny lub stały, słaby albo silny. Na przykład nazwy różnych chorób i kalectw, w ogóle różnych fizycznych właściwości, przyjemnych lub wstrętnych, nazwy różnych zwierząt i gadów, potraw i przysmaków, zabaw i wielu innych rzeczy mają stały i silny składnik uczuciowy, skutkiem czego np. nazwy rozmaitych zwierząt i chorób stają się przezwiskami i przekleństwami. A cóż dopiero mówić o chwilowych nastrojach, nieustannie napływających, w których najpospolitsze wyrazy, same przez się całkiem obojętne, nabierają okolicznościowo uczuciowego zabarwienia! «C'est le ton qui fait la chanson» — mówią trafnie Francuzi; oczywiście! Wszakże ten sam wyraz może być obelgą i pieszczotą — zależnie od okoliczności i tonu, czyli nastroju.

Pamiętajmy tedy po wtóre, że bardzo wiele elementu nastrojowego, wzruszeniowego nie wypowiada się w ogóle osobnymi wy-

---

[1] Język Polski IV, 1 (styczeń—luty) 1919.

razami, tylko intonacją, która nadaje właściwy smak temu, co się mówi. Wyraża się to niezmiernie bogatą modulacją głosu i gra pierwszorzędną rolę, ale na piśmie tego nie widać i dlatego ludzie są skłonni element wyrazowy uważać za ważniejszy.

Po trzecie: nawet tam, gdzie są osobne wyrazy dla oznaczania uczuć i woli, pochodzą one prawie zawsze z wyrazów pojęciowych, polegających ostatecznie na wrażeniach zmysłowych; np. tak zwane przenośnie *gryźć się*, *zgryzota*, *pogodne* usposobienie, *pragnąć (:prażyć)*, *postanowić*, *rozstrzygnąć* itd.; i w ogóle mnóstwo wyrazów i wyrażeń, używanych od rana do nocy i niby pojęciowych, ma naprawdę znaczenie tylko nastrojowe, jak np. *padam do nóg*, *czołem*, *całuję rączki*, *dzień dobry*, żeby tylko jeden moment i jeden rodzaj przykładów przytoczyć.

Wyrazy, brane z osobna, niewątpliwie wyrażają przeważnie pojęcia, ale nie zapominajmy po czwarte o tym, że jednak nie setek, ale tysięcy takich wyrazów w ogóle rzadko, wyjątkowo używamy, i jeżelibyśmy porównywali z sobą tylko wyrazy i zwroty często, codziennie używane, to z pewnością wtedy już by takiej przewagi po stronie pojęć nie było.

Bo uprzytomnijmy sobie wreszcie że człowiek znajduje się w nieustannym prądzie uczuciowym; jego życie to, obok wrażeń, ciągłe falowanie nastrojów. Ileż czasu i energii zabierają choćby tylko same prośby, modlitwy, miłosne zwierzenia i namowy, liryki, żarty i złość! Jakże wiele z tego, co się mówi lub pisze, zawiera treść czysto lub przeważnie uczuciowo-nastrojową!

Ale, rozpatrując kategorie wyrazowe, czyli części mowy, znajdziemy tylko jedną wyłącznie uczuciową, a mianowicie klasę wykrzykników, i jak wiemy, jest to właśnie klasa odrębna, swoista pod każdym względem, raczej zdaniom niż wyrazom co do funkcji odpowiadająca, właśnie dlatego, że to są twory językowe, mające treść wyłącznie uczuciową. Spójniki i partykuły zawierają często także treść prawie wyłącznie subiektywną, ale są to fakty przeważnie drugorzędne.

To by było zatem jedno: język, chociaż jako system tworów wyrazowych oznacza przede wszystkim pojęcia, to jednak mimo

tego wyraża niemniej uczucia i wolę jak myśli, a nawet ta strona ma ogromnie doniosłe znaczenie dla całego rozwoju.

Poza tym zwykła definicja języka nastręcza jeszcze dwie uwagi. Jedna dotyczy potrzeby unikania fałszywego, a tak pospolitego i szkodliwego teleologicznego pojmowania zjawisk życiowych z człowiekiem jako ośrodkiem, dla którego z góry wszystko jest przeznaczone i który niejako swój rozwój celowo sobie urządza. To pojmowanie przebija we zwrocie, że język służy «do wyrażania» myśli, jak gdyby język był czymś poza człowiekiem, zupełnie odrębnym od jego myślenia i w ogóle życia psychicznego. Mowa nie «służy do wyrażania», tylko po prostu i przedmiotowo wyraża jako strona fizyczna stronę psychiczną przebiegów, tworzących jedność, a pojęcie celu i środka powstaje dopiero drugorzędnie. Wystarczy zastanowić się nieco nad najpierwotniejszymi tworami językowymi, jakimi są prymarne wykrzykniki, zwykłe *a!* na przykład, wyrzucone jako czysty odruch, z odpowiednią siłą, trwaniem i tonem czy raczej wrzaskiem, w którym się bezpośrednio wyładowuje pewne doznanie: tu nie ma mowy o żadnym celu ani środku; to tylko z bólu albo strachu albo zadziwienia człowiek m i m o  w o l i «się udarł»! Na ten punkt kładę osobno nacisk, i to w sposób dosyć jaskrawy, żeby przestrzec przed logiczno-celowym rozpatrywaniem zjawisk językowych.

Wreszcie ostatni dodatek do szkolnego określenia: język nie tylko wyraża czyli oznacza myśli i nastroje człowieka dla d r u g i c h, ale także dla człowieka s a m e g o, albo innymi słowy nie tylko się ludzie za pomocą języka porozumiewają, ale człowiek sam dla siebie utrwala nim i notuje swoje wewnętrzne przebiegi i treści i przez to walną pomoc zyskuje w swoim intelektualnym rozwoju. Mowa w ogóle nie jest wprawdzie tym samym, co myślenie i tylko myślenie, a wyrazy nie są jedynie pojęciami, choćby tylko dlatego, że względnym, ale dziś jeszcze widocznym początkiem i rdzeniem języka jest życie emocjonalne, ale bądź co bądź wyraz jest dla myśli tym, czym kościec dla ciała, a język jako całość jest dla myśli ludzkiej rodzajem wielkiego, porządnie ułożonego, zawsze dostępnego repertorium czy słownika.

Skoro stosunek wyrazu lub powiedzenia do odnośnej treści psychicznej jest stosunkiem znaku, to musi polegać na stałym skojarzeniu obu tych czynników, ale podstawa tego skojarzenia może być mniej lub więcej istotna i ścisła, i staje przed nami stare bardzo zagadnienie, czy stosunek między wyrazem czyli nazwą, to jest tym określonym brzmieniem, tym dawnym tworem językowym artykulacyjno-akustycznym a odnośnym pojęciem czyli znaczeniem jest istotnie przyczynowy, czy też polega tylko na zewnętrznym, nieistotnym skojarzeniu; czy może ten stosunek jest pośredni między tymi biegunami. Pomijam historyczną stronę całego tego zagadnienia, jak ono się w różnych czasach przedstawiało i jak na nie odpowiadano; a spójrzmy od razu na rzeczy własnymi oczyma w sposób nieuprzedzony. Otóż jest cały szereg faktów, dowodzących, przynajmniej na pozór, nieistotności związku, a mianowicie po pierwsze istnienie tylu, najrozmaitszych języków i narzeczy, a szczególniej biorąc fakt, że najzupełniej te same pojęcia są na świecie oznaczone tysiącami najróżnorodniejszych tworów fonetycznych, dajmy na to *koń łošaď at arklȳs Pferd cheval horse*...; po wtóre fakt, że ten sam mniej więcej kompleks fonetyczny w jednym języku znaczy to a w drugim całkiem co innego, np. niem. *ja* 'tak jest': pol. *ja*; franc. *pan* (pisane *panne*) 'sadło': pol. *pan*; franc. *ilemalad (il est malade)* 'jest chory': pol. *ile ma lat (ona)* itd.; po trzecie fakt, że ten sam kompleks fonetyczny może w tym samym języku oznaczać całkiem różne pojęcia, np. franc. *sā* (z nosowym *a*) 'bez' (przyimek), 'krew', 'sto', 'czuje (-ę, -sz)', 'zmysł' (pisane *sans*; *sang*; *cent*; *sens* i *sent*) i setki homonimów i tzw. dwuznacznych słów; wreszcie po czwarte fakt, że ten sam wyraz może z biegiem czasu nabrać nie tylko całkiem innego znaczenia, ale nawet wprost przeciwnego, np. *łączyć*, które dawniej, jak i dziś jeszcze miejscami, znaczyło właśnie 'rozłączać', żeby choć jeden przykład przytoczyć. Z tego wszystkiego wynika tedy jasno, że zewnętrzny wygląd wyrazów, ich rzeczywiste, obiektywne brzmienie jest jako takie dla ich znaczenia, czyli w stosunku do odnośnych pojęć czymś nieistotnym, czymś, jak się to mówi, przypadkowym, chociaż tak się mówić nie powinno. Bo rzeczywiście trudno się z drugiej strony człowiekowi z tym pogodzić. Z uporem powracano po wiele razy do teorii, że głoski czyli brzmie-

nia muszą coś znaczyć, a robili to nie tylko dyletanci, ale także zawodowi językoznawcy; ot żeby przytoczyć najbliższy mi przykład, w pracy «Wortbildung und Wortbedeutung» wyraziłem się na str. 101: Dass der Laut oder das sprachliche Element (Phonem) eine Bedeutung haben muss, d. h. dass derselbe der physische Exponent einer psychischen Tatsache sein muss, das ist wohl ganz klar. Sprawa jest nieco trudna, ale przy dobrej woli i skupieniu uwagi można jej dać radę. Z jednej strony jest mianowicie rzeczą jasną, że to «znaczenie» głosek musi, względnie musiało być innego rodzaju niż znaczenie całych skupień głoskowych, czyli wyrazów i powiedzeń, a po wtóre, że mówiąc o «znaczeniu głosek» chcemy wydobyć bardzo odlegle podstawy całego rozwoju językowego; że się cofamy w badaniu w gruncie rzeczy do stanu przedjęzykowego, o ile, mówiąc o języku, mamy na myśli zawsze coś choćby tylko w przybliżeniu podobnego do historycznie znanych języków. Te podstawy oczywiście leżą na dnie języków, ale można je porównać do fundamentów wspaniałej budowy, koniecznych i istniejących, ale niewidzialnych, bo dalszym rozwojem zupełnie nakrytych. Ale, chociaż niełatwo, te podstawy dadzą się wykazać.

Po pierwsze, wbrew zaznaczonej różnorodności fonetycznej języków, to jest ich tworów wyrazowych, spotykamy w zakresie pierwotnych czyli prymarnych wykrzyników wszędzie, w najrozmaitszych językach, te same albo podobne głoski i proste twory fonetyczne, a mianowicie głoski z gatunku *a e o i u*..., twory ze wstępnym zwarciem krtani *·a ·e ·o*..., ewentualnie z następowym zwarciem *a· e· o·* .., albo obustronnym *·a·* ..., twory z rodzaju *ha he*... lub *χa χe* ..., *ah oh* .., lub *aχ oχ* ..., wyrażające silne afekty zdziwienia, gniewu, strachu, bólu, szyderstwa itd. Już tu mamy prototypy, niby pierwotniaki samogłoskowe i spółgłoskowe; spółgłoskowe twory pierwotne występują przede wszystkim w postaci różnych syków, mlaskań, cmoknięć, świstów itd. I jużci jasną jest rzeczą, że jak dzisiaj tak i przed stu tysiącami lat, jeżeli ktoś chciał np. kogoś przestrzec przed obecnością bliskiego wroga, który mu bezpośrednio zagrażał, to nie huknął pełną gębą i głośno szerokiego *a*, tylko syknął cicho. I tak samo jasną jest rzeczą, że węższe głoski wokaliczne wyrażały mocniejsze uczucia niż szerokie, bo stoi to

w bezpośrednim związku z ilością drgań itp., itp. I otóż, po wtóre, głoski różnią się bardzo między sobą wysokością tonu, czystością rezonansu ustnego czyli jasnością, pełnią głosu, nosowością itd., a wszystko to są bez najmniejszej wątpliwości zasadnicze elementy «różnego znaczenia»! Potwierdza się to też np. faktem, że w zakresie wskazujących zaimków i partykuł zaimkowych w wielu językach postaci z jasną samogłoską (typ *si*) wskazują bezpośrednią bliskość, a postaci z niską samogłoską (typ *sa*) oddalenie. Albo np. w najrozmaitszych językach wszystkich części świata spotykamy kompleksy fonetyczne w rodzaju *tam tam*, *dam dam*, *dyn dyn*, *dzyn dzyn* itd., itd., składające się za tym zgodnie z trzech elementów: zwarcia, głosu wokalicznego i nosowości, i wyrażające różnego rodzaju przyrządy «muzyczne» i ich głosy. A więc należą tu także elementy pierwotnej onomatopei.

We wszystkich tych wypadkach należy tylko usilnie przestrzec przed niekrytycznym i naiwnym dopatrywaniem w głoskach jednego, własnego dajmy na to, języka różnorodnych pierwotnych znaczeń; rzecz to, jak niegdyś, za czasów Platona i Kratyla, tak po dziś dzień bardzo pospolita wśród ludzi, nie mających wyobrażenia o lingwistyce, a polega na niekrytycznym myśleniu i dziecinnej samozłudzie. Po prostu znaczenie wyrazu, to jest odnośne pojęcie kojarzymy tak ściśle z jego brzmieniem, że wydaje nam się, jak gdyby między tym brzmieniem a tym znaczeniem był bezpośredni, aktualny związek przyczynowo istotny, a tymczasem związek istotny wprawdzie jest, ale tylko genetyczny, rozwojowy i bardzo odległy!

## 8. Dźwięk a znaczenie. — Początki mowy

### I.[1]

Pragnę tu podjąć na nowo i nieco szerzej rozwinąć treść drugiej połowy swego poprzedniego artykułu pt. «Mowa a myśl». Zakończyłem go ogólnym wywodem, że pomiędzy znaczeniem wyrazów a ich brzmieniem nie ma — poza pewnymi, szczupłymi zresztą, kategoriami — aktualnego, bezpośredniego związku przyczynowego,

[1] Język Polski V, 3 (maj—czerwiec 1920). Por. do całego tego artykułu, nru 8, jego ustęp ostatni, V streszczający całość.

a dosyć pospolite złudzenie, że taki związek jest, polega tylko na stałym i bardzo silnym skojarzeniu znaczenia z brzmieniem wyrazów języka ojczystego. Związek istotny ostatecznie jest, ale bardzo niewyraźny, ogromnie odległy i właściwie tylko pośredni — choćby tylko z powodu ogromnego oddalenia historycznej doby wszelkich języków od epoki ich, względnego oczywiście, powstawania.

Owo pospolite u ludzi złudzenie wyraża się w sposób jaskrawy i naiwny w mimowolnym zrównywaniu wyrazów z rzeczami: oczywiście wyrazów języka ojczystego i przez ludzi stojących na niezbyt wysokim stopniu rozwoju kulturalnego. Ten sposób patrzenia na to, co się mówi, oświeca nam doskonale znana anegdota o tym, jak się spierali o wyższość swoich języków Niemiec, Włoch i Węgier. No—powiada Niemiec, chcąc spór rozstrzygnąć—jakże wy nazywacie na przykład 'wodę' *(Wasser)*? Włoch odpowiada: *acqua*, a Węgier: *viz*. Na to Niemiec z triumfem: a my mówimy 'woda' *(Wasser)* i to jest naprawdę woda *(wir aber nennen es Wasser und es ist auch Wasser)*. Może się komu wyda, że ta anegdotka jest zbyt naiwna, żeby była prawdziwa? Nie, o niej można naprawdę powiedzieć: *se non e vero, e ben' trovato*. Bo oto dwa takie same odezwania się, za których prawdę można ręczyć. Znakomity lingwista Schuchardt zapytał raz jednego chłopa włoskiego trzymając szklankę w ręku, czy wie, jak się to nazywa. Na to Włoch mu odpowiedział: To się nazywa w jednym języku tak, a w drugim inaczej, ale to jest 'szklanka' *(un bicchiere)* i tylko po włosku tak się nazywa *(questo si chiamerà così in una lingua e così nell' altra; ma è un bicchiere e soltanto in italiano si chiama così)* [1]. Nyrop opowiada znowu taką historyjkę. Pewna młoda Niemka zaczęła się uczyć francuskiego modną «bezpośrednią» metodą i właśnie odbywała się pierwsza lekcja przy śniadaniu, jako *leçon de choses*. Nauczyciel rozpoczął lekcję od sera i nazwał go pokazując Niemce 'serem' *(fromage)*. Ale młoda osoba nie mogła się z tym od razu pogodzić i zawołała naiwnie: *Fromage*? dlaczego *fromage*? 'Ser' jest przecież daleko naturalniej *(Käse ist doch viel natürlicher)* [2].

---

[1] Zeitschrift für roman. Philologie 21, 199.

[2] Grammaire historique de la langue française 4 § 544.

Nic tedy dziwnego, że tylko własny język uważa się naiwnie za naturalny, prawdziwy, naprawdę jasny, a obce języki za niepojęty bełkot. Przejawia się to w bardzo pospolitych przejściach znaczeniowych i zwrotach takich jak *parler français*, *auf gut deutsch*, *już ja mu to powiem po polsku*, gdzie nazwy własnego języka używa się w znaczeniu jasnego, dobitnego wyrażenia. Przeciwnie człowieka, mówiącego obcym językiem, nazywa się *momotem*, to jest bełkocącym niezrozumiale, bo nic innego nie znaczy greckie *bárbaros*, podobnie jak Słowianie swych zachodnich sąsiadów *Niemcami* nazywają, to znaczy ludźmi, nie umiejącymi porządnie mówić. To z pewnością bywa też głównym powodem, że rodzime nazwy bardzo wielu szczepów i ludów znaczą po prostu tyle co ‘człowiek’.

Na tym samym podłożu psychicznym i kulturalnym rozwijały się, a po części do dziś dnia się powtarzają lub trwają zjawiska tak zwanego tabu, eufemizmów i omówień, rzucanie uroczystej klątwy i czary, to jest sprowadzanie czarów na drugich, a uchylanie się od nich samemu, co wszystko polega na naiwnym zrównaniu wyrazu z przedmiotem, nazwy z rzeczą, imienia z osobą. To zasadnicze zjawisko wyraża się od niepamiętnych czasów w utartych zwrotach, że *nie należy wywoływać licha*, albo *wilka z lasu*, bo *o wilku mowa, a wilk tuż*. W czasie polowania, a zwłaszcza podczas wielkich wypraw myśliwskich i rybackich, mających dla wielu szczepów ogromne znaczenie, zachowuje się ściśle różne zabobonne praktyki, a do najważniejszych należy wystrzeganie się nazywania zwierzyny, na jaką się poluje, jej zwykłymi nazwami, ażeby nie zwracać jej uwagi, zmylić jej czujność i móc ją podejść; tak jak znowu w zwykłych warunkach unika się nazywania niebezpiecznych zwierząt dlatego, aby ich sobie nie sprowadzić niepotrzebnie na kark. Nazywa się tedy takie zwierzęta, na które się poluje lub których się boi, nie ich zwykłymi nazwami, tylko opisowymi, np. niedźwiedzia ‘starym, kudłaczem, burym’ itp., bo właściwa nazwa to tyle co zwierz sam, nazwać go — to prawie tyle, co go żgnąć. Podobnie unika się, i to nie tylko u szczepów na niskim stopniu cywilizacji, nazywania śmierci, choroby, zwłaszcza różnych zaraz, diabła i wielu innych rzeczy, budzących obawę, wstręt, pogardę itd., albo przeciwnie budzących w nas uczucia czci, uszanowania, religijnego poddania.

Nieskończone są przenośnie i omówienia w guście: *skonać* lub *skończyć* (życie), *przenieść się do wieczności, zamknąć oczy, zasnąć w Panu, zgasnąć, gdy mnie kiedyś zabraknie* itd., bo zawsze lepiej nie mówić o «samej śmierci». Lepiej diabła nazwać 'złym' czy 'kusym', bo my wiemy, o kim mowa, a jego się zmyli — tylu wszakże jest na świecie 'złych' lub 'kusych'! a jeszcze lepiej po prostu, jak w wielu stronach, 'tym' i przeżegnać się na wszelki wypadek. Chcąc rzucić na kogoś czary lub wezwać na niego kary i pomsty bogów, trzeba koniecznie albo mieć jego podobiznę, albo znać imię i nazwisko — wtedy przeklina się starannie jego, wymieniając wszystkie członki, i jeżeli można, wypisuje to wszystko i wtedy skutek pewny! To znowu nie nazywamy wielu rzeczy po imieniu, bo 'nie wypada', a nie wypada dlatego, że nazwa a rzecz to niby to samo. Oczywiście działają tu także różne inne uczucia i zjawiska te pojawiają się w najrozmaitszych postaciach i odmianach, ale wszędzie leży lub leżał na dnie, czy wyłącznie czy obok innych, ten zasadniczy rys psychiczny zrównywania rzeczywistości z wyrazami. Bardzo to ciekawa i pouczająca dziedzina, ale nie mogę się nad nią dłużej zatrzymywać.

Jednak i na wyższym stopniu rozwoju, kiedy już nie ma mowy o takim naiwnym zrównywaniu wyrazów z pojęciami, nie ginie ono całkowicie, tylko się przedstawia w nowej, «postępowej» formie. Ludzie zawsze przyjmują jakiś naturalny, istotny związek między nazwą a rzeczą, uważając je prawie instynktownie za dwie strony tego samego. Sprawa ma w sobie zarazem coś zagadkowego i tajemniczego, co wiecznie niepokoi umysły. Pomijając już szersze koła inteligencji, dalej ludzi skądinąd niecodziennych, ale u których gra wyobraźnia, jak wielkich nieraz artystów, a wreszcie uczonych nieraz maniaków, to nawet wśród bardzo wybitnych pod względem intelektualnym ludzi, u głów najjaśniejszych (oczywiście myśleniem, nie pochodzeniem) spotykamy często takie niejasne, w gruncie rzeczy naiwne, wyobrażenia o jakimś tajemniczym a istotnym związku, o jakiejś pełnej wyrazistości harmonii między wyrazem a rzeczą. Oto co myślał taki niepowszedni, ścisły i wszechstronny badacz i myśliciel jak Ampère — o francuskich samogłoskach nosowych. Oto «w językach, które je posiadają, wywołują one tę majestatyczną i pełną harmonię, jaką znajdujemy we francuskim w wyrazach

*rampe*, *temple*, *constance* itd., która by znikła w zupełności, gdybyśmy je wymawiali *râpe*, *tâple*, *constâce*» itd. (les sons... qui donnent aux langues où ils sont admis cette harmonie pleine et majestuese qu'on trouve en français dans les mots *rampe*, *temple*, *constance* etc., et qui disparaîtrait entièrement si l'on prononçait *râpe*, *tâple*, *constâce* etc.). Dlatego też nie podoba mu się nazwa 'nosowych', niestosownie nadana tym samogłoskom (les sons, appellés assez mal à propos sons nasaux)[1] — pewnie, jakże majestat ma w nosie siedzieć?! Ciekawe przy tym, że całkiem podobne zapatrywania spotykamy potem u jednego ze starszych lingwistów, Buschmanna, współpracownika braci Humboldtów. Mówiąc o różnicy nazw dla 'matki' a dla 'ojca', z których pierwsze zawierają w wielu językach głoski *m*, *n*, a drugie głoski *p*, *t*, widzi w *m* i *n* spokój i łagodność: Wie sinnig spricht sich nicht das Naturgefühl darin aus, dass für den Vater die starken Laute, die harte oder weiche Muta, für die Mutter die völlig abgeebneten, ruhigen Konsonanten bestimmt sind, welche nur als eine sanfte Grenze noch den Mutis angehören[2]. I całkiem jak Ampère odrzuca nazwę 'nosowych', która mu się stanowczo nie podoba.

Z drugiej strony, nie brakowało naturalnie nigdy ludzi we własnym mniemaniu naprawdę «oświeconych», nie mających «przesądów», wolnych od wszelkich «uprzedzeń» i «mistycyzmu», trzymających się tylko «faktów», słowem «pozytywistów», a także «sceptyków», którzy tego rodzaju zapatrywania uważali za dziecinne. Brzmienie wyrazu nie ma wedle nich nic wspólnego z oznaczoną wyrazem rzeczą: brzmienie to tylko czysto zewnętrzny, nieistotny, umówiony, w gruncie rzeczy przypadkowy znak.

W rezultacie zagadnienia nasze, zazwyczaj ogólniej pojęte jako zagadnienie o początku mowy, pokutuje od wieków w dysputach i w literaturze od Greków począwszy poprzez całą starożytność i średniowiecze, a następnie w epoce odrodzenia umysłowego w XVII i XVIII wieku aż do ostatnich czasów, gdzie wreszcie znalazło względnie załatwienie.

W Grecji postawiono i ujęto problem jako zagadnienie trafności czyli prawdziwości nazw, ὀρθότης τῶν ὀνομάτων, a Platon zastał go

---

[1] Essai sur la philosophie des sciences (I) XLVI nast.

[2] Über den Naturlaut (Berlin 1853), 4.

w takiej fazie: szkoła Demokryta utrzymywała, że nazwy oznaczają rzeczy na mocy społecznego układu, θέσει, zaś szkoła Heraklita, że na mocy natury, φύσει. Pierwsze stanowisko, którego zasadę nazywano obok θέσις także ἔθος, νόμος, ξυνθήκη, ὁμολογία, wyrażało myśl, że prawdziwość czyli stosowność nazw polega na swobodnej umowie ludzkiej, na społecznym przyjęciu i zwyczaju, czyli że stosunek wyrazów do wyrażanych rzeczy albo pojęć polega ostatecznie na działalności, wynikającej ze świadomej woli człowieka. Drugie stanowisko przyjmowało naturalny, przyrodzony, konieczny związek między nazwą a rzeczą, niezależny od ludzkiej woli, a w ślad za tym zgodność nazwy z istotą odnośnej rzeczy. Platon podjął zagadnienie w dialogu pt. Kratylos, gdzie Kratyl, zwolennik zasady φύσει, twierdzi, że każda rzecz ma w każdym języku z natury nazwę stosowną, zaś Hermogenes, wyznawca zasady θέσει, utrzymuje, że wszelka trafność nazwy polega tylko na umowie i zwyczaju, bo żadne nazwy nie powstają z natury. Zanim zobaczymy, jakie Platon w osobie Sokratesa zajął stanowisko wobec spornej kwestii, zaznaczmy, że w ogóle w tym problemie φύσει — θέσει mieszczą się właściwie trzy różne momenty, nie zawsze dosyć wyraźnie rozróżniane, a mianowicie: 1) właściwa kwestia «naturalnego znaczenia głosek», 2) kwestia pewnej ogólnej zgody między wyglądem wyrazu a przedmiotem, 3) kwestia raczej etymologiczno-logiczna, czy dana nazwa jest w ogóle trafnie dobrana w stosunku do istoty oznaczonej rzeczy. Że Grecy wsadzili tu jeszcze czwarty, całkiem innego rzędu moment, mianowicie wygląd liter, o tym niżej. Nas tu obchodzi oczywiście przede wszystkim pytanie pod a), w drugim rzędzie pytanie pod b); natomiast pytanie pod c) zostawiamy zupełnie na boku.

Otóż Platon dochodzi w osobie Sokratesa początkowo do wniosku, że nie podobna uważać wyrazów za dowolnie wytworzone, i stara się znaleźć naturalną i konieczną podstawę «prawdziwości pierwotnych nazw», ἀλήθεια τῶν πρώτων ὀνομάτων, w tym, że głoskami naśladowano pierwotnie istotę rzeczy i zjawisk: «*r*, przy którego wymawianiu język najbardziej drga, wyrażało wszelki ruch i pęd i dlatego spotyka się je w wyrazach ῥεῖν płynąć, ῥοή prąd, τρόμος drżenie (strach), τραχύς szorstki, κρούειν tłuc, uderzyć, θραύ-

ειν (roz)tłuc, ἐρείκειν rozbić, rozedrzeć, θρύπτειν kruszyć, κερματίζειν drobić, ῥυμβεῖν kręcić w kółko; głoska *i* wyraża rzeczy cienkie, jako najłatwiej idące przez wszystko, i dlatego mamy ją w ἰέναι iść oraz ἵεσθαι spieszyć, dążyć, podobnie jak znowu za pomocą głosek *ph* (φ), *ps* (ψ), *s* i *z* (ζ) oddaje się zgodnie z ich naturą wszelkie rodzaje wiania i dęcia, jak τὸ ψυχρόν zimne, chłodne, τὸ ζέον wrzące, σείεσθαι chwiać się, trząść się i w ogóle σεισμός wstrząs; przyciskanie i opieranie języka, jakie jest cechą głosek *d* i *t*, dało zdaje się początek wyrazom δεσμός więzy i στάσις stanie; natomiast wyraźne ślizganie się języka przy głosce *l* zostało zastosowane do nazw rzeczy gładkich (τὰ λεῖα) i samego pojęcia ὀλισθάνειν ślizgać się, a dalej wyrazów τὸ λιπαρόν tłuste, świecące od tłuszczu, τὸ κολλῶδες kleiste; w wyrazach znowu takich, jak τὸ γλίσχρον lepkie, γλυκύ słodkie, miłe i γλοιῶδες lepkie, przebija wstrzymujące działanie głoski *g* na sunący w *l* język; zgodnie z wewnętrznością brzmienia głoski *n* zostały nazwane τὸ ἔνδον wewnątrz i τὰ ἐντός to co wewnątrz położone; głoskę *a* zastosowano τῷ μεγάλῳ dla wielkiego, a głoskę *ē*, τῷ μήκει, dla długości ««ponieważ te litery są wielkie»»; a potrzebując dla wyrażenia okrągłości (τὸ γογγύλον) znaku *o* tę głoskę przede wszystkim wsadzono do odnośnej nazwy.»

Przytoczyłem umyślnie w całości ten ustęp, żeby dać wyobrażenie o naiwności pierwszych prób teorii językoznawstwa i o trudnościach, z jakimi myśl ludzka musi walczyć; i Platon zresztą sam miał wątpliwości, bo w dalszym ciągu stwierdza, że tej zasady nie można ani w przybliżeniu przeprowadzić, że zatem nie ma mowy, aby istota rzeczy odkrywała się nam w nazwach. Zwracam jeszcze uwagę na to, że w tych wywodach mieszano w starożytności ciągle głoski z literami, jak wyraźnie widać z uwagi o *alpha* (*a*) i *ēta* (*ē*); a z pewnością na wyobrażenie o cienkości głoski *i* lub okrągłości *o* wpływała także zwykła ich postać pisana. Pomijam w dalszym ciągu zupełnie etymologie dziecinne i niemożliwe, zarówno w Kratylu jak w ogóle u starożytnych, oraz wszystkie myśli i argumenty, przytaczane na korzyść jednej lub drugiej zasady, bo zajęłoby to bardzo dużo miejsca bez szczególnego pożytku. Wystarczy stwierdzić po pierwsze, że mimo wszelkich naiwności i nieścisłości widać czy to w roztrząsaniach platońskich, czy dalszych, pewne słuszne obserwacje

i myśli, tylko że się niestety od razu wykrzywiały i zbaczając z właściwej drogi dochodziły do nonsensu; po wtóre zaś, że raz postawiony problem φύσει — θέσει nadawał w dalszym ciągu kierunek myśleniu o rzeczach językowych. Stoicy opowiadali się przy zasadzie φύσει, ale rozróżnili naśladowanie głosem bezpośrednie, zatem onomatopeje w ściślejszym tego słowa znaczeniu, od pośredniego, gdzie wygląd wyrazu odpowiada rzeczy tylko pośrednio, symbolicznie, która to zasada, przybrawszy różne szczegółowe zastosowania, pozwoliła stoickiej i w ogóle starożytnej etymologii wyprawiać prawdziwe orgie — bezmyślności. Daleko mądrzejszą formę nadał zasadzie φύσει Epikur, którego myśl szła w kierunku psychologicznym (wbrew logicznemu kierunkowi stoików i innych) i ewolucyjnym. Epikur stwierdza, że początek mowy nie może polegać na 'umowie', na jakimś dowolnym układzie, tylko leży w naturze człowieka. Lukrecjusz wyraża to w ten sposób: Nonsensem jest mniemać, że ktoś na początku ponadawał nazwy rzeczom i że ludzie od niego się nauczyli pierwszych wyrazów, bo dlaczegóż on by to był mógł robić i tworzyć różne brzmienia, a inni nie? Gdyby zresztą już przedtem nie używano wyrazów, to skąd pojęcie o ich użyteczności, i jak ów pierwszy twórca mógłby był dać się innym zrozumieć?... wreszcie co jest tak dalece w tym dziwnego, że ludzie, mając przecie głos i język, oznaczali rzeczy rozmaitymi brzmieniami doznając rozmaitych wrażeń, skoro bydło i zwierzęta rozmaite a różne głosy wydają doznając strachu, bólu lub zadowolenia? I wywodzi dalej, jak całkiem inaczej psy warczą ze złości, a na cały głos ujadają, albo szczekają i skuczą bawiąc się lub łasząc, a wyją zamknięte w domu lub skowytają unikając bicia itd.[1]. W ten sposób obok

---

[1] De rerum natura 5 1039 nast.: proinde putare aliquem tum nomina distribuisse | rebus et inde homines didicisse vocabula prima | desiperest, nam cur hic posset cuncta notare | vocibus et varios sonitus emittere linguae, | tempore eodem alii facere id non quisse putentur? | praeterea si non alii quoque vocibus usi | inter se fuerant unde insita notities est | utilitatis et unde data est huic prima potestas, | quid vellet, facere ut scirent animoque viderent? | ...postremo quid in hac mirabile tantoperest re, | si genus humanum, cui vox et lingua vigeret, | pro vario sensu varia res voce notaret? | cum pecudes mutae, cum denique saecla ferarum | dissimilis soleant voces variasque ciere, | cum metus

tamtej naśladowczej, to jest teorii naśladowania dźwiękami, powstała teoria przyrodzonych głosów, wydawanych w różnych nastrojach i uczuciach, która jednak, chcąc wyjaśnić dalszy rozwój mowy i skojarzenie pewnych brzmień z pewnymi wyobrażeniami, uciekała się znowu do zasady θέσει, łącząc w ten sposób obydwie podstawy, indywidualnie przyrodzoną i społeczną. Filozoficzna myśl Epikura, jak w innych kierunkach, tak i w tym nie znalazła samodzielnych kontynuatorów, a w ogóle już ani starożytność ani średnie wieki nie wniosły żadnych nowych momentów ani myśli do nauki o języku. Średnie wieki zajmowały się żywo mową i wyrazami, ale w ścisłym związku z wielkim sporem nominalistów i realistów. Świeży powiew jak w innych dziedzinach tak i w naszej znać u Bakona; potężny umysł Locke'a rzucił i w tych zagadnieniach niejedną trafną i opartą na prawdziwym zmyśle rzeczywistości uwagę; ale prawdziwy postęp i żywszy rozwój w zdawaniu sobie sprawy z języka i jakby przygotowanie do językoznawstwa, które miało powstać w XIX wieku, przyniósł dopiero w. XVIII od Condillaca, Rousseau'a i Herdera począwszy. Ale wszystko to były jeszcze przeważnie spekulacje, na niedostatecznej obserwacji oparte; a w dalszym ciągu zostały przeważnie zapomniane; tak że w wieku XIX po epoce romantyzmu, który się odwrócił od wieku oświecenia, nie zdając sobie sprawy, że ten był jego jeżeli nie ojcem, to piastunem, teoretyczna myśl językoznawcza znowu przeważnie całkiem na nowo i niezależnie zaczęła pracować w ostatniej ćwierci tego ubiegłego stulecia, podnosząc się nadzwyczajnie na początku obecnego. Ponieważ w krótkich i dla szerszych kół przeznaczonych artykułach ani można, ani trzeba szeroko roztaczać rozwojową stronę kwestii choćby najważniejszych, przeto obecnie przejdę do rozpatrzenia rzeczywistych podstaw, do realnych faktów językowych, które w zakresie pytania o początku mowy i stosunku brzmienia do znaczenia możemy wziąć pod rozwagę; zaś zdążając na tej drodze do możliwie jasnej odpowiedzi wplotę ważniejsze poglądy i nazwiska, które się tu zaznaczyły aż do ostatnich czasów, w formie krytycznych uwag już to zgody, już to sprzeciwu.

---

aut dolor est et cum iam gaudia gliscunt, itd. — w zgodzie z krótkim streszczeniem tego stanowiska, jakie daje sam Epikur u Diogenesa z Laerty **10**, 75—6.

## II[1]

We wszystkich językach są twory wyrazowe, różniące się wyglądem, a po części jakością swego znaczenia od wyrazów zwykłego, powszechnego typu, i już na pierwszy rzut oka robią wrażenie czegoś prostego i pierwotnego. I rzeczywiście mamy w nich w pewnym sensie przeżytki, ślady dawniejszego, pierwotniejszego stanu rzeczy, ocalałe do dziś dnia, a są to: 1) wyrazy tzw. języka dziecinnego, 2) wykrzykniki, 3) twory onomatopeiczne.

Przypatrzmy się najpierw wyrazom tzw. dziecinnym; a więc takim jak *papa* 'ojciec; pysk; rzadko ugotowana potrawa', *papu*, *papać*; *pupa*; *baba*; *bobo* 'dziecko; strach'; *buba*; *mama*; *tata dada*, *diadia*, *dziadzia*; *nana*, *niania*, *nynać*; *kaka*, *kaku*; *ziazia* i wielu innym, oraz podobnym tworom innych języków. Otóż językoznawcy i psychologowie nie przypisują obecnie prawie żadnego znaczenia tym tworom w obchodzącym nas pytaniu, i to powszechnie, dlatego, że to jest bez żadnej wątpliwości język, tak samo jak język dorosłych, stały i tradycyjny, dziecku przez otoczenie poddawany, a nie jakiś spontaniczny wytwór, przez każde dziecko samodzielnie i na nowo dokonywany. Co się zaś tyczy jego pochodzenia i źródła, to po pierwsze polega w znacznej mierze na przekształceniu zwykłych wyrazów w wymowie dziecięcej, bo wiadomo że dzieci rozporządzając początkowo małym tylko zasobem głosek, i to nieokreślonych, oraz niedokładnie percypując, powtarzają słyszane wyrazy właśnie w takiej «dziecinnej» postaci, a starsi to przyjmują i ustalają; po wtóre zaś, te twory, które nie są takiego pochodzenia, należą właściwie do dziedziny onomatopeicznej, a nie tworzą osobnej, zasadniczej kategorii. Wreszcie, najważniejszy argument, który się zresztą powtarza, jak zobaczymy, także przy wykrzyknikach i onomatopejach, przeciw przypisywaniu językowi tzw. dziecinnemu jakiegoś wybitniejszego znaczenia w pytaniu o początku mowy, a w szczególności o stosunku głosek do znaczenia: ogółem biorąc, powiadają, te twory nie grają przecież w znanych nam językach żadnej roli, pozostają zawsze na uboczu, nie widać, żeby służyły jako podstawa («pierwiastki») dla tworzenia i urabiania wyrazów,

---

[1] Język Polski V, 4 (wrzesień—październik 1920).

środków językowych w ogóle. Toteż w dzisiejszych podręcznikach językoznawczych w rozdziale o początku mowy najczęściej nawet się nie wspomina o języku dziecinnym. Tym bardziej że w r. 1900 skodyfikował niejako to stanowisko Wundt w swym dziele o języku [1], stwierdzając, że wszystkie wyrazy języka dziecinnego, z wyjątkiem wyrazów dla ojca i matki, są dziecku właściwie poddane i wcale nie mogą uchodzić za wytwór dzieci; dalej, że w okresie przedjęzykowym, nie stojącym jeszcze pod wpływem języka otoczenia, dziecko wydaje z siebie po kolei, najpierw krzyki, potem, od siódmego tygodnia, artykułowane głosy, jedne i drugie jako czysto uczuciowe dźwięki przyrodzone (Naturlaute), nie mające żadnego innego znaczenia i w gruncie rzeczy właściwe także zwierzętom. Jest to wprawdzie materiał, z którego potem się tworzą dźwięki językowe czyli głoski, ale tu zaczyna się rozwijać zaraz, zwykle z końcem pierwszego roku, już właściwy język pod wpływem otoczenia, to znaczy pod wpływem gotowego, wyrobionego języka i to się powtarza od tysięcy lat! Głosy przyrodzone (Naturlaute) nie znikają wprawdzie zupełnie; owszem, pozostają na zawsze w języku jako przeżytki pierwotnej epoki, ale nie grają właściwie roli «językowej», są raczej obok języka niż w języku, bo to są prymarne wykrzykniki (*o*, *ach* itp.), nieliczne i tworzące całkiem swoistą kategorię. Zaś naprawdę do języka wchodzą one tylko: 1) jako «pierwiastki» urobionych od nich wyrazów i 2) w wyrazach, oznaczających ojca i matkę; a otóż co do pierwszych trzeba zaznaczyć, że są nieliczne i służą tylko dla językowego oznaczania takich właśnie głosów (np. niem. *ächzen*, gr. αἰάζειν, pol. *jojczeć* itp.); co do drugich, że właśnie oznaczają tylko rodziców, czyli że zakres ich nieruchomy i znikomo mały.

Ja jednak sądzę, że te zapatrywania nie są słuszne, a raczej że są słuszne tylko po połowie. Bo wprawdzie zarzuty przytaczane są z pewnością uzasadnione i obserwacje, na jakich się opierają, słuszne, z wyjątkiem ścisłego związku «prawdziwych» wyrazów dziecinnych z onomatopeicznymi, ale doniosłość tych zarzutów nie wyczerpuje wcale całości sprawy, nie załatwia ani tłumaczy wszyst-

---

[1] Wundt, Völkerpsychologie. I. Die Sprache, w dwu tomach, Lipsk 1900. Potem już dwa czy trzy wydania.

kiego w języku dzieci. Pozostawmy na boku wykrzykniki i rozpatrzmy właściwy język dziecinny. Przyznajemy, że jest to język tradycyjny i że niejeden z jego wyrazów polega w gruncie rzeczy na przekształceniu wyrazów języka dorosłych, tak jak to w używanych indywidualnie w rodzinach językach dziecinnych niewątpliwie stale się dzieje. Jednak wszystkiego to nie objaśnia, bo obok takich tworów jest cały szereg tworów jednakich albo bardzo podobnych w najrozmaitszych językach, które zresztą nie wykazują żadnych związków genetycznych. Wundt, jak wspomniałem, uznaje to dla wyrazów, oznaczających ojca i matkę, na podstawie pracy Buschmanna, a także Lubbocka, do czego przybywa materiał z dawnych małoazjatyckich języków, zebrany przez Kretschmera[1], oraz przytoczona przez niego praca d'Orbigny'ego. Wundt, przyznając, że przypadek jest tu wykluczony, sprowadza te wyrazy do dziecięcych, pierwotnych głosów uczuciowych i podkreśla, że nie polegają one na krzykach, z których poszły wykrzykniki, tylko na głoskach artykułowanych, wydawanych przez dziecko w epoce przygotowującej tworzenie się właściwego języka. A z tego, na podstawie ogólnych obserwacji i stwierdzeń, wywodzi, że jak zawsze, tak i te dźwięki dostały swe znaczenie nie od dziecka, tylko od jego otoczenia. Osoby zwracają na siebie wedle Wundta większą uwagę niż rzeczy (?), a spomiędzy osób stoją oczywiście rodzice na pierwszym planie i dlatego pierwsze artykułowane głosy dziecka zostały «in jenem ersten wechselseitigen Nachsprechen, das sich aus Anlass der Echoprache[2] zwischen dem Kinde und seiner Umgebung entwickelt» właśnie do rodziców przez otoczenie odniesione. Wundt podkreśla z naciskiem wyjątkowe stanowisko tych wyrazów: dźwięki naturalne, z których powstały, są, w porównaniu z krzykami i polegającymi na nich wykrzyknikami, obojętne pod względem charakteru uczuciowego i tym się różnią te wyrazy zarówno od pierwotnych wykrzykników jak od wszystkich innych wyrazów, które powstały całkiem niezależnie od jakichkolwiek dźwięków przyrodzonych, zgodnie

[1] Kretschmer, Einleitung in die Geschichte der griechischen Sprache, Getynga 1896.

[2] przez «Echosprache» rozumie W. bezmyślne powtarzanie przez dziecko słyszanych głosów i wyrazów.

z tym, że nie działały przy nich te co tutaj szczególne warunki. — Chcąc dobrze zrozumieć myśl Wundta trzeba jeszcze uprzytomnić sobie jego ogólne stanowisko w sprawie początku języka, które też tu krótko streszczę. Język należy do ruchów wyrazistych, które w ogóle, stale, od samego początku towarzyszą objawom świadomości; pytanie zatem o początku mowy może znaczyć naprawdę tylko tyle: w jaki sposób właściwe człowiekowi i odpowiednie stopniowi jego świadomości ruchy wyraziste stały się dźwiękami językowymi, a dalej stopniowo znakami, które tylko wyjątkowo wykazują stosunek do odnośnych treści myślowych?[1]. Pierwotnie taki stosunek musiał być wszędzie, ale właściwie był zawsze tylko pośredni, bo psychicznemu przebiegowi odpowiada przecież jako ruch wyrazisty wprost tylko ruch artykulacyjny, a nie dźwięk; a nadto, pierwotnie w wielu wypadkach był zrozumiały tylko na podstawie całej towarzyszącej mu gry ruchów mimicznych i gestów, których częścią są właśnie ruchy artykulacyjne. Język dźwiękowy zwolna się dopiero stał niezależny od języka mimicznego i gestykulacyjnego, a skoro tak, to nie było nigdy stałego i niedwuznacznego w sobie stosunku dźwięku i znaczenia[2]. Dźwięki językowe nie polegają tedy na przypadku, tylko owszem są pierwotnie pod względem swego znaczenia najzupełniej określone przez towarzyszące ruchy twarzy i ciała, ale same przez się są ostatecznie zjawiskiem wtórnym. Tu istnieje jednak, zdaje mi się, sprzeczność u Wundta, a jeszcze więcej w dalszym powiedzeniu: w ten sposób jest dźwięk językowy w zupełności naturalnym i koniecznym wynikiem wchodzących w grę warunków psycho-fizycznych, które tylko w szczegółowych wypadkach zazwyczaj nie dają się wykazać, już to że ich w ogóle nie można odnaleźć, już to że dźwięk językowy podlega nieustannym zmianom co do dźwięku i znaczenia[3].

---

[1] przeze mnie rozstrzelone.

[2] przeze mnie rozstrzelone.

[3] «So entsteht der Sprachlaut ganz und gar als ein naturnotwendiges Ergebnis der bei seiner Bildung obwaltenden psychophysischen Bedingungen, die sich nur im einzelnen Fall, teils weil sie an sich nicht mehr aufzufinden sind, teils weil der Sprachlaut selbst fortwährenden Veränderungen

Cóż o tym wszystkim powiedzieć? Sposób, w jaki W. pytanie ujmuje i na nie odpowiada, jest zapewne ogółem biorąc słuszny, ale niezupełnie jasny i wykazuje sprzeczności, a przy tym jest tak ogólnikowy, że, przynajmniej językoznawcom, nie może wystarczyć. Ale z drugiej strony może właściwie tylko dlatego i o tyle jest słuszny, że i o ile jest ogólnikowy, bo szczegółowsze wywody zawierają szereg sprzeczności. Powiada W., że owym wyrazom w rodzaju *tata* i *mama* to ich znaczenie zostało nadane przez otoczenie, a nie przez dzieci; a dalej, że tylko wskutek zbiegu szczególnych warunków dostały się w tych wyrazach przyrodzone głosy uczuciowe do języka, podczas gdy zresztą — poza prymarnymi wykrzyknikami, stojącymi osobno — wyrazy znanych języków powstały niezależnie od jakichkolwiek głosów przyrodzonych. Jeżeli znaczenie tym wyrazom *papa*, *tata*, *mama* zostało nadane tylko przez otoczenie, to skądże ta dziwna zgodność w tylu różnych językach? Następnie, w takim razie jest sprzeczność z tym, co mówi, że dźwięki językowe są «naturnotwendiges Ergebnis der bei ihrer Bildung obwaltenden psychophysischen Bedingungen», bo jakże można jedną stronę, tj. mówiących, całkiem wyłączać? Mówi o niezależności fonetycznej wyrazów od głosów przyrodzonych, a na innym miejscu oczywiście powiada, że te głosy są materiałem, z którego potem dźwięki językowe powstają, a w takim razie jest to tylko kwestia widzialności i niewidzialności, tego co w pierwszym artykule porównałem ze stosunkiem budynku do fundamentów istniejących, a rzadko widocznych. Oczywiście; przecież całkiem co innego jest chcieć widzieć istniejące do dziś dnia «pierwotne» wykrzykniki i takie kompleksy jak *ta*, *da*, *ba*, *ma* itd., itd. języka dziecinnego w tej właśnie postaci, która nadto jest sama zależna od każdorazowego stanu fonetycznego języków, w wyrazach dzisiejszych języków po całej tej olbrzymiej i skomplikowanej przeszłości rozwojowej, a co innego zaprzeczać wszelkiemu związkowi. Inne sprzeczności polecam już tylko samodzielnej uwadze czytelnika.

Posłuchajmy teraz, co myśli o języku dziecinnym dobry językoznawca, wspomniany już Kretschmer. Stwierdziwszy, że częste

nach Laut wie Bedeutung unterworfen ist, meist unserer Nachweisung entziehen» ($\mathrm{II}^1$ 608). Ustęp rozstrzelony przeze mnie.

w dawnych małoazjatyckich językach imiona o zasadniczych typach *ba*, *baba*, *ab(b)a*, *da*, *dada*, *ada*, *ma*, *mama*, *am(m)a* itd., itd. powtarzają się w językach świata jako nazwy rodziców, tak dalej wywodzi: «Przyczyna tego zjawiska jest jasna: te wyrazy są po prostu pierwszymi bełkotliwymi dźwiękami dziecka, które, same przez się bez znaczenia, dopiero rodzice odnoszą do rzeczy leżących na horyzoncie dziecka, przede wszystkim zaś do ojca i matki[1]». Trudniej jest stwierdzić, od czego przy tym zależał rozdział znaczenia. Po części był niezawodnie czysto przypadkowy, jak wynika z różnic znaczeniowych w rozmaitych językach» — tu następują przykłady (np. europejskie *kaka*, a *kaka* 'dziadek' w jednym z afrykańskich języków i wiele innych). «Ale obok tego widać niezaprzeczenie zasadę rozdziału znaczenia, bo, jak to dawno zauważono, ze spółgłoskami *p*, *t* łączy się przeważnie znaczenie 'ojca' i innych męskich krewnych, a ze spółgłoskami *m*, *n* wyobrażenie 'matki, mamki, ciotki'. Ostatecznie o przypadku nie może być mowy. Dotychczas nie ma przekonywającego wyjaśnienia tego faktu»; Kretschmer próbuje takiego, opierając się na «fachowym zdaniu matek»: «dziecko wcześniej wydobywa z siebie głosy *ma-ma* niż *pa-pa*, które mu sprawiają więcej trudności. Przyczyną jest pewnie to, że dziecko jeszcze nie włada dostatecznie mięśniami miękkiego podniebienia; a ponieważ matka, mamka, niańka i inne krewne w pierwszych latach daleko więcej się zajmują dzieckiem niż ojciec, więc nic dziwnego że pierwsze bełkotliwe głoski do siebie odnoszą, podczas gdy mężczyzna dostaje resztę».

Nie wiem oczywiście, czy Kretschmer dzisiaj by podtrzymywał ten wywód; może być, że nie, bo jednak końcowe objaśnienie jest tego rodzaju, że chyba nikogo nie przekona, jak tego bliżej nie będę uzasadniać. Ale widać w każdym razie dwie rzeczy: po pierwsze że sprawa jest ciągle ciemna, a po wtóre że Kretschmer tak samo jak Wundt robi dorosłych odpowiedzialnymi za znaczenie tych wyra-

[1] «jene Wörter sind nichts weiter als die ersten stammelnden Laute des Kindes, welche an sich bedeutungslos erst von den Eltern auf die im Vorstellungskreise des Kindes liegenden Dinge, in erster Linie auf Vater und Mutter selbst bezogen werden» (str. 353). Rozstrzelone przeze mnie.

zów, a prawie tak samo jak Wundt uważa jakieś «pierwotne» znaczenie dźwięków pierwotnych za wykluczone.

A więc dla języka dziecinnego, to jest dla tych jego tworów, które możemy uważać za kontynuację rzeczywiście pierwotnych i powszechnych, nie mamy dotychczas naprawdę wyjaśnienia poza ogólnikowymi odpowiedziami. A jednak nauka o języku musi dążyć do wypełnienia jakąś konkretną treścią tej ogromnej, pustej dla naszego poznania przestrzeni pomiędzy «początkiem», względnie ogólnikiem, określającym go teoretycznie, a rzeczywistym językiem. I sam fakt istnienia tych zgodności fonetycznych i znaczeniowych dowodzi, że musi być jakaś pierwotna tego przyczyna, to jest nie tylko w ogóle, ale przyczyna takich właśnie zgodności. Starajmy się wniknąć w «pierwotne» stosunki życia ludzkiego. Otóż dawno już stwierdzili lekarze, że przyczyną pierwszego ludzkiego krzyku jest pierwszy oddech[1]: powietrze wchodzące nagle do płuc, nagromadzone tam i nazad się wydobywające, wprawia w ruch cały przyrząd oddechowy, wywołuje cały szereg ruchów, skurczów i wrażeń, a w szczególności, napierając od spodu na krtań, wprawia w ruch wiązadła głosowe i wychodzi na zewnątrz w postaci krzyku. Jest to krzyk odruchowy, w którym wyładowują się na zewnątrz wrażenia i uczucia nieprzyjemne, przerywa życiowa martwota, zarazem zaś mamy w nim materiał do przyszłych samogłosek, element wokaliczny.

Drugie zasadnicze wrażenie, druga zasadnicza czynność organizmu z towarzyszącą mu wybitną reakcją świadomości to ssanie i smakowanie, zaspokajanie głodu i pragnienia mlekiem matczynym. Tu mamy znowu do czynienia ze zwieraniem warg i ze zwieraniem języka z podnienieniem, czemu towarzyszą przyjemne wrażenia i uczucia; te ruchy warg i języka muszą być oczywiście przerywane i w ten sposób mamy w nich materiał przyszłych spółgłosek wargowych i podniebiennych względnie przedniojęzykowych, element spółgłoskowy. Równocześnie przy zwarciu warg powietrze wychodzi nosem, a przy otwarciu ust ustami, to znaczy są to elementy resonansu ustnego i nosowego. To zna-

[1] a nie temperatura, bo na nią noworodek mało jest wrażliwy.

czy zatem, że człowiek od najdawniejszych czasów dobywa z siebie szereg głosów krtaniowo wokalicznych jako objaw wrażeń ujemnych; dalej głosy w rodzaju późniejszych *m b p* (*ḿ b́ ṕ*) oraz *n t d* (*ń ť ď*), przy czym pierwsze towarzyszą ssaniu, drugie smakowaniu. Bezpośrednio potem zjawia się jeszcze jeden objaw, a mianowicie nasycenia, przesytu, wstrętu, odpychania piersi, czemu towarzyszy świst wydobywającego się z ust po wypuszczeniu piersi powietrza, element spirantyczny wargowy; przynajmniej bardzo prawdopodobnie.

Te twory artykulacyjne i ich rezultaty fonetyczne są oczywiście pierwotnie długo nie zróżniczkowane pod względem zasadniczych swych cech, otwarcia jamy ustnej, rodzaju głosu (dźwięczności), stopnia energii, zwarcia, nosowości itd., i jeszcze dzisiaj można w pewnych językach i w pewnych objawach widzieć ślady tego. Zatem to, co dzisiaj, to znaczy w epoce historycznej, wyrażamy za pomocą różnych kompleksów fonetycznych *papa*, *papu*, *baba*, *bobo*, *mama* itp., to nie było pierwotnie szeregiem zasadniczo różnych tworów; tak samo *tata*, *dada*, *nana* i podobne oraz *ťaťa*, *niania* i podobnie także były pierwotnie jednym tworem. Oczywiście także pod względem znaczenia, to znaczy znaczenie ich było bardzo obszerne, mało zróżniczkowane. Bo czegóż nas uczy zawsze na nowo obserwacja dzieci? Oto tego, że u dziecka, a zatem tak samo u prymitywnego człowieka, formują się początkowo bardzo rozległe twory wyobrażeniowo-uczuciowe. Ale od początku jest materiał i przyszłych wyobrażeń i przyszłych uczuć w postaci pierwotniejszych, mniej zdyferencjowanych treści psychicznych, ale zawierających przecież i jedno i drugie. W każdym razie człowiek od początku doznaje szeregu wrażeń, które są z jednej strony obiektywnymi (wyobrażeń, rzeczy), z drugiej subiektywnymi (uczuć, podstaw świadomości). A przy tym człowiek od początku rozporządza dwoma zasadniczo różnymi tworami, krzykiem i «artykułowanym» głosem, co jest bardzo ważne, jak niżej zobaczymy.

Otóż, wracając do znaczenia, pierwotnie nie istnieją jeszcze wyraźnie różne, samodzielne wyobrażenia 'matki', 'mamki', 'piersi', 'mleka', 'ssania', 'głodu', 'zaspokojenia głodu', 'chcę jeść', 'chodź mamo' itd., itd., tylko rodzaj wielkiego, niekształtnego tworu, w któ-

rym przeważa raz to, raz owo i który, zależnie od sytuacji i warunków, znaczy raz przede wszystkim to, a drugi raz przede wszystkim owo. Podobnie jak pod względem jakości towarzyszących mu ruchów muskularnych i wynikającej z nich postaci fonetycznej oraz pod względem towarzyszących mu nierozłącznie uczuć. Drugi taki wielki twór artykulacyjno-fonetyczny i znaczeniowo-uczuciowy to to, co się kiedyś potem będzie wyrażać szeregiem osobnych wyobrażeń 'ojca', 'huśtania', w ogóle 'ruchu przyjemnego', 'zadowolenia', 'dobrego smaku', 'podobania', 'niańki' itd., itd. wraz z odnośnymi postaciami fonetycznymi i uczuciowymi. I nic dziwnego: matka, kobieta to przede wszystkim mamka, pierś, ssanie, głód itd., itd., ojciec, mężczyzna to przede wszystkim ruch brzęk, siła, migotanie, imponowanie, rzadka zabawa itd., itd. I otóż z takich tworów rozwija się zwolna mowa w miarę działania zasadniczych zjawisk percepcji, uwagi, kojarzenia itd., oraz na podstawie polegających na nich zasadniczych faktów językowych powstania znaczenia, prawa dwuczłonowości itd., a to w miarę danych warunków życiowych; a w ogóle mówiąc, drogą nieustannej, stopniowej ewolucji, rozkładania doznań, łączenia ich znowu w całości coraz inne, różniczkowania się treści psychicznych itd. rozwija się zwolna język i staje się potężną dźwignią intelektu ludzkiego.

Prawie od samego początku działa jeszcze jeden ważny moment, moment spokojniejszego zadowolenia ogólnego i zabawy, ćwiczenia sił w zabawie, czemu towarzyszy w bardzo wybitny sposób element rytmicznej świadomości, materiał do przyszłych powtarzań i tworzenia większych kompleksów fonetycznych. Z drugiej zaś strony element wysokości głosu (muzyczny) i natężenia, wykładnik zdecydowanych uczuć, który może podobnie jak rytm następstwa towarzyszyć różnym tworom, przez co od początku zaczyna się wyodrębniać. Toteż człowiek wyraża stronę uczuciową swych doznań przede wszystkim wysokością, melodią, natężeniem głosu itp., zaś stronę obiektywną przede wszystkim jego umiejscowieniem, i to jest naturalne, bo umiejscowienie łączy się przecież bezpośrednio z ruchami wyrazistymi, z mimiką i gestykulacją. To idzie w parze z rozdzielaniem uczuć od wyobrażeń, świata zewnętrznego od subiektywnego.

Do bardzo pierwotnych elementów «językowych» należą też, jak wspomniałem, twory o charakterze *f*, *pf*, ewentualnie *p*, *b*, skojarzone z wyobrażeniami, budzącymi odrazę itp. i towarzyszącymi im uczuciami; te twory zapewnie pierwotnie tworzyły całość z rodzajem wydawanego przez nos *f*, do którego przy wąchaniu dosyć zawsze było i jest sposobności. Dalej, również bardzo w najrozmaitszych językach rozpowszechnione twory o charakterze *s*, *sz*, łączonych ewentualnie z głoskami *t*, *p* itp., a wyrażające przestrogę, zatrzymywanie, obawę itp. (*st*, *pst* itp.), tkwiące niewątpliwie w szepcie, w tym charakterystycznym świście, wydobywającym się przy szeptaniu. Ale te spostrzeżenia już nas przeprowadzają do tego, co się pospolicie nazywa symboliką dźwiękową, a z czym się przede wszystkim przy głosach afektowych i onomatopejach spotkamy. W tych tworach wyraża się związek tych zjawisk, które a potiori nazywamy wyrazami dziecinnymi, z prymarnymi wykrzyknikami i onomatopejami. Ten związek wyraża się zresztą i w samych tworach języka dziecinnego, a mianowicie raz w ich elementach wokalicznych, należących do pierwotnych krzyków, po wtóre w ich rytmice powtarzania, która polega nie tylko na subiektywnych faktach psychicznych, ale także na naśladowaniu podobnej rytmiki w świecie zewnętrznym.

A więc na razie możemy opuścić dziedzinę języka dzieci, matek i nianiek i zadowolić się podanymi uwagami, które może sprawę o krok naprzód posuwają, bośmy uzyskali, jak mi się zdaje, parę zrozumiałych, pierwotnych kompleksów psycho-fizycznych, a w nich cały szereg składowych elementów, jako podstawę dalszej dyferencjacji.

## III[1]

Język dziecinny przedstawia wprawdzie dosyć wyraźną i odrębną kategorię, ale mimo to rozmaite cechy łączą go z obu drugimi, tj. z wykrzyknikami pierwotnymi i z głosami naśladowczymi, i nic w tym dziwnego: wykrzykniki to przecież objaw życia, objaw doznawanych nieustannie uczuć, wzruszeń, nastrojów i pragnień, a to

[1] Język Polski V, 5 (listopad—grudzień 1920).

gra przemożną rolę w życiu człowieka, i to tym większą i wyłączniejszą, im dalej się cofamy w przeszłość rodzaju ludzkiego, a więc w epoce jego pierwocin niezmierną. Ponieważ zaś wyrazy dziecinne doprowadzają nas do tych samych stosunków i czasów, więc jest rzeczą jasną, że muszą mieć z wykrzyknikami dużo bezpośrednio wspólnego.

Starajmy się znowu wniknąć bez uprzedzeń w owe pierwotne stosunki. Otóż pod wpływem zmiennych i nie hamowanych uczuć człowiek wydaje z siebie najrozmaitsze krzyki, wrzaski, jęki; dyszy, chrapie, krząka, kaszle, wzdycha itp., to znaczy wydaje cały szereg głosów o charakterze wokalicznym, oraz głosów o charakterze spółgłoskowym, zwartym i szczelinowym, umiejscowionych przeważnie w krtani i w tylnej części jamy ustnej.

Uczucia, których objawami są wymienione głosy, grają ogromną rolę w życiu człowieka; ale zapewne daleko bardziej twórczymi w zakresie kultury, a zatem także w dziedzinie językowej, były nastroje i uczucia grupowe, doznawane przy wspólnych zabawach, pracach, wyprawach łowieckich, rybackich, wojennych, obrzędach rodzinnych, jak np. weselnych, pogrzebowych i innych, itd., itd., a wreszcie — last not least — w życiu płciowym. Cała ta olbrzymia dziedzina zjawisk, wywoływanych przez odnośne nastroje i afekty i wzajem je wywołujących, odznacza się w bardzo wysokim stopniu bezpośrednio towarzyszącym elementem rytmicznym, który się wyraża nie tylko w ruchach obwodowych ciała w ogóle, ale także, i to w sposób rozmaity, na wokalicznym i w ogóle głosowym materiale, danym od początku w nieartykułowanej postaci krzyku. Te głosy, wynik odnośnych ruchów krtani, języka itd., są zatem wynikiem bezpośrednim zachowania się całego organizmu, a w szczególności stoją w bezpośrednim związku z wyrazem twarzy, postawą i oddychaniem, zmieniającymi się w miarę różnych nastrojów, usposobienia i uczuć. Jak wiadomo, wszystkim stanom świadomości, ale przede wszystkim wzruszeniom i afektom, towarzyszą w organizmie całe prądy wysiłków muskularnych i organicznych, a w miarę gry muszkułów i przepływu wrażeń organicznych zmienia się wyraz twarzy, układ jamy ustnej, położenie i ruchy języka, układ i działanie krtani; zmienia się sposób trzymania jamy brzusznej i klatki

piersiowej i sposób ich działania, natężenie i rytm oddechu, trzymanie pleców i ramion, w ogóle cała postawa i całe zachowanie się fizyczne. Otóż jest rzeczą wiadomą, że wraz z tymi czynnikami zmienia się bezpośrednio jakość, dźwięk, barwa wydostającego się głosu, stopień i rodzaj jego siły, jasności i wysokości itd. Możemy mówić o uczuciowym układzie narzędzi mownych, zmieniających sposób swego działania w zależności od nastrojów i uczuć zadowolenia lub wstrętu, błogości lub osłupienia, pieszczoty i czułości, nienawiści i obrzydzenia, strachu i wściekłości itd., itd. Prawda, jak nieraz kurczowo zwieramy szczęki, jak przyciskamy język do podniebienia, jak nas w gardle aż dusi, jak wydymamy wargi, jak znowu nagle wszystko niby się rozluźnia i wygładza?! Otóż to są elementy bezpośrednio wyraziste, bezpośrednio ekspresywne i nie tylko nieartykułowane głosy i krzyki, ale tak samo nasze artykułowane głoski, a zwłaszcza brzmienie samogłosek bardzo się zmienia zależnie od tych czynników, i to zarówno dźwięk, rodzaj, barwa, wysokość i siła głosu jak, w bardziej złożonych formach odezwania się czy krzyku, cała w ogóle melodia. Toteż ta strona powiedzenia jest bezpośrednio zrozumiała, bez względu na to, co się mówi, jakimi wyrazami i w jakim języku się mówi, równie dobrze dla człowieka jak dla zwierzęcia. Wiadomo wszystkim, że ten sam wyraz, ten sam zwrot może być obelgą lub pieszczotą; wyrazy prośby stają się rozkazem, obojętne groźbą, itd., itd., nie mówiąc już o tym, że z samego tonu, bez względu na to, czy wyrazy same się rozumie czy nie, wszyscy, równie dobrze dorośli jak dzieci, cywilizowani czy dzicy, ludzie czy zwierzęta, doskonale właściwy sens mówionego i usposobienie mówiącego rozumieją.

Ponieważ zarówno człowiek, jak całe warstwy społeczne i zawody i jak całe szczepy i narody doznają nie tylko zmieniających się, rozmaitych wrażeń, uczuć i wzruszeń, ale mają, w bezpośrednim związku ze swą fizyczną i psychiczną indywidualnością, także pewną stałą, przeciętną fizjonomię duchową, pewne stałe usposobienie, pewien zasadniczy temperament, więc jest rzeczą naturalną, że i ich głos i mowa mają także pewną stałą jakość, zabarwienie, melodię, tak jak mają pewien stały sposób trzymania się, chodzenia itd. Są to rzeczy niezmiernie ciekawe i doniosłe, w ostatnich dopiero

czasach badane przez Rutzów, Sieversa, Luicka i innych, ale nie mogę się tu nad nimi zatrzymywać[1].

Otóż teraz chodziłoby o połączenie «organiczne», bezpośrednie i szczegółowsze tych elementów z istniejącymi w językach pierwotnymi wykrzyknikami i dalej z głoskami języków w ogóle. Stwierdziliśmy istnienie od początku elementów głosowych, pierwotnie krzykowych, zastosowalnych potem jako elementy «językowe», wokaliczne i spółgłoskowe; ale jak się ta ewolucja odbyła? Tzw. pierwotne[2] wykrzykniki, tj. takie jak *a*, *ha*, *ach*, *o*, *ho*, *och*, *e*, *he*, *ech*, *i*, *aj*, *ej*, *oj*, *ij*, kombinowane *aha*, *oho*, *ehe*, *ojoj*, *ojej*, *ajaj*, *ajej*, *jej*, itp., wszystkie z najrozmaitszymi intonacjami i w ślad za tym w najrozmaitszym «znaczeniu», są bezpośrednimi wykładnikami silnych wrażeń i uczuć i polegają genetycznie na pierwotnych krzykach, ale w takiej pierwotnej postaci, tj. jako rzeczywiste krzyki i wrzaski, nie należą już wcale do języka w ściślejszym tego słowa znaczeniu. Wprawdzie i przytoczone tworzą swoistą kategorię, stojącą właściwie poza językiem, zarówno ze względu na swoją postać jak sens, ale mają przecież formę językową, to znaczy są identyczne z istniejącymi w języku głoskami i zgłoskami. Natomiast prawdziwe «nieartykułowane» krzyki, okrzyki i wykrzyki, zwłaszcza bólu, wściekłości i przerażenia, nie znikły; człowiek je i dzisiaj wydaje, ale bądź co bądź w miarę nieustannego rozwoju gatunku ludzkiego objawy te słabną, stają się rzadsze i powściągliwsze, a po wtóre, takie wrzaski stają rzeczywiście w zupełności poza językiem: one są co prawda bardzo wyraziste i jasne, ale z językiem jako takim nie mają już nic wspólnego oprócz najpierwotniejszego początku i materiału. Jeżeli zatem wykrzykniki takie jak *a*, *ach*, *ha* i inne przytoczone, oraz podobne we wszystkich innych językach, nazywamy pierwotnymi czyli prymarnymi, to trzeba to brać o tyle cum

[1] Trochę dokładniejszą wiadomość o tym znajdzie czytelnik w rozprawie prof. Appla, którą poniżej, w ustępie V, przytoczę.

[2] Wtórne czyli drugorzędne wykrzykniki są to wyrazy lub nawet zwroty, które zatraciły swoje pierwotne znaczenie i nabrały wartości czysto wykrzyknikowej, np. *rany boskie!* *o rany!*, a często zmieniły gruntownie i wygląd, np. dial. *ciewy! dzis* (*go*)*!* z *moiście wy*, *widzicie wy*, *widzisz go* itp., (*o*) *raju* zamiast *o rany boskie* itp.

grano salis, że ich postać jest jednak już cywilizowana, wzięta w karby językowe, artykułowana, dostosowana do każdorazowego systemu fonetycznego każdego języka czyli zrównana w wyglądzie z pewnymi jego głoskami i grupami fonetycznymi. I otóż właśnie pytamy: w jaki sposób rozwinęły się tedy głoski językowe i jaki jest ich genetyczny związek z głoskami uczuciowymi?

Ogólnym podłożem i ogólnym warunkiem tej ewolucji jest powolne, stopniowe, ale nieustanne «cywilizowanie się» objawów życia emocjonalnego: zasadniczą cechą rozwoju kulturalnego jest właśnie większa powściągliwość uczuciowa, miarkowanie, hamowanie czyli uspołecznianie uczuć i ich wyrażania. Pierwotny wrzask, krzyk przenikliwy, wycie lub ryk staje się zwolna «ludzkim» już «głosem»; stoi otworem droga do głosów wokalicznych czyli samogłosek i do krtaniowych spółgłosek, w związku z ruchami krtani i jamy ustnej oraz rodzajem prądu wydechowego.

Szczegółowe warunki są różnorodne. Po pierwsze jest rzeczą pewną mimo wszelkich potrzebnych zastrzeżeń, że różne samogłoski mają każda własny, stały ton; jedne są wyższe pod względem tonu, inne niższe. Mogę wprawdzie każdą samogłoskę wymówić w rozmaitej wysokości muzycznej, por. np. wysokie *a!* wyrażające niespodziankę, ale nie przykrą, obok niskiego *a!* wyrażającego niespodziankę pełną oburzenia; ale mimo to nie ulega wątpliwości, że *a* ma normalnie niższy ton niż *i*. Albo kiedy wymawiam *i* lub *e* ze zwarciem krtani przed nimi i po nich, w znaczeniu ‘cóż znowu, cóż za dziki pomysł, także coś nowego!’, z charakterystycznym rzuceniem głowy, ruszeniem ramion, w czym się objawia właśnie ‘odrzucanie’ od siebie, to to jest mniej więcej wszystko jedno, czy te gesty i ta modulacja głosu odbędą się przy i na głosce *i* czy *e*. Ba, co więcej, może się to odbyć i na głosce *a*, ale wtedy zmienia się niewątpliwie to «znaczenie», o które chodzi, przybywa inny odcień, i to wyraźny, pewna duma, zaznaczenie, że to się sprzeciwia mojej godności itp., a stoi to niewątpliwie w związku z szerokim otwarciem jamy ustnej dla wymówienia głoski *a*, bo to znowu, takie otwarcie, wynika z innej przecież gry muskułów niż położenie ust, szczęki, języka przy wymawianiu *i*. Widzimy zatem jasno, że nawet gdybym koniecznie chciał użyć do wyrażenia nastroju, zawartego

w *e! także coś nowego!* głoski *a* i powiedział możliwie tak samo *a! także coś nowego!*, to to nie będzie to samo. Głoska *a* ma mocą swych cech istotnych, różnych od cech innych głosek, przede wszystkim także swój odrębny ton. Trzeba przy tym pamiętać, że tu idzie przede wszystkim o ilości względne, o różnicę wysokości między poszczególnymi samogłoskami, a nie absolutne cyfry; toteż w absolutnych liczbach wysokości będą znaczne różnice między jednostkami, narzeczami, językami i rasami, tak że normalna wysokość głoski *a* w jednym języku może się równać przeciętnej wysokości głoski *i* w drugim; ale proporcja będzie zachowana. Nie trzeba też zapominać, że to, co oznaczamy przez *a*, *e*, *i* itd., to obejmuje bardzo różne głoski: np. niemieckie krótkie *i*, zwłaszcza na północy, jest niskie i luźne i daleko jest podobniejsze do naszego *y* niż do naszego *i*; albo jasne *a* francuskie lub angielskie obok niskiego *a* u Niemców szwajcarskich; wąskie *o* w różnych językach, brzmiące nam raczej jak *u*, obok niskiego angielskiego albo węgierskiego *o*, podobniejszego do naszego *a*, itd. bez końca. Jednakowoż jest chyba pewnym, że po uwzględnieniu i odliczeniu tych i innych momentów można ustalić pewną skalę wysokości tonu typowych samogłosek.

Wysokość tonu zależy jak wiadomo od szybkości drgań fal głosowych, podnosząc się w miarę jej wzrastania; a ta szybkość stoi znowu w związku z długością drgającego ciała, w danym wypadku strun głosowych, oraz ze stopniem ich napięcia. Otóż jest rzeczą jasną, w ogólnym ujęciu oczywiście, że stopień napięcia i długości drgającej partii strun głosowych zależy ostatecznie od natężenia czyli intensywności doznawanych wrażeń i uczuć; a dalej jest równie jasnym, że przez to samo wyraża się większy lub słabszy stopień zaangażowania doznającego subiektu, mego ja, oraz rozmaity stopień przykrości wzgl. przyjemności doznawanych uczuć, ponieważ ogółem biorąc przykre są, ceteris paribus, intensywniejsze. Tym tedy tłumaczy się fakt, wspomniany w mym artykule nr 7, że w wielu, i to całkiem różnych językach twory zaimkowe o wokalizmie jasnym (typ *i*) wyrażają bezpośrednią bliskość, tj. wskazują to, co się znajduje w bezpośredniej sferze podmiotu mówiącego, natomiast postaci z niską samogłoską (typ *a*) oddalenie, tj. rzeczy dalsze w stosunku do subiektu, bo *i* posiada przeciętnie ton wyższy

od *a*. Możemy powiedzieć, że głos wokaliczny o charakterze podobnym do *i* wyrażał pierwotnie treść taką: 'o mnie bezpośrednio chodzi; mnie wprost dotyczy; znajduje się tuż przy mnie, we mnie itp.'; zaś głosy wokaliczne gatunku *a*: 'to rzecz dalsza; to mnie mało obchodzi; daleko ode mnie itp.'. I jeżeli mimo zrobionych powyżej zastrzeżeń i mimo faktu niezmiernie długiej przeszłości, jaką mają za sobą głoski dzisiejszych języków, przy czym nieraz w ciągu wieków dochodzi się powolnym przesuwaniem się wymowy od *i* lub *y* do *a* lub odwrotnie, jeszcze dzisiaj w tak licznych i różnorodnych językach ludzkich ten stosunek przegląda dosyć wyraźnie, to musi się opierać na zasadniczych i stałych objawach psycho-fizycznej natury człowieka.

Drugi szczegółowy warunek polega na fakcie, że emocjonalna strona wszystkiego tego, co człowiek doznaje, nie jest jedyną, bo nie istnieje osobno, niezależnie, bez wrażeń i wyobrażeń, a co za tym idzie nawet w owych odległych epokach pierwocin ludzkich istniała zawsze i koniecznie, ściśle z nią spojona, strona wyobrażeniowa, strona obiektywna doznań, i stąd od początku rozkłada człowiek swe doznania na te dwa składniki czy na te dwie strony. Przy tym odbywało się od początku ustalanie treści i form życia przede wszystkim na podstawie tego wyobrażennego elementu, właśnie na podstawie jego jako obiektywniejszego, stalszego i bezpośrednio interesującego czyli ważnego, a to miało daleko idące następstwa, których ostatecznym wynikiem jest między innymi to, że i uczucia, i nastroje wyraża się przeważnie za pomocą zwrotów wyobrażeniowych *(psiakrew..., bodaj to diabli wzięli, Boże, Jezus Maria, rany boskie* itd.), podczas gdy «czyste» interiekcje *(a, ach...)* są rzadkie. Właściwie to te zwroty i wyrazy o treści pierwotnie obiektywnej mają znaczenie, żeby się tak wyrazić, tylko ogólnie uczuciowe, grają rolę pomocniczych znaków zewnętrznych, a właściwe i szczegółowe znaczenie emocjonalne wyraża się przy ich wymawianiu pozagłoskowo grą twarzy (mimika), ogólnym sposobem wymawiania i całym układem i rozkładem wysokości, natężenia, trwania i barwy głosu, to jest za pomocą całego bogactwa modulacyjnego, do jakiego głos ludzki jest zdolny. I to jest bodaj rozstrzygające: ponieważ ten sposób wyrażania, bez-

pośrednio wyrazisty, przede wszystkim i zawsze na nowo człowiekowi się nastręczał, więc tym łatwiej i konieczniej głoski, ustalające się zwolna jako takie, stawały się wyrazicielami elementu wrażeniowo-wyobrażeniowego, istniejącego przy każdym wzruszeniu. Przecież np. reakcja na rozmaite pobudki, przedstawiająca się jako zdziwienie, zaskoczenie, zaciekawienie, chwytanie itp., zawierała w każdym razie zawsze gest, ruch wskazujący i wyrażenie mimiczne bezpośrednio bliskiego wciągnięcia człowieka w związek z danym zjawiskiem, względnie bezpośrednio bliskiego wkraczania danego zjawiska w sferę podmiotu doznającego: to był ten element wrażeniowo-wyobrażeniowy, z którego się rozwinął z czasem psychiczny fakt zaimka wskazującego pierwszego, najbliższego stopnia, a do jego wyrażenia został zużyty towarzyszący element wokaliczny, pierwotnie uczuciowego pochodzenia, w sposób powyżej wskazany. Podobnie inne pnie zaimkowe.

Trzeci warunek to okoliczność, że przecież od samego początku, razem z tymi uczuciowymi objawami i ich konsekwencjami działały i rozwijały się zjawiska, które prowadziły do elementów językowych, omówionych poprzednio pod firmą wyrazów dziecinnych, oraz do elementów językowych, o których jeszcze pomówimy pod hasłem naśladownictwa dźwiękowego. Bo wszakże to wszystko tworzyło splot doznań, wrażeń, uczuć i wyobrażeń i ten splot rzeczywisty musiał się wyrażać także na zewnątrz. Twory wybitnie spółgłoskowe, do jakicheśmy doszli przy analizie tzw. języka dziecinnego, musiały się łączyć, kombinować z tworami wybitnie wokalicznymi, wynikającymi z głosów uczuciowych. Już z tego materiału mogły i musiały już w najodleglejszej epoce ludzkiej językowości tworzyć się dziesiątki pierwotnych «wyrażeń». Zwłaszcza że w związku z jakością doznawanych wrażeń i uczuć człowiek dwojako się zachowuje: jedne rzeczy chwyta, wyciąga do nich ręce, idzie do nich — drugie odpycha, odwraca się od nich, ucieka; a temu towarzyszyła odpowiednia akcja oddechowa, krtani, twarzy itd., z czego musiał wynikać akompaniament głosowy tych ważnych sposobów zachowania się. Oczywiście, że w obu kategoriach, zarówno wykrzynikowej jak dziecinnej, był materiał tak do przyszłych elementów spółgłoskowych jak i samogłoskowych, ale niewątpliwie przeważał

jeden tam, a drugi tu, i zgodnie z tym jeden miał przede wszystkim tu sprzyjające warunki rozwoju, a drugi tam. Może też być, że twory spółgłoskowe były przede wszystkim wykładnikiem wyobrażeniowej strony doznań, zgodnie z wybitną rolą wrażeń dotykowych przy spółgłoskach zwartych z jednej, a przy głosach dziecinnych i naśladowczych z drugiej strony, zaś twory wokaliczne, za pomocą których przede wszystkim mogły się wyrażać nastroje i uczucia przez natężenie, trwanie, wysokość i wszelką rytmikę głosu, wyrażały raczej stronę «subiektywną» doznań, «ja» i jego stosunki, udział i orientacje. W każdym razie warto w tym związku zauważyć, że w dalszym ciągu rozwoju językowego spółgłoski przedstawiają, ogółem biorąc, element ewolucyjnie stalszy, wprawdzie ciaśniejszy, ale za to z wyraźniej określoną indywidualnością niż samogłoski, które pod wpływem czynników bezpośredniej ekspresji ulegają daleko łatwiej wahaniom i przesunięciom. Jeszcze dziś różnica jakościowa między głoskami takimi jak *a*, *o*, *e* itp. a *p*, *t*, *k* itp. jest wszechstronnie ogromna i jeszcze dziś są w niej ślady bezpośredniej zrozumiałości. Przecież tego, co wyrażam odpowiednio wymówionym *a* w zwrocie: *a! przepraszam pana, ale tego się nie spodziewałem po panu*, w żaden żywy sposób nie mogę wyrazić przez *s* i powiedzieć: *s! przepraszam pana*..., dlatego, że *a* ma swoje znaczenia uczuciowe, a *s* swoje, to znaczy jedna głoska nadaje się mocą odpowiedniej modulacji, stojącej w bezpośrednim związku z zachowaniem się ciała, do wyrażania pewnych nastrojów i uczuć, a druga do innych.

## IV.

Trzecia wielka kategoria tworów językowych, a zarazem w pewnym sensie pozajęzykowych, to głosy naśladowcze, wyrazy polegające na tzw. naśladownictwie dźwiękowym, czyli używając greckiego wyrazu, onomatop(o)eja; zatem twory takie, jak *krakra*, *miau*, *hau*, *be*, *bu*, *kuku*, *ćwi(e)r(k)*, *bz(z)*, *bum(s)*, *buch*, *ss*, *d(z)yn*, *dziń* itd. z urobionymi od nich wyrazami *krakać*, *miauczeć*, *haukać*, *bek*, *beczeć*, *buczeć*, *kukać*, *kukułka*, *ćwi(e)rkać*, *bzykać*, *buchać*, *syczeć*, *syk*, *dyndać* i wiele innych. Onomatopeja odgrywała w zapatrywaniach o powstaniu mowy zawsze wielką rolę, ale wydaje się zjawiskiem

innego rzędu niż tamte dwie kategorie. Podczas gdy tam całkiem oczywiście głos wydawany jest wtórną stroną zjawiska, a prymarną ruch organów mownych, ogólniej mówiąc ruchy mięśniowe, a w szczególności ruchy artykulacyjne krtani, języka itd., to tutaj na pierwszy plan wysuwa się element akustyczny. Wydaje się mianowicie, że tu chodzi przecież o naśladowanie słyszanego głosu, dźwięku, hałasu itd. za pomocą najpodobniejszych do nich własnych głosów, czyli że łącznikiem jest głos słyszany, podobieństwo akustyczne, i że dopiero wedle tego i dla tego celu dobiera się stosowne ruchy artykulacyjne. Jednak w gruncie rzeczy jest to dopiero co najwyżej połowa sprawy, a drugą, daleko większą, zwłaszcza kiedy mamy na oku stosunki pierwotne, tworzy mimowolne towarzyszenie organizmu odnośnym zjawiskom i wykonywanie ruchów i gestów, których częścią tylko są ruchy artykulacyjne i z których one mimowoli wynikają. Zważmy, że np. w akustycznym wyniku, powstającym przez jakiś nagły upadek, runięcie, trzask lub huk albo w głosach bardzo wielu zwierząt itp. trudno się dopatrzyć podobieństwa do ludzkich głosów, więc ta strona sprawy nie może wówczas grać roli, albo bardzo podrzędną; a jednak powstają ostatecznie twory, nazywane przez nas naśladowczymi, i nic w tym dziwnego, bo każdy huk, turkot czy hałas, choćby całkiem niepodobny do głosu ludzkiego, działa na nasz organizm i wywołuje w nim reakcję. Proszę sobie uprzytomnić np. człowieka, przypatrującego się ciekawie obalaniu drzewa ścinanego: jak on cały asystuje temu z naprężeniem, z odpowiednim nastawieniem całego ciała i twarzy, jak stoi wpatrzony, lekko skurczony, usta choćby na chwilę zamknie i wreszcie, w chwili upadku pnia, jak mimo woli przykucnie trochę, usta choćby lekko otworzy (oczywiście raz dla wypuszczenia zatrzymanego oddechu, a po wtóre, tak samo mimo woli, dla złagodzenia uderzenia fal głosowych na uszy), wykona rękami ruch z góry na dół i zawoła, jeżeli nie *buch*, *bęc*, *bums*, czy inny jaki tradycyjnie ustalony twór, to przynajmniej i koniecznie wyda głos, składający się najpierw z elementu wargowego *(p, b)*, a następnie z głosu płynącego z rozwartych ust, bo właśnie człowiek normalny trzyma usta zamknięte, kiedy czegoś oczekuje z napięciem, zatrzymując oddech, a w chwili urzeczywistnienia się oczekiwanego faktu,

z konieczności po momentalnym jeszcze silniejszym zwarciu warg następuje ich rozwarcie i wypływ silnego prądu wydechowego. A więc będzie to twór, składający się w każdym razie z elementów zwartowybuchowego i ustnego, z czym łatwo i naturalnie może się łączyć element spirantyczny lub nosowy, ponieważ usta po energicznym otwarciu wracają do zwężenia lub zamknięcia. Ale czy głuchy huk, spowodowany upadkiem jakiegoś ciężaru na ziemię, jest «podobny» jako taki do fonetycznych tworów *buch*, *bum*, *bums*, *bęc*, niem. *puff*, *bums*, franc. *pouf* itp.? A jednak we wszystkich językach są podobne twory i człowiek nie tylko łatwo, ale i mimo woli dopatruje się w nich «naśladowania» przebiegu obiektywnego, a przynajmniej czegoś pokrewnego między jednym a drugim, czyli tego, co dziś nazywamy symboliką dźwiękową, a starożytni onomatopeją analogiczną. Jeszcze wyraźniej to występuje w takich, również w najrozmaitszych językach rozpowszechnionych tworach, jak *tam tam*, *dam dam*, *tęten(t)*, łac. *tintinnare*, *dyn dyn*, *dzyn dzyn*, *dzeń dzeń*, *gong gong* i podobnych, «naśladujących» rytmiczne «dźwięczenie» i składających się ze zwarcia, dźwięku ustnego i nosowego, podobnie jak obiektywny przebieg składa się z uderzenia, dźwięku i podźwięku. Jeżeli jeszcze zwrócimy uwagę na takie twory jak *tyk tak* wzgl. *tik-tak*, *pac*, *pyk*, *puk*, franc. *toc*[1]) (por. *stuk*) oraz takie jak *r(r)um*, *(h)r(r)ym(s)*, *tr(r)ach*, *ter ter*, *trr (terkotać*, *turkotać)*, *br*, gdzie mamy z jednej strony wyrażony niedźwięczny (suchy) stuk czy trzask, a z drugiej odgłosy o powtarzających się drganiach, tam za pomocą tworu o dwu zwarto-wybuchowych, tu za pomocą «drgającego» *r*, to ta symbolika fonetyczna wydaje się, mimo wszelkich zastrzeżeń, czymś realnym. W każdym razie różnica między tworami, zaczynającymi się od zwartej spółgłoski, wyrażającymi odgłosy, wywołane wyraźnym uderzeniem, a tworami naśladującymi np. przeciągłe wycia, gdzie zasadniczym «znakiem» językowym jest *ū*, *uu*, jak np. w *wyć*, niem. *Uhu*, staroniem. *uwo* 'sowa', jest nie tylko uderzająca, ale i pouczająca. Bo chociaż powstają też kombinacje *tu (tū*, *tutu)*, *bu (bū)*, *mu (mū)* itp., to jednak gdy chodzi o oddanie 'samego wycia', właściwym tworem językowym jest *ū*, ewentualnie ze spi-

[1] Obojętne przy tym, czy są obok nich «wyrazy» takie jak *pukać*, *stukać*, *pykać*, franc. *tic*, *toquer* itd., czy nie.

rantem na początku *(vu, hu...)*; a w każdym razie w tworach *mu, bu, pu* i podobnych (*myczeć, buczeć* itd.) spółgłoska stojąca na początku jest obojętna, gra rolę podrzędną, a główną element wokaliczny.

Otóż, o ile każdy się chyba zgodzi, że takie *dziń dziń, trara, buch* są mało «podobne» do głosu dzwonka, trąbki i odgłosu upadku, to chyba nikt nie uwierzy, żeby w takich tworach i wyrazach jak *wyć, huczeć, myczeć, byk, puchacz, Uhu*, łac. *bubo, ū, bū, mū, bē, beczeć, buczeć, kukać, kuku* (podobnie wszędzie), *bz, bzykać, ss, sykać, syczeć, miau, hau, wau* podobnie wszędzie), *kwa(k), kwakać, gul gul, duldać, bulgotać*, niem. *glucksen, bełkot* i wielu, wielu innych, moment mniej lub więcej świadomego naśladowania s ł y s z a n e g o głosu, odgłosu czy szmeru nie grał żadnej roli. Przecież człowiek słyszy także sam siebie, tak samo jak innych ludzi, a po wtóre przecież mu w wielu wypadkach zależy na tym, ażeby jak najwierniej słyszany głos naśladować — tak przede wszystkim na polowaniu dla zwabienia lub oszukania ostrożności zwierzęcia. Ale i w ogóle akustyczna strona zjawisk ma swoją bezpośredniość i chcieć z u p e ł n i e wyłączać działanie tego momentu w pierwotnym rozwoju mowy, jak to czyni Wundt, jest chyba przesadą krytyczną. Naprawdę działały oba czynniki: a) towarzyszenie zjawisku całym organizmem, z czego wynikały ostatecznie ruchy artykulacyjne, oraz b) świadome (tak, świadome!) naśladowanie głosu słyszanego — oczywiście w jednych wypadkach ten, w innych drugi moment grał większą lub mniejszą, ewentualnie minimalną rolę, ale to co innego i rzecz zrozumiała.

Zaś niejako w pośrodku między tymi dwoma biegunami można umieścić liczne wypadki tzw. symboliki dźwiękowej, które zresztą prowadzą nas znowu do głosów uczuciowych, a stąd zarówno do interiekcji jak tzw. dziecinnych wyrazów, jak to niżej zobaczymy. Dziedzina symboliki dźwiękowej jest bardzo obszerna i obejmuje też najrozmaitsze rzeczy. Jeżeli ktoś naśladuje głos zwierzęcia aż do zupełnego złudzenia, to to jest jeden biegun: materiał i przyrząd jest wprawdzie u człowieka a zwierzęcia inny, nieraz całkowicie, ale twór jako taki jest taki sam, czyli mamy dokładne naśladowanie. Jeżeli znowu ktoś mówiąc o jakiejś bardzo grubej osobie powie: *taka gruba, gruba pani* możliwie grubym głosem, to jest rzeczą

jasną, że ani powtórzenie przymiotnika *gruby*, ani wymówienie go niskim głosem nie ma bezpośredniego związku z grubością figury opisywanej osoby, czyli że te środki językowe są właściwie symbolem. Tak, ale symbolem mimowolnym, naturalnym i nie pozbawionym całkowicie momentu naśladownictwa, ani jakiegoś istotnego związku, bo użycie tego «symbolu» stoi znowu w związku z zachowaniem się naszego całego ciała, w szczególności tułowiu, jamy brzusznej, szyi, krtani, twarzy i ust, które to części przystosowują się mimo woli w sposób przyrodzony, kurcząc się i zgrubiając, do przedmiotu, względnie zjawiska, które nas pobudza i które chcemy przedstawić; a wraz z tym idą zjawiska językowe i fonetyczne, jako część odnośnych ruchów. Jest to zupełnie jasne: jeżeli, odwrotnie, mówimy o kimś długim i bardzo cienkim, to mimo woli sami się przy tym wydłużamy, wyciągamy szyję itd., a razem z tym idzie użycie cienkiego, wysokiego głosu, ewentualnie także powtórzenie przymiotnika — bo powtórzenie wyraża zawsze wysoki stopień danej właściwości — i użycie formy zdrobniałej, a więc np. *cieniutki, cieniutki*, która także wyraża 'wysoki stopień cienkości'.

W ten sposób się tłumaczy używanie pełnej czy częściowej reduplikacji, powtarzanie wyrazu całego lub tylko jego cząstki, dla wyrażania liczby mnogiej albo bardzo wielkiej, intensywności zjawiska, nacisku, zupełnego zakończenia przebiegu itd., co się spotyka w najrozmaitszych językach w urabianiu liczby mnogiej, intensywów, perfektów, zaimków i innych form emfatycznych itd. Podobnie tłumaczy się sama przez się geminacja głosek, to jest przede wszystkim wzdłużanie lub energiczne wymawianie spółgłosek, także wzdłużanie samogłosek, objawy dobrze znane z różnych języków i w różnych kategoriach językowych używane, m. in. tak zwana u c z u c i o w a geminacja w zdrobniałych (hypocoristica) albo nasze palatalizowanie czyli zmiękczanie spółgłosek w tej samej kategorii i w mówieniu do dzieci [1]. Podkreślam, że tu mówi się zwykle o uczu-

---

[1] Por. gr. Φίλλιος obok licznych imion złożonych z Φιλο-, staroniem. *Sicco* (*Sigfrid*), łac. *Varro* (*varus*); podobnie w wyrazach dziecinnych: gr. τίτθη, ἄττα — łac. *atta* = gockie *atta*, w przezwiskach: γύννις 'niewieściuch' (γυνή), łac. *lippus* (pień *lip*-), w onomatopejach: gr. πιππίζειν, łac. *hinnire*, *tintinnare*. W słowiańskich językach zostały wszystkie dawne geminaty uproszczone, toteż ogółem

ciowej geminacji, podczas gdy tam raczej o symbolicznej albo ekspresywnej reduplikacji, ale i ekspresywność, a w pewnym sensie symbolizm i uczuciowość jest i tu i tam, do czego jeszcze niżej wrócę.

Zważmy wreszcie jeszcze raz, na co już zwracałem uwagę w nieco innym związku, co za ogromna różnica jest między pełną ustną samogłoską np. *a* lub *o* lub *e*, gdzie dźwięczny prąd wydechowy, podatny na wszelkie modulacje, swobodnie z ust dobrze otwartych wypływa, a spółgłoską zwartą, takim *p*, *t* lub *k*, gdzie mamy chwilowe zupełne zamknięcie, zaporę i gwałtowne jej przerwanie — różnica zarówno pod względem tonu uczuciowego jak treści wrażeniowej czyli czuciowej, a co za tym idzie, także «obiektywnej» jest ostatecznie namacalna, chociaż tylko zasadniczo. Trzeba tylko unikać przesady i dobrze się strzec przed czyhającą na człowieka na każdym kroku samozłudą. Bo wprawdzie fonetyczna strona wyrazów sprawia oczywiście rozmaite wrażenie, przyjemne i nieprzyjemne, ale po pierwsze te wrażenia są bardzo subiektywne i nieokreślone i pochodzą przeważnie z niesłychanie silnego skojarzenia znaczenia, to jest treści zarówno wyobrażeniowej jak uczuciowej, z fonetycznym szeregiem; po wtóre ewolucja języków trwająca lat tysiące zmienia nieustannie ich wygląd fonetyczny, tak że np. 'gładkie, śliskie' *l* przechodzi we wcale 'niegładkie' *ł* albo, jak w różnych językach, w *r*, albo drgające *r* wskutek zmiękczenia w zupełnie do niego niepodobne *ż* lub *sz*, jak u nas, itd., itd., tak że jesteśmy od «pierwotniejszych» stosunków niezmiernie oddaleni; a z tym zgadza się fakt, że po trzecie, całe języki przecież robią bardzo rozmaite, a wcale usposobieniu narodów nie odpowiadające wrażenie. W każdym razie są to zjawiska bardzo złożone i bardzo delikatne i chcieć je ujmować w taki sobie prosty sposób, jak to ludzie, wszystko jedno czy prostacy czy wykształceni, poeci czy filozofowie, robili i robią, to znaczy mniej więcej tyle, jak gdyby kto niezgrabnemu murdze, ubranemu w grube żołnierskie ubranie, obładowanemu i z ciężkimi, podkutymi buciarami na nogach kazał brać udział w balecie, dlatego że i on rusza nogami.

---

*atta* tu się pojawia jako *otŭ*, od tego pochodzi *otĭcĭ*, nasze *ociec* (= *ojciec*), greckiemu πιππίζειν odpowiada nasze *pipi* itp. Por. dalej gr. μορμύρειν 'szumieć, mruczeć', łac. *murmurare*, *ululare*, ros. *kołokoł*, *perper-* w naszym *przepiórka* itd.

«Teoria fonetycznego symbolizmu ujmuje, przemawia do wyobraźni i umysłu, wyjaśniając w sposób prosty i naturalny rzeczy, inaczej całkiem niezrozumiałe i dowolne. Różne przyczyny ją podtrzymują i ciągle odnawiają, a najskuteczniejszą jest wrażenie, jakie rozmaite zgłoski sprawiają. Wiadomo, że samogłoski wywołują swą barwą różnorodne wrażenia: przednie *i* robi wrażenie czegoś jasnego, przenikliwego, natomiast tylne *u* daje bezpośrednio uczucie czegoś ciężkiego, ponurego, tępego. Skowronek wydzwania rankiem swoje wesołe i świeże *tirelire*, podczas gdy ponura sowa odzywa się z głębi swej kryjówki melancholijnym *boubou* lub *hourougou*. Podobnie spółgłoski, tak różne pod względem artykulacji: i tak jest rzeczą jasną, że spiranty (szczelinowe) wskutek swego tarcia przywodzą na myśl świst wiatru, szmer wody płynącej, gwizdanie itp.»[1]. Toteż należałoby oczekiwać, że artyści słowa chętnie się będą posługiwać tym cennym środkiem estetycznym, i niewątpliwie gra to nieraz rolę w doborze ich wyrażeń. Nyrop przypomina[2] dźwięczne nazwy miesięcy kalendarza republikańskiego: *vendémiaire*, *brumaire*, *frimaire*, *nivôse*, *pluviôse*, *ventôse*, *germinal*, *floréal*, *prairial*, *messidor*, *thermidor*, *fructidor*, utworzone przez poetę Fabre'a d'Eglantine całkiem świadomie, skoro takie o tym dał sprawozdanie: «Staraliśmy się skorzystać z naśladowczej harmonii języka w składzie i prozodii tych wyrazów, w ten sposób, że nazwy miesięcy jesiennych brzmią poważnie a miarę mają średnią, nazwy miesięcy zimowych brzmią ciężko a miarę mają długą, wiosennych wesoło i krótko, a letnich dźwięcznie i poważnie».

A daleko częściej poeci sami się łudzą lub też ci, co ich czytają i objaśniają, ulegają złudzeniu, kierując się znaczeniem odnośnych wyrazów, to jest ich treścią nastrojową i wyobrażeniową, własną wyobraźnią i powszechną skłonnością do autosugestii. Oto jeden zadziwiający przykład z tej dziedziny. Aria w ogrodzie w Fauście Gounoda zaczyna się od słów: *Salut, demeure chaste et pure*, a we włoskim przekładzie: *Dimora casta e pura*. Otóż ogół uważałby niewątpliwie włoskie wyrazy za lepiej harmonizujące z nastrojem i treścią niż francuskie; tymczasem Gounod uważał przeciwnie, że

[1] Nyrop, Grammaire historique de la langue française, t. IV § 7.
[2] Tamże § 8.

«wybuchające jak raca *k* wyrazu *casta* niszczy całą tajemniczość, całą wstydliwość harmonii muzycznej». «To straszne *casta* sprawia za wiele hałasu dokoła małego domku i mąci jego spokój, podczas gdy moje skromne *chaste* ze swoim *a* nieco przyćmionym i jakby owiniętym przez to *s*, przez to *t* i *e* końcowe pozwala mi odmalować półciszę i półmrok, obraz tego, co się dzieje w duszy Małgorzaty»[1]! A czego to nie widział i nie słyszał w wyrazach Słowacki! A nowsi symboliści!

Ale zawracam, a zarazem kończę ustęp o naśladowaniu dźwiękowym. Zaznaczywszy mimochodem, że słyszane różne głosy zwierząt i inne, których dokładna obserwacja i możliwie ścisłe naśladowanie wielką grało rolę, musiały wpływać na ustalenie się wymawiania rozmaitych głosów i głosek człowieka[2], podkreślę, że «znaczenie» onomatopeicznych utworów było oczywiście pierwotnie także przede wszystkim sytuacyjno-nastrojowe. Jest rzeczą bezpośrednio jasną, że i przy tych tworach musiał moment uczuciowy grać rolę ogromną, chociaż obok tego w bardzo wielu wypadkach także treść wyobrażeniowa była bogata, dobrze określona i ważna, czyli że — ogółem biorąc — te twory były treściowo bogatsze, boć i element uczuciowy był tu sam bogatszy, szerszy, różnorodniej działający na organizm, niż się to działo przy «wrzasku», wydanym pod wpływem silnego bólu, strachu itp. Ale różnica występuje wybitnie tylko wtedy, jeżeli sobie przeciwstawimy typowe skrajne przykłady z jednej i drugiej strony, a więc właśnie np. taki nagły, odruchowy krzyk bólu czy wściekłości, a z drugiej strony np. wabienie łosia lub jelenia. Zresztą jednak bliski, podstawowy związek jest oczywisty, bo symbolika samogłosek zaprowadziła nas z powrotem do faktu zaznaczonego już powyżej, a stwierdzonego z większą pewnością niż fantazje nowożytnych szkół poetyckich, «że — żeby użyć słów van Ginnekena — poczucie naszego bezpośredniego ja wyraża się chętnie w jasnych samogłoskach, wrażenie związane z przedmiotami otaczającymi nas w samogloskach średnich, a poczucie naszych wspom-

---

[1] Nyrop l. c. § 15.

[2] por. *u* w głosie kukułki, kukaniu i różnych hukaniach, do czego przykłady wyżej przytoczone, albo z drugiego końca trójkątu samogłoskowego *i* w *pipi* itp.

nień i przedmiotów odległych w samogłoskach ciemnych. Inaczej mówiąc, samogłoska *i* oznacza chętnie pierwszą osobę i przysłówki miejsca bezpośredniej bliskości, samogłoska *a* stosuje się przede wszystkim do drugiej osoby i odpowiednich przysłówków, podczas gdy trzecią osobę i odnośne przysłówki miejsca cechuje raczej samogłoska *u*»[1].

A oczywiście to samo odnosi się do wyrazów języka dziecinnego: i tutaj na pierwszym planie, a raczej podstawą, podłożem jest czynnik uczuciowy, emocjonalny, nastrój tkwiący w całej sytuacji i wszystkie obiektywne jej składniki przenikający. Przede wszystkim zaś naturalnie przy pierwotniejszych tworach tego języka, skojarzonych z głodem, przykrością, powodowaną głodem, głębokim zadowoleniem, płynącym z zaspokojenia jego, dotykaniem piersi matczynej, zadowoleniem na widok świecącego przedmiotu lub przy huśtaniu, podrzucaniu itd., itd.

W końcu jeszcze raz podkreślę w ogólniejszym ujęciu wybitne znaczenie i podstawową rolę r y t m u. Nic w tym dziwnego: nasze życie i jego objawy oraz zjawiska otaczającego nas świata to przecież jedna wielka dziedzina rytmiki, wystarczy wskazać na oddech, bicie serca, chód, ruchy wahadłowe, falowania, obroty i ruchy ciał niebieskich itd. W obrębie organizmu ludzkiego rytmika i jej stosowanie w twórczości człowieka czyli w tzw. kulturze stoi w najściślejszym związku z jego życiem emocjonalnym, regulującym z mózgowego ośrodka za pomocą systemu nerwowego wszystkie ruchy człowieka. W szczególności w zakresie ruchów wyrazistych, gestów, tańca itd. jest to bezpośrednio jasne, a co się tyczy mowy, to prąd wydechowy, regulowany przez ośrodki motoryczne w zależności od doznań i wzruszeń, układa się i stopniuje jako czynnik i materiał fonetyczny co do wysokości tonu muzycznej, co do siły czyli nacisku i co do trwania. Cała mowa w rezultacie odnośnych innerwacji kształtuje się rytmicznie, a to miało niesłychanie donośne następstwa dla jej rozwoju, dla całego jej wyglądu, zarówno fonetycznego jak w ogóle morfologicznego. Wystarczy tu podkreślić właściwości toniczne, muzyczne nawet dzisiejszych samogłosek,

---

[1] Van Ginneken (tytuł w nast. przypisku) § 520.

a z drugiej strony nieustanną rytmikę toniczną, aby zrozumieć, że jakość samogłosek musiała zawsze zależeć w wysokim stopniu właśnie od tego czynnika. Trzeba tylko pojęcie rytmu i rytmiki brać szeroko i twórczo, nie zacieśniać go do bębnienia albo tylko do poezji i muzyki, ani mechanizować [1].

Mamy tedy: 1) jakościowy rytm głosek i zgłosek, do czego należą wszelkie rodzaje i objawy rymu, aliteracji i asonancji, zarówno w poezji jak mowie codziennej; dalej 2) rytm natężenia czyli przycisku, objawy tzw. dynamicznego akcentu w wyrazach i zwrotach, zdaniach i powiedzeniach; 3) rytm toniczny czyli intonacyjny muzykalny, to jest melodykę językową; i wreszcie 4) rytm iloczasowy, układ zgłosek, wyrazów i powiedzeń pod względem ich trwania; wszędzie przy tym rozróżnia się stosunki tradycyjne, ustalone, nazywane często gramatycznymi od objawów bezpośredniej, aktualnej wyrazistości, nazywanych często mianem akcentu psychicznego, retorycznego itp. Zaś co do rodzaju układu rytmicznego, to wszędzie rozróżniamy: a) rytm jednostajny, którego najpospolitszą postacią jest proste powtórzenie np. *mama*, *tata*, *papa*, *hehe*, *pipi*, *fiu fiu*, *tęten(t)*; *dam dam (tam tam)*, *dyn dyn*, *dziń dziń*, *dzeń dzeń*, w ogóle pełna reduplikacja, albo tylko częściowe powtórzenie: *lebio-da* (tj. dawniejsze *lebie-da*), *łobo-da*, rodzaj harmonii samogłoskowej; b) rytm złożony o najrozmaitszych postaciach w każdym kierunku; metryka i akcentuacja każdego języka dostarcza obficie przykładów, ale także fonetyka i morfologia; c) rytm przeciwstawny czyli biegunowy, którego pospolitym przykładem jakościowym są twory *pifpaf*, *miszmasz*, *zygzak* (franc. *zigzag*), franc. *micmac* itd [2]). Wszystko to gra i grało zawsze ogromną rolę w twórczości językowej czyli w tak zwanym życiu języka, łącząc się ściśle z twórczością artystyczną w szerokim tego słowa znaczeniu, a więc z zabawą, tańcem i śpiewem, muzyką i poezją.

---

[1] Odsyłam do książki Roudeta Zasady fonetyki ogólnej (Benni), Warszawa 1917, §§ 136—8 i Van Ginneken Principes de linguistique psychologique, Paryż 1907, §§ 291—308 i cały 3. rozdział księgi IV.

[2] Mam wrażenie, że wymienione i podobne nasze twory nie są rodzime, tylko pochodzą z niemieckiego lub francuskiego, ale mogę się mylić, bo brak zestawień.

## V.

Chciałbym teraz jeszcze całą rozprawę dobrze ścisnąć, najważniejsze rzeczy na pierwszy plan wysunąć, zapobiec możliwym nieporozumieniom, to i owo lepiej wyjaśnić, a wreszcie do poleconej na końcu rozprawy dodać kilka potrzebnych, jak sądzę, uwag krytycznych.

1. W człowieku odbywają się i zjawiają nieustannie akty i przebiegi, względnie twory, zwane psychicznymi, wyrażające się na zewnątrz ruchami ciała [1], w szczególności tzw. ruchami wyrazistymi czyli ekspresywnymi mimiki, gestykulacji i głosu. Z biegiem czasu i rozwoju okazał się ten ostatni rodzaj, prowadzący do artykułowanych dźwięków, ewolucyjnie najsposobniejszym do wyrażania czyli postaciowania wewnętrznych przebiegów i tworów i on to, wysunąwszy się u człowieka na pierwszy plan, rozwinął się w mowę i języki.

2. Podstawą tych zjawisk są uczucia i nastroje, pobudzane przez otaczający świat i własne ciało człowieka; ściślej mówiąc doznania, rozkładające się na pobudkę, wrażenie, czyli na stronę obiektywną, i na odczucie, nastrój i objawy woli czyli stronę subiektywną. A więc wszystko to, co zawsze poruszało i porusza silnie człowieka, prowadziło z konieczności do wyrabiania się mowy: przykre lub miłe uczucia związane z zaspokajaniem głodu, szukaniem ciepła i bezpieczeństwa, chorobą i śmiercią, z życiem płciowym i rodzinnym, zabawą i znużeniem, strachem i sympatią, z polowaniem i potyczką, itd., itd. Były to pierwotnie akty bardzo obszerne, całe sytuacje, mieszczące w sobie cały szereg elementów uczuciowych i wrażeniowych, a które w miarę rozwijania się życia, interesu osobistego jednostki, większej lub mniejszej ważności dla jej życia tych lub innych składników, w miarę zatem działania uwagi oraz momentu społecznego z konieczności się zwolna różniczkowały, rozkładały. Wywodzenie zatem mowy z jednego czynnika, z jednej strony życia, nie ma sensu, bo ona jest wynikiem, niby dalszym ciągiem życia i jego objawów w ogóle; ale oczywiście jednych więcej i przede wszystkim, drugich mniej.

---

[1] Albo może dokładniej: przedstawiające się na zewnątrz jako ruchy ciała.

3. Słowem, człowiek wrzeszczał z bólu i strachu, wył z głodu i pragnienia, mruczał i mlaskał z uciechy i smaku, wołał dzieci, przestrzegał przed niebezpieczeństwem, wzywał na pomoc, wabił samicę, także krzykiem starał się kobietom i towarzyszom imponować, zawodził i jęczał z tęsknoty i smutku, a pokrzykiwał z zadowolenia i radości, «przyśpiewywał» sobie przy skokach tanecznych, wybijał głosem takt przy wspólnych wysiłkach i pracach, naśladował głosy zwierząt dla zabawy i dla pożytku, słowem towarzyszył wszystkiemu, co zwracało jego uwagę właśnie tą swoją uwagą, to znaczy całym swoim organizmem, co skupiało się ostatecznie gdzieś w systemie centralnym jako rdzeń napięcia; w szczególności towarzyszył wszystkiemu mimiką twarzy, gestami ramion, nóg, rąk, palców, zachowaniem się ciała, a w związku z tym całą modulacją oddechu, oraz — co nas tu przede wszystkim obchodzi — wszystkimi wynikającymi z tego ruchami krtani, szczęki dolnej, języka, podniebienia miękkiego, warg itd., a więc z wynikającymi z tego głosami i całą ich, różnorodną rytmiką — wszystko pierwotnie mimo woli, ale oczywiście świadomie i coraz więcej także dowolnie (= zależnie od woli).

4. Genetycznie bezpośrednią stroną w mowie, właściwym prius całego zjawiska, są ruchy «narządu mownego», zaś dźwięki, głosy, to jest akustyczny wynik tych ruchów, stroną wtórną; ponieważ nadto zjawiska wywołujące te ruchy a głosy z tych ruchów wynikające to nie są objawy jednorodne, więc jest rzeczą jasną, że bezpośredniego związku, to jest takiego, który by się dał wyrazić zrównaniem, między zjawiskiem a dźwiękiem nie ma. W dalszym rozwoju przybywa do tego nieustanne przeobrażanie się «mowy», także jej strony fonetycznej; dalej zależność całego życia i rozwoju kulturalnego, a więc pośrednio ale koniecznie także mowy, od tak przecież różnorodnych i tak zmieniających się w ciągu tysięcy lat warunków bytu; a wreszcie moment coraz bardziej świadomego kształtowania mowy, co wszystko robi absolutnie rzeczą niemożliwą ułożenie dziś dla dzisiejszych języków niby jakiegoś zasadniczego słownika, gdzieby «stało», że *a* wyraża to a to, *b* to a to, *r* to a to itd. Jest to po prostu absurd. Ale z drugiej strony to nie znaczy wcale, że między fonetyczną stroną mowy ludzkiej a jej treścią nie ma żadnego

związku przyczynowego ani żadnych jego śladów, bo to byłoby równie silnym absurdem.

5. W szczególności są we wszystkich językach twory o dosyć pierwotnej i «naturalnej» strukturze, w pewnym, ale tylko w pewnym, sensie przeżytkowe, mianowicie względnie «pierwotne» (to znaczy z wyłączeniem wtórnych) wyrazy języka dziecinnego, wykrzykniki i onomatopeje, bo twory te odpowiadają pewnym «pierwotnym» dziedzinom życia ludzkiego i otaczającego świata, a więc stosunkom płciowo-rodzinnym, zaspokajaniu głodu i pragnienia itp. silnym uczuciom i głosom przyrody. Po wtóre nie trzeba zapominać, że przy całej ogromnej różnicy między językami, czy to należącymi do jednych grup genetycznych czy nie, ich strona fonetyczna jest przecież dosyć podobna, czyli że pomimo wszystkich momentów, zaznaczonych wyżej, a zacierających jednakże zasadniczo pochodzenie, ta wspólna ogólnie ludzka podstawa ciągle przeziera mimo całej swej odległości.

6. Mowa ludzka jako system znaków, zespół symbolów o treści przede wszystkim wyobrażeniowej, w jakiż sposób rozwinęła się zwolna z tych pierwocin, z owego bogatego, ale bardzo pierwotnego materiału o charakterze wprawdzie nie wyłącznie, ale przede wszystkim nastrojowym? Otóż znaczenie owych względnie pierwotnych tworów, «powiedzeń» albo «odezwań się», które nie były jeszcze ani wyrazami ani zdaniami, było sytuacyjno-nastrojowe, to znaczy był to kompleks wyobrażeń i uczuć, skojarzonych silnie z odnośnymi ruchami narzędzi mownych i głosami (dźwiękami). Ponieważ jednak:

a) silne uczucia zawsze na nowo i przede wszystkim wyrażają się grą twarzy, zachowaniem się ciała, modulacją i wszechstronną rytmiką głosu, więc sam «głos» w swych rozmaitych odmianach nastręczał się jako naturalny znak dla strony wyobrażeniowej całego aktu; tym pożądańszy, że w tych wypadkach silnego zainteresowania człowieka przede wszystkim chodzi w rezultacie o konkretną i zewnętrzną rzeczywistość;

b) ponieważ dalej uwaga człowieka w związku funkcjonalnym ze stanem ciała i pobudkami otoczenia nieustannie faluje, bo zmienia się jej przedmiot i podnieta, a ponieważ zakres jej jest ograni-

czony, więc coraz inna część doznań, coraz inne wyobrażenia względnie ich składniki wysuwają się na pierwszy plan i w ten sposób eo ipso następuje rozkładanie całego doznania na dwie części, czyli nieustanna dyferencjacja tworów psychicznych, a w miarę tego skojarzonych z nimi tworów językowych; to podstawa wszystkich zmian językowych;

c) ponieważ wreszcie w miarę tej ewolucji i w najściślejszym z nią związku coraz wyraźniej się rozwijało «poczucie głosu jako znaku» czyli świadomość tego, że za pomocą głosu można się dobrze porozumiewać, wyrażać całe swoje biedne życie i zrozumieć, czy to przychylnie czy wrogo, cudze, więc wydobywał się i działał nowy czynnik i tworzyła się mowa ludzka, powiedzenia, słowa; wyrabiało się silne skojarzenie fonetycznych tworów z ich, tkwiącymi w doznaniach, odpowiednikami.

7. O początku mowy, języków właściwie nie podobna wcale mówić, raz dlatego że stoimy na gruncie pojęcia ewolucji, a po wtóre, że w każdym razie pojęcie «początku» i pojęcie «języka» wzajemnie się wykluczają. Ale pojęcie ewolucji także jeszcze samo przez się nie zbawia i nie wyczerpuje pojęcia rzeczywistości. Przede wszystkim trzeba pamiętać, że jakkolwiek objawy «mowy» zwierząt są bardzo cenne dla badań nad rozwojem mowy człowieka, to jednak nie można znanej nam «mowy» zwierząt stawiać wprost jako ciąg dalszy w odwrotnym kierunku mowy człowieka. Bo chociaż człowiek niewątpliwie się rozwinął z niższych i prostszych form życia jednostkowego i chociaż ta ewolucja trwała setki tysięcy lat, to jednak historyczne gatunki zwierząt i ludzi przedstawiają się jako różne, równoległe linie rozwoju i nie można ich wprost łączyć w jedną linię rozwojową. A jeszcze ważniejsze jest to, że uczeni, zapatrzeni w ewolucyjność, zapominają często o aktualności zjawiska, o roli tworu jako takiego, bez względu na jego sąsiednie ogniwa; po wtóre zaś, że ewolucja odbywa się ostatecznie posunięciami, czyli że mimo całego związku mogę i powinienem odróżniać jeden stan, jedną fazę, jeden twór od drugich, z czego wynika, że w pewnym sensie wolno mi mówić także o początku i końcu jednego stanu w stosunku do drugiego. Zarówno z doświadczeń hodowlanych, zwłaszcza u roślin, jak z faktów psychicznych

wynika, że fala rozwojowa nie jest linią jednostajną, tylko że «wzbiera» od czasu do czasu, wydobywa się i oddziela jako «twór» a wraz z tym wydobywa się «nagła» świadomość tego, w naszym wypadku nagła świadomość faktu «językowego», tego że taki a taki przebieg, taki a taki twór ma wartość «językową», tj. że oto teraz on mnie oraz innym to a to «oznaczał».

8. Wolno mi zatem mówić nie tylko o «posunięciach», ale i o posunięciach «twórczych»; i rzeczywiście: różnica między tymi drobnymi, ale wyraźnymi «skokami» a potężną świadomą twórczością wybitnej jednostki jest — pozostawiając na boku jej naturalną różnicę treściową — tylko ilościowa, a nie jest czymś zasadniczo różnym. Tak też język jest z jednej strony naturalną, biologiczną, prawie fizjologiczną funkcją organizmu, a z drugiej jest twórczością, sztuką.

9. W związku z tym trzeba wyraźnie i stanowczo powiedzieć, że określanie zjawisk językowych w ogóle jako nieświadomych jest i nieporozumieniem, i ciężkim błędem. Wydaje się, że piętnowanie mówienia ludzkiego jako zjawiska nieświadomego jest do tego stopnia samo w sobie sprzecznością, że chyba nikt czegoś podobnego nie twierdzi. A jednak językoznawstwo weszło po części na tę drogę i jeszcze dziś spotyka się u wielu zawodowców niejasność zapatrywań na tym punkcie, a często dosyć także wyraźne twierdzenia, że właściwą sferą mowy są stany nieświadome, lub podobnie. Takie twierdzenia polegają jednak tylko na nieporozumieniu i na mieszaniu różnych rzeczy. A mianowicie: a) oczywiście akty językowe przygotowują się podświadomie, ale to samo odnosi się do wszystkich aktów psychicznych, sam zaś akt nie może być nieświadomym — inaczej byłaby to contradictio in adiecto; b) mówienie odbywa się przeważnie automatycznie, bez namysłu, ale to polega tylko na wyćwiczeniu i wprawie, na zautomatyzowaniu szeregów pierwotnie świadomych i odnosi się do wszelkich czynności kulturalnych, do wszystkich złożonych przebiegów psychicznych i całej twórczości kulturalnej — najbliższe podobne przykłady to gra na instrumentach, czytanie, pisanie itd., itd.; c) w szczególności pewne strony mówienia odbywają się w bardzo wysokim stopniu automatycznie, tak że nawet przy wysiłku świadomej uwagi nie łatwo

jest uświadomić sobie ich przebieg; dotyczy to zwłaszcza strony wymawiania, a więc fonetycznej, nabywanej i ustalanej zazwyczaj już we wczesnym dzieciństwie i wskutek tego doskonale zautomatyzowanej; d) wprawdzie znaczna część, u jednostek «przeciętnych» z pewnością przeważająca, tego, co się mówi, obraca się w raz nabytych, ustalonych i utartych formach, zarówno pod względem treści jak formy — bo mówi się to wprawdzie świadomie, ale i tu jest sporo zwrotów i powiedzeń zautomatyzowanych — czyli że ostatecznie jest to świadomość o nie bardzo wysokim napięciu, jednak ostatecznie jest; ale obok tego mówi się przecież dosyć często i dużo tak, że z całą świadomością chce się człowiek wyrazić dobrze, trafnie, dobitnie, inaczej itp. I tak było zawsze.

To by były może, w tym związku, najważniejsze punkty. Teraz jeszcze kilka szczegółowych, dodatkowych uwag.

Myśl o względnej «pierwotności» głosek wargowych była już nieraz poruszana, chociaż w nie bardzo szczęśliwej formie. Jeżeli się przeciw temu i innym podobnym próbom podnosi zarzut, że najpierwotniejsze są głosy krtaniowe, bo je napotykamy już u zwierząt, a po wtóre, że całkiem inne są ośrodki mózgowe dla mówienia, dla ruchów artykulacyjnych niż dla ruchów ssania itd., chociaż wykonywanych tymi samymi organami, wskutek czego w wypadkach utraty mowy wskutek porażenia, czyli w tzw. afazji ruchowej, chory swobodnie porusza językiem, wargami itd. przy wszelkich innych czynnościach, to to znowu polega na nieporozumieniu. Oczywiście, że innerwacja krtani, języka, warg itd. jest podwójna, ponieważ nie ma osobnych organów do mówienia i ich użycie językowe jest, ogółem biorąc, wtórne, a w każdym razie mówienie nimi polega na osobnej innerwacji. Ale też z chwilą kiedy się człowiek «odezwał» tworem wargowym wołając jeść lub matki, wyrabiała się właśnie ta innerwacja «mówienia». Bo przecież od pierwszej chwili, żeby się tak wyrazić, czynności ssania i w ogóle jedzenia i smakowania są nierozerwalnie skojarzone z odnośnymi doznaniami, a więc te ruchy warg, języka, te wrażenia, te uczucia i wyobrażenia wszystkie, wszystko to tworzy zespół; i otóż, kiedy się człowiekowi chciało jeść czy pić, kiedy w nim powstało to pragnienie, to w myśl znanego prawa psychicznego cała reszta odnośnego szeregu psychofi-

zycznego się powtarzała, wargi i język wprawiały się w ruchy i wyłaniał się jakiś twór o charakterze wargowym, oczywiście w połączeniu z tworem krtaniowym, ustnym czy nosowym. I tak samo przy wszystkich innych kompleksach. Zaś co się tyczy «pierwotności» głosów krtaniowych, toć one od najdawniejszych czasów «człowieczeństwa» łączyły się z tworami wargowymi i podniebiennymi itd. — przecież nie było osobnego, odrębnego, samego «głosu» *m* czy *b*, tylko co najmniej w połączeniu z jakimś elementem wokalicznym.

Skoro już mówię o tych tworach «dziecinnych» *mama*, *baba*, *papa*, *bebe* itd., to wspomnę o ciekawym tworze *mm* Ajnów o którym wiem od śp. Bronisława Piłsudskiego. Ajnowie wymawiają go nie otwierając warg, tylko je wysuwając silnie naprzód i poruszając nimi energicznie, przy czym głos wychodzi przez nos, głuchy i nieokreślony — podobnie jak to nieraz robią głuchoniemi. Otóż to *mm* Ajnów oznacza członek kobiecy, wyobrażenie na pozór dosyć dalekie od *mama* czy *papa* itp.; jednakowoż jeżeli uwzględnimy, że z «ustami» w szerokim tego słowa znaczeniu i ich działalnością są tu takie cechy styczne jak a) otwór, b) wargi, c) języczek, d) często analogiczne użycie, oraz pewne podobne uczucia pożądania, to bardzo być może, że i ten wyraz należałoby zaliczyć jako objaw «zmiany znaczenia» do kategorii wyrazów «dziecinnych» a zarazem naśladowczych.

Prof. Andrzej Gawroński zwrócił mi uwagę, że do bardzo pierwotnych tworów «języka dziecinnego» należy z pewnością *(c)ham* z silnym kłapnięciem zębami czy szczękami i mocnym zwarciem warg. Są rozmaite inne bardzo pierwotne twory, np. mlaskające (niby *-ml-*) na wyrażenie smakowania, apetytu, rzeczy smacznych itp., albo różne cmokania wargami lub językiem przy twardym podniebieniu, rozpowszechnione u ludów wschodnich, spotykane często na Kaukazie, dobrze znane u Żydów itp. I wiele innych.

Ale, słyszymy często zarzut, wszelkie takie «nieartykułowane» głosy czy odgłosy, tak samo jak wykrzykniki i onomatopeje nie grały roli przy rozwijaniu się mowy, bo się nie nadawały do rozwoju, jak tego dowodzi okoliczność, że one we wszystkich językach jeszcze dziś istnieją, ale tylko jako resztki i przeżytki. Dziwne stanowisko! To tak wygląda, jakby kto dlatego, że i dziś drzewa i lasy rosną

i są sobą, a podobnie skały wapienne, glina i piaski, twierdził, że nasze domy nie mogą być z drzewa, wapna i cegły. Przecież dlatego, że posiadamy i realizujemy w sobie bardzo złożone i wysoce kulturalne pojęcia i uczucia, nie jesteśmy jeszcze pozbawieni bardzo prostych czuć i wrażeń, które są, względnie były podstawą tamtych! Co to ma jedno do drugiego? Czyż dziś nie istnieje już całkiem elementarna i naturalna potrzeba języka dziecinnego, prostych wykrzykników i onomatopeicznych tworów? I czyż owe bardzo odległe i pierwotne twory, o których mówimy i których już dziś jako takich nie ma, mają być w każdym wyrazie jako takie widoczne? Powtarzam jeszcze raz grube, ale jasne porównanie: czy w podłodze, ramie okna lub stołku ma być koniecznie widoczny cały dąb albo cała jodła, żeby uznać, że są z nich zrobione? To jest ta sama hiperkrytyka i przesada naukowości, która doprowadza ludzi od uzasadnionych obserwacji i słusznej krytyki dawniejszych, bardzo naiwnych, zapatrywań na język — na drugi koniec, to znaczy do niemożliwych twierdzeń, że w języku wszystko się odbywa nieświadomie, nielogicznie, mimo woli, że pojęcia świadomej konwencji, sztuki, dziwactwa itp. są w nim zupełnie wykluczone, tak samo jak działanie przypadku (oczywiście mam na myśli tylko zależność od szczegółowych i rzadkich, niecodziennych warunków; nic innego), słowem, że w języku wszystko odbywa się «naturalnie i przyrodniczo». I zważmy, co teraz z tego wynika, jak się chce być w taki sposób zanadto krytycznym i wypleniać z pogardą wszelkie «naiwne i nienaukowe» zapatrywania itd., itd. A no, dochodzi się znowu do tego, tylko z innego strony, że się z języka robi coś całkiem osobnego, tajemniczego, niezrozumiałego, jakąś mityczną i mistyczną istność, której cały aparat naukowej nomenklatury nie jest w stanie jasno oświetlić. Zapomina się o tym, że język jest częścią i wytworem ludzkiej kultury, a chociaż ta jest funkcją i wynikiem życia ludzkiego, objawem naturalnym i przyrodzonym, to jednak nie jest identyczna ze zjawiskami fizykalnymi albo fizjologicznymi!

Na zakończenie po pierwsze zastrzegam się, że nie kładę nacisku na żadnym z przytaczanych wyżej przykładów, bo i one mają swoją od dawna ustaloną formę i podlegają ewolucji fonetycznej, więc trzeba je brać cum grano salis. Tak samo kiedy mówię o ele-

mentach, to mam na myśli nie jakieś proste, całkiem osobno istniejące drobiny, lecz twory, które są tylko względnie elementami albo też składniki tworów, które rozkładamy w analizie naukowej.

Po wtóre zwracam uwagę na ogromną niedostateczność materiału w zakresie języka dziecinnego, interiekcji, naśladowań dźwiękowych i innych podobnych tworów: bardzo mało zebrano i opracowano dotąd tego, a pole olbrzymie i wdzięczne; dla naukowego postępu praca konieczna.

Po trzecie zapowiedź, że dla lepszego zrozumienia ewolucji językowej chciałbym w przyszłym roczniku zaznajomić czytelników ze zjawiskami uczuciowej automatyzacji i dysautomatyzacji, dwuczłonowości i relatywnej wielkości tworów, które po kolei odpowiadają podstawowej roli uczucia, nieustannemu różniczkowaniu się tworów i posunięciom rozwojowym, o czym mówiłem w ostatnim ustępie.

Po czwarte, z zastrzeżeniami, już to wyraźnie zrobionymi, już to wynikającymi z powyższego przedstawienia, polecam czytelnikom odnośne rozdziały dzieła Wundta o języku, zatem ustępy o języku dziecinnym, metaforach dźwiękowych, onomatopei itd. oraz o początku języka, i rozprawy prof. Appla: O mowie dziecka (Warszawa 1907, odbitka z Encyklopedii Wychowawczej) i Rozwój mowy ludzkiej i języków (wydawnictwo Poradnika dla Samouków pt.: Świat i człowiek, wyd. 2, zesz. III, str. 179—247, Warszawa 1912).

## 9. O dwuczłonowości wyrazów [1]

Niejednokrotnie zaczepiałem już o sprawę logicznego stosunku między pierwotnym czyli etymologicznym a rzeczywistym, to jest aktualnym w danym czasie, znaczeniem wyrazów.

Otóż pod tym względem wyrazy dzielą się na dwie wielkie klasy. Jedne nie wykazują żadnego takiego stosunku ani różnicy, bo posiadają tylko znaczenie aktualne, a odrębne od niego etymologiczne znaczenie dla nas nie istnieje. Np. *koń*, *krowa*, *wół*, *pies*, *kot*..., *dąb*, *brzoza*, *sosna*, *jodła*, *buk*..., *człowiek*, *syn*, *król*..., *głowa*,

[1] Język Polski VI, 5 (listopad — grudzień 1921).

*czoło*, *nos*, *oko*..., *oś*, *koło*, *pług*..., *ziemia*, *błoto*, *kamień*..., *biały*, *szary*, *twardy*..., *spać*, *pluć*, *iść* itd. bez końca. Takie wyrazy są zatem zupełnie jednoznacznymi nazwami albo znakami odnośnych treści czyli wyobrażeń, a brzmienie ich jest silnie i niedwuznacznie skojarzone z wyobrażeniem i nie nasuwa samo przez się, czysto językowo, żadnego innego znaczenia.

Natomiast wyrazy takie jak *konnica*, *wolarz*, *sośnina*, *królik*, *bielizna*, *szarak*, *niebieski*, *schody*, *chodnik*, *polować*, *kolej*, *złodziej*, *jegomość*, *ubranie*, *spodnie*, *piekarz*, *cukiernia*, *zręczny*, *ręcznik*, *pościel*, *ziemisty*, *utwierdzać*, *namiestnik* itd. mają prócz swego aktualnego znaczenia także jeszcze etymologiczne, a różnica obydwóch jest przeważnie bardzo widoczna, nieraz ogromna. Np. *kolej*, właściwie *kolej żelazna*, oznacza, ściśle biorąc, tylko szyny; do wyobrażenia *konnicy* należy przecież jeszcze wiele innych rzeczy prócz *konia*, nie mówiąc już o tym, że konnica często maszeruje i walczy na piechotę i że, biorąc czysto językowo, wiele innych rzeczy mogłoby się *konnicą* nazywać np. *stajnia końska*; zając często nie jest *szary*, a z drugiej strony *szarakiem* nazywano od ubrania (*szarak—sierak*) także zagonowego szlachcica; *poluje się* nie tylko na *polach*, ale także na łąkach, bagnach i lasach, na morzu i w górach, a z drugiej strony wiele innych rzeczy także się robi i odbywa na *polach*; itd., itd.

Jest rzeczą oczywistą, że różnica między tymi obu klasami wyrazów jest tylko rozwojowa, chronologiczna, bo pierwotnie każdy wyraz należał do klasy drugiej, a z biegiem czasu, zwolna, przechodzi do pierwszej, czyli że każdy wyraz grupy pierwszej miał swe znaczenie etymologiczne, a każdy wyraz grupy drugiej zwolna, wcześniej czy później, je zatraca.

Jest też rzeczą jasną, po wtóre, że między tymi wyraźnymi i skrajnymi biegunami są stadia pośrednie, bo zresztą nawet w obrębie tych wyraźnych klas są różne stopnie rozwojowe. Jeżeli się przypatrzę bliżej takim wyrazom jak *okno*, *prorok*, *rok*, *powróz*, *naparstek*, *ręka*, które etymologicznie dla nas dzisiaj nic nie znaczą, to przy znajomości staropolszczyzny i innych języków pokrewnych z łatwością dojdę do ich pierwotnego, to jest etymologicznego znaczenia: '*oko* lub coś podobnego do *oka*', 'ten co *prze-rzeka* czyli naprzód przepowiada', 'oznaczony termin' (por. *roki* sądowe), 'rzecz

służąca do wiązania' (por. *powrósło* ⇐ **po-wróz-sło*), 'coś co się kładzie na palec', 'łapa czyli coś co chwyta, łapie' (por. litew. *reñkti* 'zbierać'). Ale jest wiele wyrazów tej klasy, które nie tylko już dla ogółu dzisiaj nic nie znaczą etymologicznie, ale którym także naukowa analiza nie może dać rady, bo powstały bardzo dawno albo w szczegółowych, nie znanych nam warunkach i dlatego ich pierwotne znaczenie zupełnie się zatarło i jest także dla nauki ciemne, a co najmniej wątpliwe. Wiele z przytoczonych wyżej wyrazów pierwszej klasy należy właśnie do takich; nikt nie wie np., co znaczyły etymologicznie wyrazy *oś* lub *kot*.

Przypatrzmy się teraz wyrazom klasy drugiej, np. takiemu *złodziejowi*. Jego pierwotne znaczenie jest jeszcze niby przejrzyste: 'ten co *złe dzieje* czyli robi'; ale ponieważ zresztą nie używamy już słowa *dziać* w znaczeniu 'robić', więc druga część wyrazów *złodziej*, *dobrodziej*, *czarodziej*, *kołodziej* stała się prawie przyrostkiem i naprawdę, używając wyrazu *złodziej*, myślimy od wieków już tylko o kradzieży, a w pierwotnym jego znaczeniu używamy wyrazu *złoczyńca*. Albo czy przy *namiestniku* myślimy tak bardzo, że on pierwotnie oznacza 'zastępcę'; albo czy wyraz *kolej* nasuwa nam na myśl wyobrażenie 'śladów kół'? Krótko mówiąc wyrazy takie jak *kolej*, *złodziej*, *zgrabny* itd. znajdują się już na drodze, która je wcześniej czy później zaprowadzi do klasy pierwszej. Natomiast kiedy mówimy o *zastępcy*, o *poziomkowym* kolorze, albo kiedy przezywamy bliźniego *osłem* lub *świnią* itp., to etymologiczne znaczenie tych wyrazów jest jeszcze zupełnie żywe.

To wszystko jest dziedziną etymologii i semantyki, badań nad pierwotnym znaczeniem i rozwojem znaczenia wyrazów.

Nas tu obchodzi pytanie: w jaki sposób, od czego, są rzeczy w najszerszym tego słowa znaczeniu, czyli treść tworów psychicznych nazywane, albo inaczej mówiąc, w jaki sposób wyrażamy swoje wyobrażenia i inne twory psychiczne?

Rozpatrując wyrazy etymologicznie, czyli właśnie jako «nazwy» jasne, widzimy, że bezpośrednio jest zawsze wyrażona tylko jedna cecha danego wyobrażenia. Polega to na dwu właściwościach naszego życia psychicznego. Po pierwsze, każde nasze wyobrażenie, każdy odrębny akt psychiczny jest tworem złożonym, to jest

zawiera w sobie cały szereg szczegółów, cech, czyli składowych wyobrażeń itd., nie przestając oczywiście być jednością, a zarazem jest, w mniejszym lub większym stopniu, tworem płynnym, nie jakąś nieruchomą, odciętą, martwą masą. Weźmy pierwszy lepszy przedmiot, ten oto kasztan, tę oto sosnę lub jabłoń, albo stół przy którym pracujemy: z jednej strony przedstawiają nam się te rzeczy jako całości, jedności, z drugiej widzimy, że są zespołami całego szeregu właściwości czyli cząstkowych wyobrażeń, zarówno same w sobie jak i ze względu na swe otoczenie. Popatrzmy na ten kasztan, na jego pień, konary, gałęzie, na korę, na całą postać...: jaki to splot szczegółowych wyobrażeń, składających się na tę całość! A ileż to razy patrzymy na to drzewo, stojące przed naszymi oknami; jak zmienia się jego i jego części wygląd w ciągu roku, a także nasz do niego stosunek i jego otoczenie! Nawet taki martwy przedmiot, jak ten oto nasz stół, jak nieskończone prawie bogactwo treści przedstawia! A zważmy teraz, że wyobrażenie kasztana, lipy, drzewa i stołu... obejmuje przecież nie j e d e n przedmiot, tylko ogromne mnóstwo takich przedmiotów, z jakimi się w ciągu życia spotykamy, i to jak różnorodnych! — O ile bogactwo treściowe przedmiotów jest właściwością otaczającego nas świata, odbijającą się w naszej duszy, a fakt, że podobne przedmioty grupują się w jedno zbiorowe albo gatunkowe wyobrażenie, polega po części znowu na obiektywnej stronie naszego doświadczenia, a po części na subiektywnej, o tyle druga właściwość, którą mam na myśli, jest wyłączną cechą naszego życia psychicznego, stojąc zresztą w ścisłym związku z omówioną pierwszą. A mianowicie, p o w t ó r e, nasze pojmowanie, rozeznawanie (apercepcja) otaczającego nas świata dokonywa się zawsze w ten sposób, że z jednej strony chwytamy całość przedmiotu, a z drugiej uwaga nasza skupia się na pewnej jego części. Z jednej strony otaczający nas świat przedstawia się nam jako cała hierarchia jednostkowych wyobrażeń, tworzących każde dla siebie całość rozmaitego rzędu, bo oto widzę ten las, ten ogród, tę grupę drzew, to drzewo, ten pokój, tę ścianę pokoju, ten stół itd., itd., zawsze jako całość, jako mniej lub więcej osobną jednostkę (jedność świadomości); a z drugiej strony, jeżeli patrzę rzeczywiście z uwagą na dany przedmiot, jeżeli naprawdę go a p e r c y p u j ę, to zawsze w danym mo-

mencie widzę dokładnie tylko pewne jego cechy, a resztę niedokładnie, resztę widzę tylko mniej lub więcej niewyraźnie (ograniczony zakres świadomości). Psychologia mówi też, jak wiadomo, obrazowo o polu widzenia i punkcie widzenia. Zakres naszego świadomego pojmowania i naszej uwagi jest ograniczony, niby okienko, przez które spoglądamy, i zawsze skierowuje się w danej chwili na jedną cząstkę całej, doznawanej w tej chwili treści; a chociaż ta cząstka, ten niby punkt, jest znowu splotem szczegółów, to jednak w stosunku do chwytanej w danym momencie całości przedstawia się jako cząstkowa jedność, niby punkt. Nawet kiedy stopień naszej uwagi, naszej świadomości jest słabszy, kiedy spoglądamy na to oto drzewo obojętnie niby, to jednak, o ile tylko postrzegamy je rzeczywiście świadomie, to zawsze dokonywa się to w nas na podstawie pewnych jego cech. Tym bardziej oczywiście, jeżeli na danym przedmiocie skupiamy swoją uwagę.

Otaczająca nas rzeczywistość przyrody została przez ludzi z grubsza już od dawna poznaną i nazwaną, chociaż i tu ciągle nowe poznania przybywają, a zatem i nowe nazwy, np. gatunki roślin, owadów. Otaczająca nas i wytwarzana przez nas rzeczywistość kultury oczywiście cała jest nazywana, ale tu właśnie ciągle nowe przybywają rzeczy, coraz nowe wytwory, a wraz z nimi nazwy. I jakże te nazwy wyglądają? Oto skonstruowano nowe szybkostrzelne działo i jakże je nazwano? Większe *działem maszynowym*, mniejsze *karabinem maszynowym*, to znaczy w nazwie wyrażona jest 1) cecha główna, na którą uwaga była skierowana, czyli ta, która się znajdowała w punkcie widzenia świadomości, mianowicie *maszynowość*, to jest strzelanie do pewnego stopnia automatyczne, jak *maszyna*, a obok 2) przedmiot został nazwany ogólnie *działem* lub *karabinem* wedle całej swej treści, stojącej jednak na drugim planie, znajdującej się tylko w polu widzenia. W ten sposób powstała nazwa dwuczłonowa, której jeden człon jest wyróżniający, wyrażający cechę dominującą, wyróżniającą dany przedmiot od innych podobnych, a drugi człon jest utożsamiającym, wyrażając całość albo całą resztę cech przedmiotu, na podstawie których go w ogóle pojmujemy, zaliczając do znanego nam dobrze wyobrażenia lub pojęcia. W nazwie zatem jest, tak jak w definicji,

wyrażona z jednej strony *differentia specifica*, a z drugiej *genus proximum*, żeby użyć starych technicznych terminów.

Jeżeli teraz nasz żołnierz, nie bez udziału pewnej trochę żartobliwości, trochę czułości, nazywa swój karabin maszynowy krótko *maszynką*, czyli wyraża tylko tę cechę dominującą, to stało się tu w gruncie rzeczy to samo, co w *plutonowym* albo *motorowym*, którzy w naszych oczach przeobrazili się w ten posób z *podoficera plutonowego* tj. 'dowodzącego plutonem' albo z *konduktora motorowego* tj. 'od motoru'. A to samo widzimy w *kartoflance*, *personce*, *sklepówce*, *jelonku*, *parowcu*, *gajowym*, *polowym*, *gumiennym* itd., które to nazwy są skróceniami wedle ustalonych w języku typów morfologicznych z *zupy*, *mąki* lub *naci kartoflanej*, z niemieckiego *Personenzug*, z *dziewczyny sklepowej*, *owadu (chrząszcza) z rogami jak jeleń*, *statku parowego*, *dozorcy gajowego* itd.

Tak samo lub podobnie są urobione wszystkie istniejące lub nowo powstające nazwy przedmiotów, własności i stanów lub przebiegów: *druciarz* to 'Słowak drutujący naczynia', *nowina* to 'świeżo tj. nowo wyrobiona rola', *czytanka* to 'książka do czytania', *drewniany*, *ziemisty*, *fiołkowy*, *niebieski*, *krakowski*, *bielić*, *złocić*, *brukować* itd. bez końca, a to, co my wyrażamy takimi wyrazami pochodnymi czyli sufiksalnymi, to Niemiec wyraża przeważnie złożeniami: *Drathbinder*, *Neuland*, *Lesebuch*, *erdfahl*, *veilchenblau*, *weisstünchen* itp., gdzie drugi człon, wyrażony w polskim przyrostkiem (sufiksem), jest jeszcze osobnym wyrazem. A ten skład nazwy, występuje jeszcze wyraźniej w polskich tworach grupowych, używanych już to stale już to przygodnie, takich jak *nowe pole*, *nowa rola*, *książka do czytania*, *góra lodowa*, *suchy jak drewno*, *zielony jak trawa*, *farbować na granatowo* itd., gdzie dwuczłonowa budowa jest jeszcze bardziej widoczna i żywa. W każdym jednak razie także wszystkie wyrazy pochodne rozkładają się wyraźnie na część rdzenną czyli pierwiastkową i na część pochodną czyli przyrostkową (sufiksalną), które owym dwom członom odpowiadają.

Że dyferencjacja naszych wyobrażeń względnie pojęć rzeczywiście w ten sposób się odbywa, albo innymi słowy, że zapas naszych wyobrażeń wzrasta na podstawie dwuczłonowej dyferencjacji, dowodzi prócz językowego składu nazwań albo wyrazów bardzo wyraźnie

także obserwacja dzieci. Jedno z moich dzieci, rozporządzając jeszcze niewielkim zapasem wyrazów, prosiło o srebrnego guldena w ten sposób, że prosiło o «centa, ale takiego dużego, białego»; inne pewnego lata, kiedy było dużo malin, a poziomek bardzo niewiele, skutkiem czego baby nieustannie nosiły tylko maliny, doniosło o wyjątkowym przyniesieniu poziomek wołając radośnie, że «baba przyniosła malinek, ale takich innych malinek»!

Nazwa wyraźnie dwuczłonowa, dopóki jest taką, przedstawia dokładny obraz odnośnego przebiegu psychicznego i wynikającego z niego tworu, a zarazem jest tylko mniej lub więcej logiczną. Wyrażenie takie jak *góra lodowa*, tworzące całość złożoną z wyraźnych dwu części, pokazuje, że odnośne wyobrażenie tworzy się w ten sposób, że zostało rozłożone na dwa człony: z jednej strony zostało pojęte jako *góra* (człon utożsamiający), czyli zaliczone na podstawie cech podobnych do gatunkowego pojęcia *góry* (genus proximum), a z drugiej wysunięto na pierwszy plan jedną cechę, *lodowość*, która je od ogólnego pojęcia wyróżnia (differentia specifica; człon wyróżniający). W ten sposób całość wyraża dokładnie dane wyobrażenie, bo człon wyróżniający określa bliżej, zarówno pozytywnie jak negatywnie, zasadniczą, utożsamiającą apercepcję, boć pozytywna cecha lodowości wyłącza tym samym z wyobrażenia góry cechy niezgodne: nie ma już mowy o zwykłych górach.

Ale łatwo zrozumieć, że taki sposób wchodzenia nowych wyobrażeń do świadomości, czyli różniczkowania się pojęć, musi być ze stanowiska logicznego zawsze mniej lub więcej niedokładnym, zwłaszcza zaś, kiedy nazwa zaczyna tężeć i ściągać się, i kiedy człon utożsamiający jest reprezentowany już tylko przez przyrostek, czyli kiedy całkiem wyraźnie nazwaną jest tylko cecha wyróżniająca, jak w wyrazie *lodowiec*. Taki typ i taka faza nazwania świadczy wprawdzie, że pojęcie czy wyobrażenie stało się samodzielnym, ale ponieważ, logicznie biorąc, wyraz *lodowiec* znaczy tyle co 'przedmiot', którego cechą jest lód', więc też jest to, logicznie, bardzo niedokładne, bo 1) ta cecha nie jest przecież jedyną, wyobrażenie zawiera jeszcze cały szereg innych cech, a 2) jest wiele innych przedmiotów, których cechą jest lód, choćby tylko tak samo nazywane, a zupełnie inne, górskie lodowce, albo sople lodowe, ślizgawka itd.

Trzeba przy tym jeszcze uwzględnić, że cechy składowe wyobrażenia są bardzo rozmaite, różnorodne, w szczególności mniej lub więcej istotne dla danego wyobrażenia; a cecha, która w chwili powstawania nazwy dominowała, wcale niekoniecznie jest dla istoty przedmiotu najważniejsza. W *lodowcu* jest cecha lodu wcale istotna, ale w *karabinie maszynowym* cecha maszynowości nie jest w gruncie rzeczy istotniejsza niż w zwykłym; cecha charakterystyczna *jelonka* wpada wprawdzie silnie w oko, ale wcale nie jest istotną, bo jej już nie posiada samica; a cóż dopiero *polowanie* w lasach lub na błotach, które jednak się nie nazywa *lasowaniem* ani *błotowaniem*, tylko zawsze *polowaniem*; albo *bielizna*, która jest często *kolorowa*; albo *stolarz*, który robi tyle innych rzeczy prócz stołów itd.!

Najrozmaitsze stosunki, jakie są przy tym możliwe, znajdują swój wyraz w rozmaitości gramatycznej budowy jednolitych wyrazów, złożeń i wyrażeń grupowych: niem. *Fingerhut* to niby 'kapelusz palcowy', po polsku *naparstek—na-parst-ek*—'coś (nakrycie) (*-ek*) na palec (*-parst-*)', ale *pierścień*, urobiony od tego samego pnia *parst* i wyrażający także 'coś co się kładzie na palec', już nie zawiera przyimka; podobnie *narożnik* tj. *narożny* (na rogu ulicy) *dom*, ale róg ulicy (np. sklep na rogu); *sypialnia* albo *pokój sypialny* tj. 'do spania', gdzie się śpi', *chambre à coucher*, *Schlafzimmer*; podobnie *czytelnia*, ale po francusku *salle de lecture*; *skórka od chleba*, *croûte de pain*, *Brotkruste*; *poniedziałek*—'dzień (*-ek*, człon utożsamiający) *po niedzieli* (człon wyróżniający)'; *podnóżek*, *wybrzeże* itd. Bardzo często stosunek logiczny jest stosunkiem porównania, zwłaszcza przy przymiotnikach (ale nie wyłącznie), toteż nasze *kamienny* w znaczeniu 'niewzruszony' wyraża się równie dobrze przez *twardy jak kamień* (po niem. *steinhart*); człowiek *zdrów jak koń* ma *końskie* zdrowie, itd., itd.

Mówimy: *wyglądasz jak świnia*, *zabłocił się jak świnia*, *rusza się jak niedźwiedź* itd.; dalej: *trzeba być świnią, żeby coś takiego zrobić* itd., a wreszcie najenergiczniej, krótko, z zupełną identyfikacją: *ty świnio*, *ta świnia*, *ten koń*, *bydlę* itd. Widzimy tu, że nastrój, silne pobudzenie uczuciowe albo afekt prowadzi do zupełnego zaniku jednego członu, a ściśle mówiąc, nie pozwala na wyraźną, dwuczłonową apercepcję: człon wyróżniający wysuwa się tak silnie

na pierwszy plan, że człon utożsamiający pozostaje poniżej zwykłego stopnia świadomości i nie znajduje wyrazu językowego. W gruncie rzeczy tutaj oba człony spływają w jeden. Zaznaczyłem także już, że np. *karabin maszynowy* przeobraził się od razu u naszych żołnierzy w *maszynkę* niewątpliwie pod wpływem żartobliwej czułości. Jeżeli my mówimy o *jelonku*, czyli wprost nazywamy tego chrząszcza 'małym jeleniem', Francuz *cerf volant*, a Niemiec *Hirschkäfer*, to można w tym widzieć różny stopień żywości wyobraźni i powiedzieć, że żywsza wyobraźnia (*jelonek*) właśnie wskutek silniejszego tonu uczuciowego ma ten sam skutek, co w ogóle żywy nastrój, a mianowicie przeszkadza wyraźnej dwuczłonowej apercepcji (*Hirschkäfer*). Zresztą, jeżeli krzyknę z pogardą: *bydlę!*, to to zastępuje całe spokojniejsze zdanie: *jesteś prawdziwe bydlę!*, albo podobne.

Widzimy zatem, że wyraźna apercepcja wyobrażenia jest zawsze dwuczłonowa, o ile tylko nie wchodzi w grę silniejszy ton uczuciowy, dalej, że powstająca w ten sposób dwuczłonowa nazwa zdąża w miarę tego jak wyobrażenie staje się samodzielnym i utrwala w świadomości, do większej jednolitości, stając się albo złożeniem, albo tworem sufiksalnym, albo usuwając jeden człon jako zbyteczny. Ten ostatni wypadek nazywano dawniej e l i p s ą, dziś mówią o z g ę s z c z e n i u  n a z w y; zazwyczaj znika człon utożsamiający, ale niekoniecznie, np. kupujemy w sklepie *pióra*, prosimy o pożyczenie *pióra* itp., nie dodając członu wyróżniającego *do pisania*. Dlaczego? No, bo ten człon w danych warunkach, w danej sytuacji sam się przez się rozumie, on j e s t w świadomości, więc nie potrzeba go osobno wymieniać; podobnie dzisiaj, kiedy się pisze powszechnie piórami metalowymi, nie ma potrzeby mówić o piórach *stalowych* (*stalówkach*) itp. *Kolej żelazna* zwykle się nazywa *koleją*, ale np. na tytule książki będzie zapewne jeszcze «Koleje żelazne»; podobnie bardzo często mówi się po niemiecku zamiast *Eisenbahn* krótko *Bahn*, ale już po francusku nie opuszcza się człona wyróżniającego i mówi stale *chemin de fer*, bo *chemin* zanadto jest powszechne i codzienne w znaczeniu 'droga'. *Kromka*, *skórka*, *ośródka*, *piętka chleba* zwykle się nazywają *kromką* itd. bez dodatku *chleba*, itd. bez końca. Odwrotnie *gumienny*, *polowy*, *gajowy*, *stajenny* itd. zawierają tylko człon wyróżniający, bo to są różne rodzaje dozorców wiejskich, więc tu wsy-

tuacji czyli w świadomości tkwi jako coś rozumiejącego się samo przez się człon identyfikujący (pojęcie ogólne) ‘dozorca, służący’, a wysuwa się człon wyróżniający jako ważny.

Wiadomo, że używanie wyrazu *pióro* w znaczeniu ‘pióra do pisania’, ‘pióra stalowego’, albo wyrazu *kolej* w znaczeniu ‘kolei żelaznej’, albo nazywanie ludzi *osłami* itd., pojmuje się jako zmianę znaczenia, przenośnie itp. i te wypadki przeprowadzają nas rzeczywiście do tych zjawisk. Ale o tym będzie mowa w następnym artykule, a tymczasem trzymajmy się wyrazów jako nazwań.

Otóż trzeba jeszcze pamiętać, że każdy język posiada w danej chwili swoje ustalone typy morfologiczne wyrazów i pewne tendencje, skłonności w tym zakresie. I tak np. w języku niemieckim jest bardzo silnym typ złożeń, zaś w polskim typ wyrazów przyrostkowych, tak że zazwyczaj niemieckie złożenie oddaje się przez nasz twór sufiksalny np., *Tagblatt*: *dziennik*, *Arbeitszimmer*: *pracownia*, *Schneidezahn*: *siekacz*, *Rindfleisch*: *wołowina* itd., itd., o czym należy pamiętać przy tworzeniu nowych wyrazów dla zaspokojenia potrzeb zawodowego słownictwa. Nic więc dziwnego, że powstające nowo dwuczłonowe nazwy wpadają w niemieckim od razu w typ złożeń, a u nas w typ sufiksalny, i w tym przebija się zapewne pewna różnica w apercypowaniu. Ale oczywiście i Niemcy posiadają także wyrazy pochodne, urabiane przyrostkami, i my nie jesteśmy pozbawieni całkiem złożeń, więc nie trzeba ani w ocenie tych stosunków, ani w praktyce przesadzać.

Zarówno złożenia jak wyrazy pochodne są czas jakiś jeszcze swobodne i w miarę sytuacji występują zamiast nich albo ich człony zasadnicze tj. utożsamiające, albo też swobodne grupy. Niejeden przykład już był wyżej przytoczony; a więc mówimy: *mięso wołowe* itd. albo *wołowina*, a bardzo często, gdy cecha ‘wołowości’ sama się przez się rozumie, *mięso*; *kromka chleba* lub *kromka*; *pokój sypialny* itd. albo *sypialnia*, a bardzo często też tylko *pokój*, *czytanka* albo *książka do czytania*, a bardzo często po prostu *książka*, *dziewczyna sklepowa* albo *sklepówka* albo *dziewczyna (panna sklepowa, panna)* itd. bez końca.

Wiele grup, złożeń i tworów sufiksalnych wychodzi zupełnie z użycia dlatego, że służyły tylko chwilowym potrzebom: kiedy

pewne wyobrażenia (rzeczy i nierzeczy) wychodzą z użycia, tracąc swą wartość, to giną i odnośne wyrazy; cały olbrzymi zakres kultury dostarcza niezliczonych przykładów. Wystarczy przypomnieć z ostatnich czasów *paskarzy* i *hiszpankę*, co oboje w tej postaci i pod tymi nazwami obyśmy jak najprędzej mogli zapomnieć!

Ale pewna część wyobrażeń i pojęć staje się trwalszym nabytkiem, samodzielnieje i wyodrębnia się, a wraz z tym odnośne wyrazy tężeją, stają się nieruchome w swym składzie i trwają setki, a nieraz i tysiące lat. Jednakowoż ich trwałość i nieruchomość jest pozorna, a raczej tylko częściowa i względna. Przede wszystkim zatem grupy, złożenia i wyrazy pochodne tężeją, ich części składowe zrastają się mocno i tracą swobodę, cały twór staje się niewzruszony: *psubrat*, *nocleg*, nawet nowy *listonosz*, niem. *Fingerhut*, *naparstek*, *bielizna*, itd. bez końca. Zwolna zaciera się poczucie złożoności i samodzielność (oczywiście względna) obu członów i wyrazy stają się jednolite: złożenia zaczynają zwolna wyglądać jak twory sufiksalne, a pochodne ostatecznie przeobrażają się w twory pierwiastkowe, to jest w absolutnie jednolite twory — jedno i drugie choćby dopiero po długich tysiącach lat. Wspomniałem już, że wyrazy *dobrodziej*, *czarodziej*, *kołodziej*, *złodziej*, stare *bartodziej*, *kaznodzieja* przedstawiają właśnie takie pośrednie stadium rozwojowe, na połowie drogi od wyraźnego złożenia do tworu sufiksalnego czyli niezłożonego (simplex), podobnie *Kaźmierz* (stare *Kazimir*), *Racław*, *psikus* (= *psi kęs*); dalej posunięte są *niedźwiedź*, dawniejsze *miedźwiedź* (*miedźw-iedź* 'jedzący miód'), *Sudoł* koło Krakowa, dawniejsze *such-dół* (por. *Suchodoł*), niem. *Adler*, stare *adel-aar*, *Junker*, dawniejsze *jung-herre*; jeszcze dalej takie jak *uzda* (której pierwsza część jest ta sama, co w *usta*), *prosty* (złożenie ze *stać*), *obły* itp., wyglądające jak absolutnie proste twory.

Podobnie wyrazy z sufiksami. Bo wprawdzie z jednej strony rozwijają się nieustannie wyraźne, nowe przyrostki[1], powstające przez narastanie kilku, np. *-nica* w *okiennica* lub w bojkotowanej nieraz *uczennicy*, albo *-liwy* w *gniewliwy*, *swarliwy* itd., ale z drugiej strony zacierają się stare przyrostki i powoli znikają. Nasze rzeczow-

[1] Podobnie jak powstają ciągle nowe nazwy grupowe, złożenia i twory pochodne, a mnóstwo dawniejszych znika.

niki typu *las*, *bóg*, *proch*, *mróz*, *dół*..., *woda*, *brzoza*, *ryba*..., *błoto*, *pole*, *wieko*... są dziś dla nas imionami pierwiastkowymi, bez żadnych sufiksów tworzywnych, derywacyjnych, bo *-a -o* są dziś tylko wykładnikami rodzaju; tymczasem z gramatyki historycznej wiemy, że te imiona męskie i nijakie zawierają sufiks *-o-*, a żeńskie sufiks *-a-*; rzeczowniki typu *zboże* zawierają przyrostek *-ĭje*, ale dla nas są prawie zupełnie bezsufiksalnymi, itd.

I takie także imiona tworzą typ wyraźny właśnie dzięki brakowi wszelkich przyrostków, czym się różnią od innych, i dlatego na wzór licznych odziedziczonych wyrazów, takich jak *wóz*, *miot*, *krok* itd., powstają jeszcze i dziś nowe twory tego typu, żeby przytoczyć tylko najnowszy *czołg* albo techniczny *sąk* (zamiast obcego *drenu*; zwykle używają zdrobniałego *sączek*), *wodotrysk* itd.

W ten sposób dostajemy szereg morfologicznych typów «nazwań», przedstawiający różne stadia rozwojowe, a mianowicie: swobodna grupa (*dom na rogu*, *wielki dąb*, *dno morza*, *czarny jak kruk*, *lecieć pędem*), grupa znieruchomiała czyli zrost (różne stopnie: *tydzień*, *Boże Ciało*, *psubrat*, *Czarnawieś*); zredukowana grupa (*kolej*, *pióro*, *ośródka*, *gajowy*); złożenie żywe (*samolot*, *rudowłosy*, niem. *Eisenbahn*); złożenie skostniałe (*złodziej*, *wojewoda*); zredukowane złożenie (*motuz* [obok *motowóz*], *uzda*, *ratusz* z *rat-hus* 'Rathaus'), wyglądające jak simplex; wyraźne twory pochodne czyli sufiksalne (*wiatrak*, *okiennica*, *płaczliwy*); zatarte pochodne (*orzeł*, *tchórz*, *garnek*); absolutnie jednolite czyli pierwiastkowe (*kos*, *pies*, *wół*). To znaczy, zjawiające się chwilowo w świadomości nowe wyobrażenie ustala się ewentualnie, jeżeli są po temu warunki, i może wreszcie stać się trwałym, samodzielnym tworem, czemu językowo odpowiada z jednej strony swobodna chwilowa grupa, a wreszcie — poprzez dalsze stadia — jednolity i jednoznaczny wyraz, który się staje zarazem głównym przedstawicielem wyobrażenia.

Tej ewolucji «nazwań» sprzyja rozwój fonetyczny, zwłaszcza zaś stopniowe «ścieranie się» końca wyrazu, co możemy doskonale obserwować np. na językach romańskich w porównaniu z łaciną, albo na dzisiejszych germańskich językach w porównaniu z gockim i staroskandynawskim, na słowiańskich w porównaniu ze staro-cerkiewnym, itd. Prócz innych przeobrażeń fonetycznych wszędzie

zwolna znikają końcowe zgłoski wyrazów, a jest to tak zwykłe, powszechne i znane zjawisko, że nie potrzebuję chyba przytaczać przykładów.

Wyraz można nazwać skróconą i zwartą w pojęciową postać definicją; ale ponieważ nazwanie odbywa się na podstawie zwykłych aktów świadomości, a nie na podstawie wyższych ich stopni, jakimi są logiczna refleksja i naukowe poznawanie, i ponieważ nazwa zdąża do zupełnego zwarcia się, do zupełnej jednolitości, przeto powstaje w pewnych zakresach sprzeczność między językiem a potrzebami poznania, i stąd to walka np. botaniki i zoologii z tradycyjnymi nazwami roślin i zwierząt i zastępowanie ich nazwami «naukowymi», wyraźnie dwuczłonowymi, jak to powszechnie wiadomo.

# II.

# ARTYKUŁY DODATKOWE

## Znaczenie nauki o języku[1]

Stare przysłowie powiada, że każda liszka swój ogon chwali, mając przy tym oczywiście na myśli ludzi, nie lisy. Wiemy dobrze, że mówi prawdę, ale nie zatrzymując się nad ogólną stroną tej prawdy, chociaż jest bardzo ciekawa i mogłaby nas zaprowadzić prostą drogą aż do metafizyki, stwierdzę tylko, że odwieczne doświadczenie, zawarte w tym przysłowiu, odnosi się tak samo do uczonych jak do wszystkich innych ludzi — ani mniej, ani więcej; kto wie nawet, czy nie więcej.

Tak, każdy uczony chwali swoją naukę. I to nie tylko tak sobie na codzień, po cichu, dla prywatnego użytku, albo w zwykłych drwinach z kolegów i przekpiwaniach filologii, astronomii czy filozofii, albo w mniej lub więcej energicznym podnoszeniu znaczenia swojej nauki przed słuchaczami, ale także w poważniejszych występach i wyznaniach. Fizyk uważa, że właściwie cała nauka da się sprowadzić do fizyki, mianowicie nauka o tzw. martwej przyrodzie już teraz, a biologia w przyszłość. Biolog sprowadza wszystkie nauki humanistyczne czyli duchowe do nauki o życiu; tym bardziej antropolog rozszerza zasadniczo w ten sposób zakres swojej nauki; filologia określając samą siebie jako naukę o kulturze, wciąga właściwie wszystkie nauki duchowe w swoją orbitę; podobnie czyni historyk ze swego znowu stanowiska; a wreszcie, za wszystkimi lub przed wszystkimi, kroczy filozofia, nazywając sama siebie królową nauk. Ale ale, a matematyka! A prawo! O jej!

Zabawne widowisko; właściwie, to może smutne widowisko.

Zapewne, można tak robić do pewnego stopnia, bo skoro każda nauka jest niewątpliwie częścią całego poznania czyli nauki w ogóle, to wychodząc od każdej mogę dojść do całości. Ale trudniej już

[1] Język Polski VIII, 1 (styczeń — luty 1923).

jest z zacieraniem różnicy między naukami przyrodniczymi a humanistycznymi, czyli, mówiąc technicznie, między nauką o przedmiocie a nauką o podmiocie poznania; a w każdym razie niedozwolonym jest zrównywanie części z całością i także rozszerzanie znaczenia utartych i określonych pojęć i terminów. Toteż niewątpliwie tkwi w tego rodzaju próbach obok filozoficznego jednoczenia wiele ciasnego, zaborczego egoizmu czy imperializmu. Tak, tak. No, bo jakże? To, czemu ja poświęcam życie, nie ma być najważniejszym?!

W tym chórze samochwalstwa słychać także głosik językoznawstwa, dosyć jeszcze cienki, jak zwykle u młodego stworzenia, ale wcale już donośny. Czasem zresztą sympatyczny, jak to było np. u nieżyjącego już lwowskiego profesora Blatta, o którym opowiada jego były uczeń, prof. Gawroński, że nieraz na wykładzie, w zapale i podziwie dla swej nauki, której był oddany całą duszą, przerywał jaki szczegółowy wywód i mówił, jak kapłan o swoim tajemniczym, przepotężnym bóstwie: nie wiem, czy jest druga taka nauka na świecie!

Że język jest rzeczą bardzo ważną, ba, dla człowieka pierwszorzędną, to wiadomo, jasne, i nie potrzeba się nad tym rozwodzić. Myślę też, że większość ludzi wolałaby sobie odebrać życie, niż stracić mowę w kwiecie wieku; napewno większość polityków, dziennikarzy itd. — zresztą w razie zamknięcia im językowego kurka szybko by u nich nastąpiło zatrucie... językiem.

No, ale czy n a u k a o języku jest ważną, czy i jakie ma naprawdę znaczenie? Czy zapewniając, że językoznawstwo jest nauką ważną, nie robimy tak, jak owa żaba, co to nadstawiała łapę, kiedy konie kuli?

Zobaczmy.

## 1.

Bezpośrednio praktyczne, życiowe znaczenie nauki o języku nie jest wielkie, ale jest i polega na daleko lepszej metodzie uczenia się i nauczania języków, zwłaszcza obcych. Można wprawdzie doskonale nauczyć się obcego języka tylko ze słuchu, z obcowania, tak jak uczymy się w dzieciństwie ojczystego, ale ta droga jest dostępna tylko dla niewielu. Zresztą zaś nauczyciel, który obok praktycznego

opanowania danego języka posiada jeszcze podstawy nauki o języku w ogóle, fonetyki itd., daleko łatwiej i lepiej będzie uczyć, niż czysty empiryk. W szkolnej nauce jest to nieodzowne; potrzeba też tam koniecznie dobrych, jasnych podręczników, a do tego wszystkiego trzeba znajomości elementów językoznawstwa. Wiele też można jeszcze w tym kierunku zrobić.

Jeden maleńki przykład. Ogromna większość Polaków, uczących się w zwykły, niedostateczny sposób języka angielskiego, wymawia angielskie *th* albo jak *s*, *z* albo jak *t*, *d*, czyli całkiem źle, chociaż właściwa wymowa nie przedstawia szczególnej trudności i łatwo jej nauczyć, jeżeli tylko uczący sam zdał sobie dokładnie sprawę z położenia języka. Jeżeli powiem uczniowi: trzymaj usta lekko otwarte, oprzyj lekko kraniec języka o kraj górnych zębów i puść prąd powietrza między język a górne zęby; i jeżeli poprę to schematycznym rysunkiem oraz, umyślnie szerzej otwarłszy usta, pokażę na sobie układ języka, to każdy uczeń bez trudności przyswoi sobie poprawną wymowę angielskiego *th*, będącego rodzajem szeplenionego *s*, najpierw bezdźwięcznego, a następnie dźwięcznego.

Ogólny, bardzo znaczny postęp nowoczesnych podręczników polega na korzystaniu z fonetyki, na rozsądniejszym formułowaniu reguł i wzorów, dalej na zbliżeniu do naturalnego sposobu uczenia się języków, wreszcie na uczeniu żywego języka w jego codziennym zastosowaniu z uwzględnieniem także potocznej wymowy, a nie wyłącznie języka książkowego wraz z wymową i zwrotami, które wywołują tylko wrażenie uroczystej komiki.

2.

Na drugim miejscu postawimy ogólnie kształtujące znaczenie nauki języka jako przedmiotu szkolnego.

Jeżeli zapytamy, czym się różni nowożytna psychika, a zwłaszcza umysłowość ludzka od dawniejszej, średniowiecznej, starożytnej i prymitywnej, to odpowiedź brzmi: odnajdywaniem prawidłowości zjawisk na podstawie doszukiwania się istotnych związków przyczynowych; obiektywizmem wobec faktów i zjawisk zarówno otaczającego nas świata jak nas samych; stwierdzeniem i jasnym zdawaniem sobie sprawy z rozwojowości życia czyli z pojęcia ewolucji, co nie

przeszkadza, że równocześnie stwierdza się pewną, znaczną nawet, chociaż oczywiście względną, stałość tworów, z których się składają szeregi rozwojowe, a więc typów i dążności czyli tendencji; wreszcie wzrostem samowiedzy ludzkości, co jest zresztą tylko bezpośrednim i ogólnym następstwem tamtych faktów jako wynik potężniejącego nieustannie poznawania świata i siebie.

Otóż jest rzeczą pierworzędnego znaczenia, aby młodzieniec, opuszczający szkołę średnią, posiadał rzeczywiście taką nowożytną umysłowość w jej zasadniczych cechach; aby młody obywatel, ukończywszy szkołę powszechną, także znalazł się już na tej drodze, czyli aby jak największa część społeczeństwa, o ile możności cały ogół jego, dochodził do tego stopnia rozwoju, który, jak dotychczas, jest tylko udziałem bardzo drobnej, przodującej cząstki ludzkich społeczeństw. Tymczasem rzecz to nie taka łatwa. Po pierwsze, wobec napływania do szkoły tych mas młodzieży ze środowisk o umysłowości dawniejszego typu, często wprost prymitywnej, muszą one wiele nadrabiać i wiele się dopiero uczyć, czyli szkoła musi z nimi dokonywać wiele, bardzo wiele wstępnej pracy, wymagającej dużo wysiłku. Po wtóre, dziecko i młodzieniec, wszystko już jedno, czy z więcej czy z mniej kulturalnego środowiska pochodzi, musi się przede wszystkim wielu rzeczy nauczyć, wiele faktów sobie przyswoić, musi opanować podstawy różnych nauk, tak aby nimi swobodnie i bez namysłu władać. To zabiera z konieczności dużo czasu i energii, tak że naprawdę w ciągu nauki szkolnej gubi się często zupełnie owe ważne momenty i cechy i widzimy mnóstwo ludzi, mających w głowie odrywki nowożytnej nauki, ale zupełnie prymitywną umysłowość.

Zwłaszcza w zakresie humanistycznym wykształcenia szkolnego. Przedmioty przyrodnicze uczą z natury rzeczy poszanowania faktu, obiektywności badania i wiązania zjawisk istotnym przyczynowym węzłem; chociaż i tutaj ogólne momenty, o których mówiłem na początku tego ustępu, bardzo giną z oczu. Ale przedmioty humanistyczne wydają, można powiedzieć, wprost przeciwny rezultat. Wedle popularnego określenia one mają kształcić nie tylko umysł, ale także serce i charakter. Ponieważ jednak szkoła daje tylko drobne ułamki ze współczesnego stanu i z całego rozwoju ludzkiej

kultury, niczym nie związane, wyrwane z całości i traktowane osobno, z tendencją do ustalania nierealnych wieczystości i sprowadzania wszystkiego do gry prawie że jednostkowych, indywidualnych motywów, z zatratą perspektywy i traceniem z oczu istotnych związków przyczynowych i rzeczywistych wieczności w dążeniach, więc rezultatem jest zamiast upragnionego a realnego idealizmu raczej zupełna dezorientacja. Wiele przyczyn się na to złożyło, ale nie mogę tu dokładniej całej sprawy roztrząsać.

Otóż racjonalnie prowadzona nauka języka ojczystego mogłaby do tych humanistycznych minusów dorzucić znaczne plusy, właśnie w kierunku zaznaczonych braków i potrzeb. Materiał ojczystego języka tworzy przede wszystkim całość, składającą się z mnóstwa szczegółów, ale które się układają w związki i szeregi; po wtóre ten materiał jest uczniowi z góry dany, bo szkoła zaczyna się w wieku, kiedy dziecko już włada ojczystym językiem. Ponieważ ten materiał językowy ma charakter z jednej strony faktów psychicznych, subiektywnych, a z drugiej faktów obiektywnych, niezależnych od jednostki, więc nadaje się doskonale do obserwacji, do ćwiczenia się w bezstronnej i obiektywnej obserwacji zjawisk w ogóle, związku zjawisk psychicznych i kulturalnych z fizycznymi, a fizjologicznymi w szczególności, oraz w obiektywnej obserwacji samego siebie. Ten materiał języka ojczystego, jaki każdy uczeń w sobie posiada, tworząc jednolitą całość i układ, równocześnie jednak na wszystkie strony wykazuje związki i rozszerza się bez końca, w teraźniejszości i w przeszłości, czyli stawia dziecko w bezpośredni związek z jego społeczeństwem, jako jedno ogniwo wielkiej całości obecnej i przeszłej, i to nie na podstawie frazesów i luźnych szczegółów, tylko na podstawie realnych faktów, niezliczonych i szczegółowych, a przecież tworzących jeden wielki układ.

Dalej, żaden z przedmiotów humanistycznych nie nadaje się tak dobrze jak język do zauważenia i stwierdzenia z jednej strony jasno określonej stałości tworów i typów, a z drugiej ich nieustannego przeobrażania się, czyli nieustannego, ogólnego rozwoju: każdy twór i każda kategoria językowa posiada z jednej strony całkowitą, niezależną od jednostki określoność i wartość, ma taki a taki wygląd i znaczenie, a z drugiej strony, jak widać z porównania języka

różnych ludzi, zawodów, okolic i epok, podlega nieustannej ewolucji. Łatwo to na przykładach wykazać. A ta ewolucja wykazuje stałą prawidłowość, bo każdy fakt, czy szczegółowy czy ogólny, sprowadza się do przyczyn różnego rzędu, jak to znowu łatwo pokazać.

Tylko jedno wielkie zastrzeżenie. Taki sposób prowadzenia «nauki» języka ojczystego, to jest takie z niego korzystanie jest naprawdę możliwe dopiero z dziećmi starszymi, może dopiero w dwu ostatnich latach szkoły średniej, przedtem zaś «nauka» języka ojczystego powinna być przygotowaniem do tego, dzielącym się na dwie fazy: pierwsza ma nauczyć dobrze mówić, czytać i pisać; druga ma «budować gramatykę», to znaczy doprowadzić na podstawie obiektywnej obserwacji łatwo dostępnych zjawisk do uświadomienia sobie zasadniczej budowy i roli języka.

3.

Stąd wynika, a raczej może wyniknąć praktyczne znaczenie nauki języka w wychowaniu młodego człowieka w ogóle, wprawdzie raczej pośrednie, ale mimo to wcale doniosłe. Jest rzeczą konieczną, aby młodzieniec zdał sobie jasno sprawę z zasadniczego faktu ewolucji życia, odbywającej się za pomocą jednostkowych tworów, które również wykazują i stałość, i rozwój. Dotyczy to zarówno całego świata zjawisk fizycznych jak psychicznych, świata przyrody jak ducha. Istotne zrozumienie tej właściwości życia, objawiającej się we wszystkich jego zakresach, da mu także tę tak potrzebą ogólną orientację wobec nieskończonego bogactwa szczegółów, prądów i sprzeczności życia ludzkiego; da mu w każdym razie pewien punkt oparcia.

Po wtóre chodzi o to, aby życie, rozkładające się na tak zwaną obiektywną stronę doświadczenia, to jest otaczający nas świat, i subiektywną, to jest wewnętrzny świat naszego ja, znowu niejako połączyć w jedność; chodzi o to, aby zrozumieć, że są to jak gdyby dwie strony wielkiej jedności, że w każdym razie człowiek przedstawia w sobie na małą skalę tę jedność. Otóż nic może nie nadaje się tak do tego celu, jak wniknięcie w język, który jako funkcja zarazem fizyczna i psychiczna człowieka, stoi na granicy tych dwu

zakresów doświadczenia, rozpadających się dla pospolitego ujęcia na dwa odrębne światy.

Oczywiście szkoła może dać tylko przygotowanie i podstawy do przyszłej orientacji życiowej i do wyrobienia sobie zwartego poglądu na świat czyli filozofii, ale takie podstawy, mocne i prawdziwe, gruntujące młodzieńca silnie z jednej strony w realizmie,a z drugiej w idealizmie, są i konieczne i możliwe do przyswojenia. Trzeba tylko, aby także w szkole naprzeciw dosyć zwartej nauki przedmiotów przyrodniczych postawić zwarty system przedmiotów humanistycznych i pokazać, że nie tylko nauka przyrody, ale także nauka kultury dopuszcza i wymaga traktowania i ujmowania ścisłego, a najlepiej do tego nadaje się — na razie przynajmniej — język.

4.

Z dziedziny szkolnej przechodzimy do naukowej, do wykazania, jakie znaczenie ma językoznawstwo dla innych nauk humanistycznych czyli duchowych.

Nauka o języku ma bardzo ważną rolę pomocniczą w badaniu kulturalnego rozwoju człowieka, w szczególności dla tzw. prehistorii, dla socjologii, wreszcie dla logiki i psychologii. Prehistoria każdej grupy ludzkiej, plemiennej, narodowej, szczepowej, rasowej itd., skończywszy na całej ludzkości, czyli nauka o kulturalno-historycznym rozwoju ludzi, o tym, jak się każda kultura rozwinęła i ustaliła, rozporządza wprawdzie rozmaitymi środkami, ale im dalej się cofamy w przeszłość, tym te środki stają się niklejsze, rzadsze i badanie tym większe wykazuje luki na każdym kroku. Dla bardzo odległych epok pozostają już tylko szczątki materialnej kultury, zachowane w wykopaliskowych resztkach dawnych siedzib i cmentarzy. Można wprawdzie powiedzieć, że przecież człowiek mocą nieprzerwanie kontynuowanego związku pokoleń przedstawia i posiada w sobie cały przeszły swój rozwój, którego jest dziedzicem i wynikiem, zatem także cały ubiegły rozwój swej kultury. Zapewne, tylko że jak pokolenia następują po pokoleniach, tak i stany i warstwy kultury nieustannie się zasuwają jedne na drugie, krzyżując się do tego i plątając w najrozmaitszy sposób. I jak niepodobna w jakiejś dzisiejszej jednostce ludzkiej lub grupie odnaleźć konkret-

nie i indywidualnie jej przodków sprzed kilku, kilkunastu lub kilkudziesięciu lat tysięcy, tak niepodobna w dzisiejszej ich kulturze odnaleźć jasny obraz dawniejszej kultury. Cóż np. pozostało w nas z pogańskiej religii, z całej, nie tak znowu bardzo odległej wiary przedchrześcijańskiej i z całego kultu pogańskiego? W określonej postaci tylko luźne i drobne przeżytki; a tak samo we wszystkich innych dziedzinach.

Otóż tu zgłasza się do badacza język, jedyny wytwór ludzkiej kultury, który w takim stopniu przedstawia bezpośredniość i całość rozwoju. Wystarczy przypomnieć językoznawstwo indoeuropejskie i wszystkie fakty z odległej przeszłości tego szczepu, jakie wydobyło, a o jakich inne nauki historyczne nic przedtem nie wiedziały.

Ponieważ język jest systemem znaków, obejmującym całość życia psychicznego i będącym tego życia zewnętrznym wykładnikiem, więc jest rzeczą jasną, że ma i musi mieć doniosłe znaczenie w badaniu całej mechaniki życia psychicznego, psychologii, zarówno indywidualnej jak zbiorowej, i logiki, która się przecież posługuje i wyraża środkami językowymi. Wystarczy przypomnieć sąd logiczny a zdanie językowe; zaś dla psychologii to, jak trudno dostępna jest skomplikowana mechanika życia psychicznego dla bezpośredniego eksperymentu. I tu oddaje język ogromne usługi.

5.

Rozszerzając widnokrąg możemy teraz i dalej stwierdzić, że badanie języka ma bardzo zasadnicze i doniosłe znaczenie dla wszystkich nauk w ogóle, bo w nim są złożone elementy ludzkiego poznania w najszerszym tego słowa znaczeniu. I to jest może najważniejsze.

Uprzytomnijmy sobie tylko, że na długo przed wszystkimi i jakimikolwiek «naukami», a tak samo «religiami» i «sztukami», istniały w człowieku, w jego codziennym życiu, elementy tego wszystkiego, zaczątki i podstawy, ustalone w postaci językowych tworów jako ich znaków towarzyszących.

Przed religiami, wyznaniami, kościołami i teologiami istniały pojęcia i wyrazy, oznaczające tajemnicze, zagadkowe dla człowieka siły i moce, różne czary, dobre i złe duchy, boga lub bogów, ducha

i duszę, życie po śmierci, różne nieba i piekła... Jak wiele uczy badanie takich wyrazów jak *duch*, *dusza*, *animus*, *anima*, *Seele*, *bóg*, *deus* i tak dalej bez końca!

Na długo przed jakąkolwiek «psychologią» powstawały i istniały pojęcia i wyrazy, oznaczające *ducha*, *duszę*, *myśl*, *zmysły*, *czucie*, *wolę*, *chęci*, *pojęcia* i tak dalej.

Zanim powstała jakakolwiek «teoria poznania», były już w głowach i w języku *czucia*, *wyobrażenia* i *sądy*, *pojęcia* i *wspomnienia*, *prawda* i *pewność*, już *znano*, *poznawano*, *wątpiono*...

Przed kodeksami, ustawodawstwem i filozofią prawa oraz teorią etyki istniały pojęcia i wyrazy dla *prawa* i *krzywdy*, dla *zła* i *dobra*, *zbrodni* i *cnoty*, *obowiązku*, *winy* itd., itd.

Czy mówiąc o *księżycu*, *miesiącu*, *pełni* i *nowiu*, *słońcu*, jego *zachodzie* i *wschodzie*, o *niebie* i *gwiazdach*, itd., itd., myślimy i pamiętamy o tym, że to są odwieczne, stare jak ludzkość, elementy «astronomii»?

Czy nazywając tyle zwierząt i roślin, drzew i kamieni, skał i wód, różnych sił i zjawisk fizycznych... zdajemy sobie sprawę z tego, ile to w nich złożonego «poznania przyrodniczego»; ile to rzeczy i zjawisk poznano, rozeznano, uporządkowano przed wszelkimi «szkołami, katedrami, laboratoriami i naukami»? A kto to zrobił? Niezliczone pokolenia naszych nieznanych przodków.

Przed wszelką zawodową «poezją» i «poetami» istniała od praczasów twórczość poetyczna, objawiająca się w rytmice mowy, asonancjach i aliteracjach, rymach, porównaniach i przenośniach, itd. bez końca. Bezimienna, niezamierzona, mocna jak życie i śmierć poezja.

A raczej: w r a z z tymi objawami życia ludzkiego rozwijało się to wszystko, to co nazywamy nauką i filozofią, religią i poezją... Wszystkie one brały i biorą istniejące już p r z e d  n i m i, to znaczy zanim się jako takie wytworzyły, i złożone w języku pojęcia — i biedzą się z nimi.

Cała dola i niedola człowiecza, całe długie, pełne męki, łez, tęsknoty, radości i zachwytów dzieje życia i kultury ludzkości są odbite i złożone w języku — całe to mozolne spinanie się ku świadomości, ku poznaniu, moralności i zachwytowi piękna, ku abstrakcji,

uogólnianiu, pojęciom...; wszystkie te trudy nędznych, nagich, ciemnych istot, wyciągających się od swego rdzenia rękami, wzrokiem i myślą z nieprzemożną tęsknotą ku Czemuś i przez to Coś z niepokonaną siłą ciągniętych; całe to zmaganie się Wszechżycia z nicością poprzez drobne, jednostkowe kruszyny, nazywane żywymi istotami.

I dopiero teraz, po długiej odbytej drodze, zwolna, zaczyna «nauka» na nowo nawiązywać do języka, do obiektywnych faktów wszelkiego poznania w nim złożonych, a zaczyna to robić dlatego, że w dziedzinie duchowej, w filozofii, w ogólnym poglądzie na świat i w swym stosunku do obu stron doświadczenia oddaliła się od rzeczywistości i zaszła na manowce. Trzeba więc uczyć się z języka dziejów i istoty własnego poznania, ale przy tym trzeba z drugiej strony pamiętać o jego względności, tyranii raz ustalonej formy, o większej lub mniejszej nieistotności jego obiektywizacji, czyli ucząc się z niego i posługując się nim, coraz więcej się z jego więzów wyzwalać. Przyrodnicy, patrzący z góry na inne nauki, a szczycący się «ścisłością» swoich, zapominają zbyt często o tym nieuchronnym medium językowym, w jakie się ubiera nie tylko ludzkie w ogóle, ale tak samo i ich poznanie, i o tym wielkim ciężarze spuścizny językowej z jej ustalonymi środkami i kategoriami.

Ale z tych wszystkich rozważań wypływa świadomość, ile się da wydobyć z języka dla nauki i filozofii, dla zrozumienia związku między nauką, religią i sztuką oraz dla jasnego zdania sobie sprawy ze związku między codziennym życiem człowieka i tym jego «praktycznym poznaniem» a «poznaniem naukowym»! A stąd znowu płynie świadomość ogólnie wychowawczej doniosłości tego dla człowieka! Trzeba tylko to raz przecież zrozumieć i w wyższych klasach szkoły średniej, a następnie w całej pełni w uniwersytecie wprowadzić kurs nauki o kulturze jako przedmiot obowiązkowy dla wszystkich, przy czym język jako część kultury, a zarazem jej tak ważny środek i ogólne odbicie, powinien być w odpowiedni sposób uwzględniony.

6.

W ten sposób zrozumiemy i wyzyskamy znaczenie języka i nauki o nim, jako pomostu między naukami przyrodniczymi a duchowymi i koniecznego łącznika, bo całe poznanie człowieka, cała jego świadomość we wszystkich zakresach życia rozbiła się na dwa światy, jak gdyby nie mające związku z sobą. Przyczynia się do tego także teoretyczny podział nauk na dwie grupy, rzucony z wysokiej trybuny i skwapliwie powtarzany, na nauki nomologiczne, czyli o charakterze ogólnym, i idiologiczne, czyli o charakterze indywidualnym — do pierwszych mają należeć przyrodnicze, do drugich przeważnie duchowe, w których rzekomo fakt indywidualny stoi na pierwszym planie.

Zapewne, że podział nauk na przyrodnicze i duchowe czyli kulturalne nasuwa się sam przez się; zapewne, że przeważna część nauk humanistycznych, jak historia lub historia literatury, stoi dotąd na stanowisku całkiem różnym od przyrodniczego i do żadnych uogólnień nie doszła — ale mimo to śmiem twierdzić, że owo kryterium nomologiczno-idiologiczne jest nie do użycia jako zasadnicze stanowisko i że nie świadczy o wielkiej głębokości myśli jego twórców.

I w zakresie zjawisk przyrodniczych fakt indywidualny nie jest czymś w zupełności obojętnym, bo jednostkowe układy są cechą rzeczywistości, a bez indywidualnych układów nie byłoby — przynajmniej w dziedzinie życia organicznego — rozwoju czyli ewolucji.

I w zakresie zjawisk kulturalnych fakt indywidualny sam przez się jest obojętny, także tutaj chodzi przede wszystkim o typy i ogólne prawa. I językoznawstwo, stojące niejako na granicy obu działów nauki, zaczyna wchodzić na tę drogę, to znaczy formułować wielkie uogólnienia; zaś o podrzędnym znaczeniu jednostkowych faktów wobec typów i pojęć gatunkowych świadczy sam język jak najwyraźniej. Toteż nauka o języku może być pomocna, i to bardzo, swoim zbyt jednostronnym siostrom z lewej i prawej strony.

7.

Jak wszystko, tak i świadomość oraz najwyższa znana nam jej forma, to jest samowiedza czyli autoświadomość człowieka, podlega rozwojowi. Oczywiście w zakresie tej samowiedzy najwyższym i najtrudniejszym — jak wykazują dzieje filozofii — stopniem jest samowiedza myśli ludzkiej, to jest autoświadomość poznania intelektualnego, religijnego i artystycznego. I tu znowu staje do ataku myśl językoznawcza. Wydobywa się samowiedza tego wykładnika, wytworu i zarazem narzędzia myśli, jakim jest język. A ponieważ rozporządzamy tutaj faktami jasno określonymi, łączącymi się w jeden zwarty i bogaty układ, przede wszystkim zaś mającymi przy całej subiektywności źródła zgoła obiektywny charakter, przeto widoki powodzenia — oczywiście względnego — są tu może większe niż indziej. W każdym razie dążenie językoznawstwa do wzniesienia się na poziom prawdziwej nauki, do wyjścia z przygotowawczej fazy kronikarsko-anegdotyczno-biograficznej, a wejścia w fazę filozoficzno-uogólniającą może mieć zasadnicze znaczenie dla innych nauk duchowych czy kulturalnych.

Dlatego zrozumiałą jest coraz żywiej odczuwana potrzeba, aby jak najprędzej, jak najzupełniej i jak najdokładniej zarejestrować cały obecnie jeszcze dostępny materiał mowy ludzkiej w jej nieskończonych odmianach; to znaczy, aby zorganizować ogólnoludzką pracę językoznawczą i dać jej do jej wywodów, dalszych wysiłków i uogólnień, możliwie pełny i pewny materiał. Zadanie jest gigantyczne, ale konieczne i godne ludzkości; dlatego też inicjatywa Polskiej Akademii Umiejętności w Międzynarodowym Związku Akademii, chociaż na razie tylko w postaci rzuconej myśli pod obrady, powinna by znaleźć nie tylko oddźwięk ale i urzeczywistnienie.

Oczywiście o ile nie będzie trwała długo epoka wodzenia się za łby różnych grup europejskiej ludzkości.

## Semantyka[1] a gramatyka[2]

### Nauka o znaczeniu w obrębie nauki o języku

Przystępując do omówienia zjawisk, będących przedmiotem semantyki czyli nauki o znaczeniu tworów językowych, wypada zacząć od ogólnych rozważań na jej temat, i to w związku z pojęciem i składem gramatyki. Sprawa wchodzi bowiem bardzo głęboko w pojęcie, stan, zadania i układ całej nauki o języku i nie można jej pominąć, zwłaszcza że inaczej trudno zrozumieć, dlaczego dotychczas semantyka ma pewniejszy tytuł niż treść samą. Żeby jednak nie rozrywać ciągu mych artykułów o zjawiskach językowych i nie rozsadzać ich treści, daję to, co można uważać za wstęp do omówienia zjawisk semantycznych, osobno.

Od końca XIX wieku podjęto z różnych stron energiczne usiłowania, aby głębiej wniknąć w istotę zjawisk językowych, i to nie tylko w ich rozwój, przeobrażanie się czyli ewolucję, ale także w ich aktualną rolę, funkcję i znaczenie. Te usiłowania, aby zdać sobie lepiej niż dotychczas sprawę z przedmiotu badania, z dotyczących pojęć i celów, i żeby, w ślad za tym, wydobyć ogólne prawa językowe, przybrały oczywiście po części postać walki z panującymi dotąd zapatrywaniami i sposobami przedstawienia. Nic zatem dziwnego, że rozgorzała też walka i robią się wysiłki, aby odwieczną skorupę tradycyjnej gramatyki, w XIX wieku nieco odnowioną, rozbić i zastąpić nową, stosowniejszą formą. Burzenie rozpoczęto z kilku stron

---

[1] Ta nazwa, wprowadzona przez Francuzów na podstawie greckiego *sēmantikḗ*, przyjmuje się coraz bardziej i wypiera dawniejszą nazwę *semazjologia*, urobioną w XIX wieku przez Niemców, którzy zresztą dzisiaj używają przeważnie swojskiego terminu *Bedeutungslehre*. Spotyka się też nazwę *semiotyka*, która się może powołać na greckie *sēmeiotikḗ*, tylko że ten wyraz miał u Greków znaczenie lekarskie. Szwedzki językoznawca Noreen używa nazwy *semologia* dla zgodności z *fonologią* i *morfologią*; de Saussure rozróżniał *semantykę* od *semiologii*, rozumiejąc przez tę ostatnią w ogóle naukę o znakach. Po polsku mówimy *nauka o znaczeniu*, dokładniej *o znaczeniu tworów językowych* (bo pospolite *o znaczeniu wyrazów* jest za ciasne), ale obok tego używamy też nazwy *semantyka*, jako poręcznej i giętkiej (por. *semantyczny*), bo do *znaczenni* trudno się zapalić — może zresztą tylko mnie wskutek wieku.

[2] Język Polski IX, 4 i 5 (wrzesień — październik i listopad — grudzień 1924).

i, o ile przynajmniej mowa o gramatyce naukowej, można powiedzieć, że stara budowa jako całość leży już prawie w gruzach. Ale nowej jeszcze nie ma; ba, nie ma jeszcze ustalonego i powszechnie przyjętego projektu, jest dopiero, żeby się tak wyrazić, wystawa projektów, a raczej pomysłów do projektów. Sądzę też, że dzisiaj jeszcze mało kto zdaje sobie sprawę z tego, do jakiego stopnia musi się zmienić stara, a jak będzie wyglądać nowa postać gramatyki. W ogóle najlepiej by było i samą nazwę gramatyki pozostawić na wyłączną własność praktycznym podręcznikom, zwykłym zbiorom wzorów odmiany itd.

W samym niejako środku tej wytężonej, nawet gorączkowej pracy stoi sprawa semantyki. Mówiąc z ręką na sercu, trzeba przede wszystkim bez ogródek wyznać, że semantyki naprawdę dotąd nie ma. To, co powiedziałem w r. 1903 we wstępie do pracy «Semazjologia czyli nauka o rozwoju znaczeń wyrazów. Jej stan obecny, zasady i zadania»[1], że wprawdzie się dużo mówi i pisze o semantyce, ale że jej samej jak nie ma tak nie ma, można i dzisiaj powtórzyć. Przybyło od tego czasu wiele prac, ogólnych i szczegółowych, zajmujących się zagadnieniami znaczeniowymi, ale semantyka w postaci ogólnie uznanej dotąd się nie wytworzyła. Ten dział jest ciągle prawdziwym utrapieniem językoznawców, a zwłaszcza gramatyków, to jest tych biedaków, co chcą lub muszą pisać podręczniki gramatyki, które by były ostatnim wyrazem nauki, no a także mody i elegancji.

Wiadomo, że są od dawna mniej lub więcej ustalone działy: głosownia czyli fonetyka, odmiana czyli fleksja, słowotwórstwo i składnia czyli syntaksa; wiadomo, że te działy wyglądają inaczej w gramatykach praktycznych, a inaczej w naukowych, inaczej w opisowych, a inaczej w historycznych, itp.; wiadomo, że obecnie wygląd i układ tych działów są już mocno zachwiane, ale ostatecznie trwa jeszcze ciągle ich postać tradycyjna i używa się jej w braku lepszej. Ale o ile chodzi o semantykę, to równie dobrze wiadomo, że dotąd w ogóle nie było i nie ma jakiegoś ustalonego jej planu i że gramatyki tego działu zazwyczaj wcale nie zawierają. Mamy wprawdzie kilka

---

[1] Odb. z Eos, Lwów 1903.

książek mieniących się semantykami ogólnymi, mamy mniej lub więcej obszerne rozdziały, poświęcone tym zjawiskom w ogólnych dziełach o języku; jest cały szereg rozpraw i książek, poświęconych szczegółowym dziedzinom i zagadnieniom semantycznym oraz ich teorii i systematyce; co więcej, jest kilka wielkich, najnowszych «gramatyk» z osobnym działem, zatytułowanym «nauka o znaczeniu», a nawet w szkolnych podręcznikach spotykamy coraz częściej ustępy o znaczeniu wyrazów. Ale cóż z tego! Wszystko to są dopiero śmiałe lub nieśmiałe próby, a tak bardzo różnorodne, że na razie zwiększają zamieszanie, tym więcej, że przeważnie łączą się z próbami nowego układu czy to gramatyki, czy to nauki o języku w ogóle.

Może najlepiej będzie przypatrzyć się przede wszystkim paru takim próbom.

Postawmy na czele, jako najłatwiejszą do oceny, wielką gramatykę francuską duńskiego lingwisty Nyropa: Grammaire historique de la langue française, która na pozór rozwiązała zadanie, bo na pięć tomów całości jeden, czwarty[1], jest poświęcony semantyce, która w ten sposób już zewnętrznie, rozmiarami swymi, staje równorzędnie obok głosowni, odmiany, słowotwórstwa i składni. Ale cóż?! Po pierwsze: podczas gdy tamte działy są rzeczywiście i niewątpliwie głosownią, odmianą i składnią specyficznie języka francuskiego[2], to semantyka nie jest wcale specyficznie francuską, tylko ogólną z przykładowym materiałem francuskim, a to gruba różnica[3]. Jest to całkiem inne nastawienie, zupełnie innego rzędu niż w stojącej obok głosowni itd. Z semantyką francuską Nyropa ma się rzecz podobnie jak z psychologią języka polskiego prof. Bau-

---

[1] Kopenhaga 1913.

[2] Oczywiście i w tych działach jest niejedno, co nie jest specyficznie francuskim, ale to co innego, p. następny przypisek.

[3] Oczywiście i tu znajdzie się to i owo, co może uchodzić za specyficznie francuskie, ale to co innego. Może porównanie lepiej to wyjaśni niż określenia. Mogę opisywać danego człowieka albo jako swoistą jednostkę, albo jako przedstawiciela gatunku ludzkiego. Otóż i w jednym i drugim wypadku będą cechy i osobnicze, i gatunkowe, ale w pierwszym wypadku będzie chodzić o ich swoisty wygląd i zespół, w drugim zaś przeciwnie.

douina de Courtenay[1], która wcale nie jest specyficznie polską, tylko mniej lub więcej ogólną z polskimi przykładami. A po wtóre: nie ujmując wcale prof. Nyropowi zasługi, bystrości, dowcipu, wielkiego oczytania oraz daru zajmującego przedstawienia, trzeba powiedzieć, że całe ujęcie jest powierzchowne, w układzie brak jakiejś istotnej zasady podziału (z czego zresztą autor sobie zdawał sprawę), tak że ani pod względem systematyki, ani pod względem wnikania w istotę zjawisk ta ogólna semantyka z przykładami francuskimi nie może być przewodnikiem. Układ jest taki: I. Znaczenie wyrazu. II. Zmiana znaczenia. III. Wartość wyrazów. IV. Zakres wyrazów. V. Metonimie. VI. Metafory. VII. Eufemizmy. VIII. Asymilacja. IX. Imiona własne. X. Wyraz a rzecz.

W szczególności:

I. Znaczenie wyrazu: dźwięk a znaczenie; względność znaczeń; wieloznaczność; homonimia (tak zwana dwuznaczność); synonimia (bliskość semantyczna, znaczenia podobne); antonimia (znaczenia przeciwne); jednostki semantyczne; elipsa; znaczenie ukryte (tzw. les idées latentes, elementy znaczeniowe, nie wyrażone bezpośrednio).

II. Zmiana znaczenia: uwagi ogólne; przyczyny zmian (rzecz; ugrupowanie społeczne; nastrój psychiczny; wyraz tj. zmiany znaczenia pod wpływem związków i postaci wyrazu); szerzenie się nowych znaczeń; zmiany zewnętrzne tj. zmiany znaczenia, którym towarzyszą także zmiany w wyglądzie, odmianie, akcentacji, pisowni itd. wyrazu.

III. Wartość wyrazów: wzmacnianie i słabnięcie; degradacja (pogarszanie się, podupadanie znaczeń: wyrazy oznaczające ilość, stopień, jakość itd.; nazwy zawodów, rzemiosł, zajęć itd.; tytuły zaszczytne; rozmaite wypadki); polepszenie; wyrazy obojętne.

IV. Zakres wyrazów: uwagi ogólne; zwężanie znaczenia; rozszerzanie znaczenia; wyrazy konkretne a oderwane.

V. Metonimie: uwagi ogólne; całość a część; przedmiot a jego zawartość; materiał a rzecz zrobiona; wytwórca a wytwór; metalepsa (to co poprzedza za to co następuje); wyrazy oderwane (nazwy czynności, jakości, uczuć, wyrazy konkretne).

[1] w pierwszym wydaniu «Języka polskiego» w Encyklopedii Polskiej Akademii Umiejętności, 1915.

VI. Metafory: uwagi ogólne; używanie przenośni; źródła przenośni.

VII. Eufemizmy: uwagi wstępne; środki eufemiczne; eufemizmy zabobonne (istoty wyższe, rzeczy święte, zwierzęta, choroby, śmierć); eufemizmy grzeczności (wady i kalectwa, zbrodnie, kary, bicie, różne wypadki); eufemizmy przyzwoitości (części ciała, miłość, odchody itd., choroby); fałszywe eufemizmy; eufemizm a moralność; eufemizm a gramatyka.

VIII. Asymilacja: uwagi wstępne; etymologia ludowa; spływanie i pochłanianie; podstawianie; wpływ rymu.

IX. Imiona własne: uwagi ogólne; nazwy (imiona) osób, narodów, miejsc.

X. Wyraz a rzecz: przyrodzoność, przejrzystość i konwencjonalność znaczeń (wyrazy rozpatrywane jako nazwania danych rzeczy); wyrazy opisujące (tj. właściwe nazwania, dające mniej lub więcej ścisły opis rzeczy); przebranie (déguisement: są to wyrazy nie nazywające rzeczy wprost, zatem niewłaściwe); znaczenie dosłowne a rzeczywiste (zanik znaczenia etymologicznego; rozbiór etymologiczny; znaczenie dosłowne); dysproporcja (niestosowność) i katachreza; niedostateczność wyrazów; apoteoza słowa.

Już z tego przeglądu widać, że cały układ jest przypadkowy i zewnętrzny; autor nazywa skromnie swój podział praktycznym, ale on jest raczej chaotyczny. Mnóstwo w książce ciekawego materiału, lektura łatwa i zajmująca, ale rozjaśnienia problemu, zgłębienia zjawisk itd. nie znajdziemy. Co do całości dzieła, to poza włączeniem doń semantyki układ jego jest mniej więcej tradycyjny.

Całkiem innym rzutem jest ogromne dzieło prof. Noreena, poświęcone językowi szwedzkiemu, ojczystemu językowi autora[1]. Noreen łączy świadomie gramatykę szwedzką, pojętą bardzo szeroko, z nauką o języku w ogóle, traktując rozpatrywanie zjawisk językowych w ogóle jako podkład i tło, na którym się wznosi przedstawienie języka szwedzkiego. Całość jest podzielona na trzy części: fonologię, semologię i morfologię, podział całkiem naturalny i stosowny wedle Noreena, bo język jest wytworem sztuki, może być zatem

[1] Vårt språk. Nysvensk grammatik i utförlig framställning, Lund 1903 i nast.

rozpatrywany jak każde dzieło sztuki ze stanowiska materiału, treści i formy; materiałem są głoski, treścią (zadaniem, celem) znaczenie, formą budowa języka i wszystkie jego formy. Stosunek tych trzech działów gramatyki objaśnia N. konkretnym porównaniem, jak ten sam gmach można rozpatrywać jako kompleks materiału, cegieł itd., dalej jako kawiarnię, wreszcie jako tak a tak urządzony i wzniesiony budynek w stylu maurytańskim.

Każdy dział gramatyki Noreena rozpada się, prócz ogólnego ufundowania i wprowadzenia, na dwie części: a) opisową (deskryptywną) i b) etymologiczną względnie historyczną.

N. słusznie czyni nadając pojęciom i terminom morfologia i semologia (semantyka) znaczenie i rolę ogólniejsze niż dotychczas i rozumiejąc przez pierwszą nie tylko odmianę i słowotwórstwo, ale także składnię, przez drugą nie tylko historię znaczenia wyrazów, ale w ogóle znaczenie wszelkich tworów językowych, form, kategorii i powiedzeń. Toteż jego semologia wygląda całkiem inaczej niż np. semantyka Nyropa albo jakakolwiek inna semazjologia. Tylko, pytam, co znaczy w takim razie ten trzeci dział, fonologia? Jeżeli to nie jest ani morfologia, ani semologia, to czymże ma być? Jeżeli twór głoskowy (głoska, grupa głoskowa, zgłoska, wyraz, powiedzenie) czyli fonem(a), jak go nazywa N.[1], nie jest morfemem, ani sememem, jak N. nazywa znaczeniowy odpowiednik morfemu, to czymże jest w takim razie? Noreen powiada: materiałem fizycznym. Przepraszam, materiałem mowy ludzkiej jest głos i elementarne czucie. Sam N. zresztą sobie zaprzecza sprzeciwiając się np. nazywaniu głoski e l e m e n t e m  j ę z y k o w y m, skoro z innego stanowiska trzeba by tak nazywać także wyraz jako elementarny składnik w morfologii i «wypowiedzenie» jako element w semologii[2]. N. przeciwstawia fonologię semologii[3], a morfologię nazywa najważniejszym centralnym działem gramatyki[4], ale ponieważ podstawą wyróżniania morfemów jest znaczenie i ponieważ N. w semologii rozpatruje znaczenie wszystkich tworów morfologicznych, przeto fonologia pozostaje de facto na zewnątrz. N. stara się zalecić swój podział i wy-

---

[1] nadając temu terminowi znaczenie ogólne.

[2] Noreen-Pollak: Einführung in die wissenschaftliche Betrachtung der Sprache (Halle 1923), str. 42. [3] tamże 199. [4] tamże 41.

kazać jego wyższość nad wszystkimi dotychczasowymi: «ponieważ —powiada —przyjmuję jako najmniejszą samoistną jednostkę w semologii wypowiedzenie (Ausspruch) jak w morfologii wyraz, a w fonologii głoskę, ponieważ zatem w pewnym sensie dzielę gramatykę na naukę o głosce, o wyrazie i o wypowiedzeniu, mogłoby się na pierwszy rzut oka zdawać, że mój podział zgadza się przynajmniej zasadniczo, ze zwykłym podziałem szkolnej gramatyki (na głosownię, naukę o wyrazie, naukę o zdaniu). Ale to się tylko tak zdaje, bo różnica jest istotna. A mianowicie: przy podziale na naukę o głoskach, wyrazach i zdaniu te trzy części zajmują się *różnymi przedmiotami*, to jest składnikami wyrazów, wyrazami samymi i połączeniami wyrazów; natomiast u mnie wszystkie trzy części mają *z tym samym przedmiotem* do czynienia, to jest z językiem jako całością, tylko rozpatrywanym z trzech *różnych stanowisk*: mianowicie jako materiał, forma i treść, zupełnie tak jak można np. budynek rozpatrywać w jego trojakiej właściwości jako kompleks ceglany, piętrowy dom w stylu maurytańskim i lokal kawiarniany»[1].

Różnica i postęp są istotne, ale tylko w porównaniu ze zwykłym podziałem, natomiast rozpatrując układ Noreena sam w sobie, trzeba zrobić mu zarzut, który on do innych stosuje, że brak mu jednolitej zasady podziału. Słusznie zrobił, rozciągając pojęcie morfologii i semologii także na składnię, niesłusznie, wyłączając z nich fonologię, która w ten sposób znalazła się za drzwiami. Tymczasem nie ulega najmniejszej wątpliwości, że głoski, a tym bardziej ich grupy (zgłoski itd.) są *tworami*, układami wprawdzie elementarnymi, ale niemniej rzeczywistymi *układami*, zatem należą do morfologii, pojętej jako nauka o tworach językowych. Jest oczywiście jasną rzeczą, dlaczego mimo to głosownia nawet u tych uczonych, którzy uznają, że system gramatyki i jej podział muszą się opierać na zasadniczym rozróżnieniu *formy (postaci)* i *treści (znaczenia)*, znajduje się poza nawiasem. Bo w głoskach i ich połączeniach, o ile nie tworzą wyrazów, form i powiedzeń, a także ich części mających mniej lub więcej samodzielne znaczenie, czyli używając ter-

[1] tamże 203.

minu już powszechnie przyjętego, o ile nie tworzą morfemów, trudno jest odkryć znaczenie. Dlatego też głosek i grup głoskowych nie uważa się za morfemy. Przyznaję, że jest to zrozumiałe; ale nie jest słuszne. Że trudno określić znaczenie tworów głoskowych, to jeszcze nie racja, żeby im go odmawiać, bo, gdyby głoski nic nie znaczyły, to jakimże cudem mógłby język w ogóle coś znaczyć? Niewątpliwie znaczenie głosek a znaczenie wyrazów jest innego rzędu, ale jest — zresztą wystarczy na razie wspomnieć o akcentuacji, w ogóle o rytmice fonetycznej, którą traktują w głosowni, a która przecież całkiem oczywiście coś znaczy!

Przechodzę teraz do semantyki u Noreena, czyli, jak on ją nazywa, semologii. Podobnie jak fonologia i morfologia, rozpada się u niego semologia przede wszystkim na dwa działy:

1. opisowa, której przedmiotem są różne rodzaje sememów, ich ugrupowanie i ich stosunek do reprezentujących je form językowych;

2. etymologiczna, która się zajmuje historycznym rozwojem sememów i wynikającym stąd ich stosunkiem.

Opisową czyli deskryptywną semologię dzieli N. na dwie części:

A. nauka o kategoriach, której zadaniem jest przedstawić, jakie kategorie znaczeniowe dany język posiada; tu stoją na pierwszym planie kategorie odmiany, to jest kategorie, które wywołały określone odmiany czyli typy fleksyjne i w nich znalazły swój wyraz;

B. nauka o funkcji, mająca przedstawić, które kategorie znaczeniowe wyrażają się w poszczególnych formach językowych.

Co się tyczy stosunku tak pojętej semologii, której lwią część tworzy nauka o znaczeniu kategorii i form wyrazowych i innych, to N. podkreśla, że to co Francuzi zazwyczaj nazywają semantyką, a Niemcy semazjologią, odpowiada ogółem biorąc tylko etymologicznej semologii jego systemu czyli historii znaczeń wyrazów. W każdym razie trzeba zaznaczyć, że u N. na pierwszym planie stoi nie indywidualne znaczenie wyrazów, jego struktura i rozwój, tylko znaczenie kategorii i form wyrazów i zdań, i to tak dalece, że właściwie niewiele już pozostaje dla morfologii. Można zatem powiedzeń, że semologia Noreena to przede wszystkim rozpatrzenie wszelkich ka-

tegorii, typów i form wszelkich wyrazów i powiedzeń; zatem jego ogólna semologia stara się dać podstawy nauki o znaczeniu tego, co jest przedmiotem morfologii i składni w zwykłym użyciu tych pojęć. N. rozwija przy tym wielką bystrość, zdolność ścisłych rozróżniań i określeń, ale także pewne zamiłowanie do schematów i logistyki.

Zupełnie innego rodzaju jest, względnie ma być, olbrzymie dzieło znanego holenderskiego duchownego, van Ginnekena[1]. Autor sam tak je określa: jest to pierwsza próba możliwie zupełnego wywodu współczesnych dziejów rozwoju jednego języka kulturalnego z chaotycznego splotu socjologicznych i psychologicznych przyczyn[2]. Zasadniczy podział jest: *A*. Struktura socjologiczna. B. Struktura psychologiczna. W szczególności:

Struktura socjologiczna:

1. narzecza lokalne (rodzime i napływowe), familijne (język dzieci, kobiet, starców) i socjalne (języki różnych grup społecznych, zawodów itd.) w związku z psychologią dyferencjalną;

2. współdziałanie tych różnych narzeczy w języku powszechnym i piśmiennym pod wpływem

*a*) historycznych przesunięć w tych grupach,

*b*) umyślnych (świadomych) dążności językowych (szkoła, poprawność i usuwanie obcych naleciałości, reformy ortograficzne),

*c*) stosunków międzynarodowych.

Struktura psychologiczna:

1. głosownia, 2. nauka o wyrazach, 3. nauka o zdaniu. W szczególności obejmuje:

Głosownia najmniejsze psychiczne składniki, ma więc działy:

*a*) opis artykulacji i głosek,

*b*) głosownia historyczna,

*c*) nauka o akcencie i ekspresii (także o wierszu, rymie itd.),

*d*) mowa gestów i mimika,

W ogólnym przedstawieniu także *e*) pisanie i czytanie, *f*) elementarne zaburzenia językowe.

---

[1] Handboek der Nederlandsche Taal, Nijmegen (Nimwèges) 1913 i nast. Całość obliczona na 7 tomów in 4°. Ile dotąd wyszło, nie wiem.

[2] w autoreferacie w Indogermanisches Jahrbuch III 2.

Nauka o wyrazach, to jest o najmniejszych jednostkach językowych i ich strukturze:

*a*) urabianie i budowa wyrazów,
*b*) używanie wyrazów (energetyka itd.),
*c*) zmiana znaczenia,
*d*) indywidualny zasób językowy,
*e*) wyrazy dla poszczególnych dziedzin pojęciowych,
*f*) kategorie wyrazów i poddziały.

Nauka o zdaniu i innych tworach:

*a*) mówienie a myślenie,
*b*) przysłowia,
*c*) gramatyka,
*d*) składnia ogólna,
*e*) składnia szczegółowa i indywidualna,
*f*) złożone zaburzenia językowe.

W końcu ma być mowa o utworach wyższego rzędu czyli gatunkach literackich; innymi słowy ostatni tom dzieła ma przedstawić rozwój tych wszystkich psychologicznych i socjologicznych dążności ku dzisiejszym rodzajom literackim sztuki, zarówno górnej, jak ludowej.

Stałe uwzględnianie psychologii myślenia. Krytyka dawniejszych gramatycznych i syntaktycznych podziałów. Wynikiem jest, a raczej ma być, nowy system gramatyczny, w którym znajdzie wygodne i właściwe miejsce zarówno prostacki żargon uliczny, jak najwznioślejszy język poetycki, gdzie się pomieszczą wszystkie logiczne i nielogiczne odchylenia[1].

Muszę zaznaczyć, że cała druga część zdaje się dotąd[2] się nie ukazała, ale układ przedstawia się dosyć szczegółowo i jasno w zapowiedzi autora, a następnie w układzie, jaki przyjął dla swych sprawozdań z ogolnego językoznawstwa w Indogermanisches Jahrbuch.

Cóż zatem powiedzieć o tym ujęciu i o tym planie? Widzimy, że w dziale, nazwanym strukturą socjologiczną, autor daje społeczne, etniczne i kulturalno-historyczne podstawy, na których wyrósł dany język kulturalny, co — przynajmniej po części — dotychczas było

[1] tamże. [2] pisane w r. 1924

traktowane w osobnych «dziejach języka». Zaś dział, nazwany strukturą psychologiczną, zawiera właściwą «gramatykę», tylko w bardzo szerokim ujęciu. Autor wciela w swój system także to, co dotychczas było przedmiotem stylistyki, retoryki i poetyki, także patologii mowy, ale ogólny podział pozostał tu ten sam co dawniej: głosownia, nauka o wyrazach (= morfologia w zwykłej terminologii), nauka o zdaniu (= składnia z wyłączeniem nauki o użyciu form i kategorii gramatycznych). O ile chodzi o głosownię, to stosują się zatem do niego te same zarzuty, któreśmy już podnieśli: nie ma racji nazywać głoski i inne czynniki fonetyczne «najmniejszymi składnikami psychicznymi», a wyrazy «najmniejszymi jednostkami językowymi», bo jedne i drugie są tworami językowymi, różnego rzędu oczywiście. Nie ma też racji do wyłączania niejako głosowni z systemu gramatyki i traktowania jej na całkiem innych prawach. W działach następnych układ nie jest ani przejrzysty, ani dosyć przemyślany; nie wiadomo np., czy części morfologii, nazwane «Wortbildung» i «Wortgebrauch», odpowiadają częściom głosowni, nazwanym «opis» i «historia», i jak, czy też nie; nie wiadomo, dlaczego w dziale składniowym mają osobne miejsce przysłowia, a inne utarte powiedzenia nie, i dlaczego to ma figurować w składni.

Słusznie robi autor, że zwraca uwagę na literaturę, ale jest to na razie tylko zapowiedź, i nie wiadomo, jak chce pogodzić językoznawstwo z nauką o literaturze. Rozszerzył też autor ramy swego układu tak, że łatwo może pęknąć, a przynajmniej przestać być systemem.

Jako gotowa całość leży przed nami książka znanego francuskiego gramatyka Ferdynanda Brunota pt. «La pensée et la langue. Méthode, principes et plan d'une theorie nouvelle du langage appliquée au français»[1], potężny tom o XXXVI + 954 stronach wielkiej ósemki. Autor przedstawia we wstępie genezę swego dzieła. Jest to wielki akt oskarżenia dotychczasowej «gramatyki», w szczególności nauki języka ojczystego w szkołach i byłoby z pewnością rzeczą bardzo zajmującą także dla czytelników Języka Polskiego zapoznać się z biegiem myśli i zarzutów Brunota, ale ponieważ te wywody mają tylko pośredni związek z przedmiotem mego artykułu,

[1] Paryż 1922.

więc pozostawiając może innej sposobności zaznajomienie czytelników z nimi, przedstawię krótko, jak autor określa swój cel i zadanie i jak je rozwiązuje. Otóż autor nie miał zamiaru dać «gramatyki przejrzanej i poprawionej», tylko «metodyczny wykład danych myślowych (des faits de pensée), rozważonych i uporządkowanych w stosunku do języka oraz środków wyrażenia, im odpowiadających»[1]. Toteż zasada jego brzmi: między najróżnorodniejszymi formami wyrażenia, między najbardziej niewspółmiernymi znakami tworzy związek wspólna myśl (idée), którą te znaki mają wyrażać, to więc, sens, należy wziąć za ośrodek i podstawę podziału[2]. Trzeba się zatem zdecydować na metodę grupowania faktów nie wedle znaków, tylko wedle myśli, oczywiście nie myśli samych w sobie i samych dla siebie, tylko w stosunku i ze względu na ich znaki[3].

Z zarzutów, które autor przewiduje i na które z góry odpowiada, jeden nas szczególnie zajmuje ze względu na uwagi, zrobione wyżej co do głosowni. Oto, powiada Brunot, zrobią mi taki zarzut. W języku są całe kategorie faktów, a zwłaszcza fakty fonetyczne, w których duch nic nie znaczy, a więc nie będą mogły wejść do tej klasyfikacji. Ale, pyta B. słusznie: czy one miały jakikolwiek związek z dotychczasowym układem? A po wtóre, równie słusznie, zauważa, że w miarę rozwoju nauki odkrywają się istotne związki między myślą a intonacją powiedzenia, które wyjaśniają ważne fakty w rozwoju głosek, i w ogóle coraz widoczniejszy się staje wpływ czynników psychicznych na fonetykę.

A teraz, jak wygląda ten nowy system w wykonaniu? Dokładny spis treści obejmuje 30 stron dużej ósemki, i to drobnego druku, nie podobna go zatem tu dawać, byłoby to zresztą dla naszego celu zbyteczne. Trzeba pamiętać, że B. nie ma wcale pretensji wkraczać tu w dziedzinę ścisłego językoznawstwa, bo mu chodzi przede wszystkim o reformę nauki języka ojczystego. Toteż fonetyką nie zajmuje się wcale, odsyłając do książki Grammonta, zapewne dlatego, że fonetyka gra bardzo małą rolę — słusznie czy nie — w podręcznikach i w nauce szkolnej, więc też niewiele w niej jest do reformowania. Cała zaś książka Brunota daje obszerny ma-

[1] str. VII. [2] str. XVIII. [3] str. XX.

terial wyrazów, form, zwrotów, zdań itd. francuskich, ułożony wedle znaczenia, przy czym uwzględnia wiele rzeczy, których w zwykłych, szkolnych gramatykach wcale nie ma. Semantyka jest zatem u niego, żeby się tak wyrazić, w organicznym połączeniu z morfologią i składnią, ale — ogółem biorąc — uwzględnia tylko kategorie, a nie indywidualne znaczenie wyrazów. Tego zatem, co się zwykle przez semantykę rozumie, u niego — znowu ogółem biorąc — nie ma. To co powiedziałem wystarczy może dla charakterystyki książki i układu względnie metody. Nie wdając się w ocenę tej metody ani przesądzając jej przyszłości, zaznaczę, że materiał jest ogromny, oryginalnie przedstawiony, wiele nowych rozróżnień i stanowisk, tak że mimo woli ma się ochotę porównać całą klasyfikację Brunota z klasyfikacją Noreena. Byłaby to ciekawa i pouczająca praca.

Po przyjrzeniu się tym czterem wybitnym dziełom zagranicznym rzućmy jeszcze okiem na znaną dobrze naszemu nauczycielstwu książkę prof. Szobera, która niedawno się ukazała w drugim wydaniu[1]. Ma to być podręcznik uniwersytecki w układzie systematycznym, który tak się przedstawia:

Głosownia: A. opisowa, B. funkcjonalna[2], C. wiadomości z głosowni historycznej.

Nauka o znaczeniu wyrazów: podstawowe kategorie znaczeniowe wyrazów, a mianowicie, po kolei, 9 tzw. części mowy, od rzeczownika począwszy a skończywszy na partykułach. Jest to zatem tylko semantyka głównych kategorii.

Nauka o budowie wyrazów obejmuje tak zwane słowotwórstwo z wciągnięciem różnych rzeczy, zazwyczaj omawianych w odmianie, np. liczby i rodzaju, postaci czasownika (aspektów), przy czym autor uwzględnia stronę znaczeniową.

Nauka o odmianie wyrazów.

Nauka o zdaniu zawiera po staremu także znaczenie przypadków i form czasownika (z wyłączeniem rzeczy omówionych w słowotwórstwie).

---

[1] Gramatyka języka polskiego. Wyd. drugie, Lwów—Warszawa 1923.

[2] Nazywanie pierwszej «fonetyką», a drugiej «psychofonetyką» łatwo może nasunąć fałszywe wyobrażenia.

Widzimy zatem, że autor dowolnie ograniczył pojęcie znaczenia do wyrazów, i to tylko do tzw. części mowy, wskutek czego rozdział, nazwany nauką o znaczeniu wyrazów (semantyką), obejmuje wszystkiego kilkanaście stron; zresztą zaś znaczenie jest podporządkowane momentowi formalnemu. Lepiej było trzymać się w całości tradycyjnego układu, bo wtedy nie miałoby się do autora szczególnych pretensji. Zresztą nie zatrzymuję się dłużej nad systemem prof. Szobera, bo jego krytyczna ocena wynika po części z dotychczasowych uwag, a po części wyniknie z dalszych.

Prawda, że łatwiej jest mówić, jak się coś powinno zrobić, niż to rzeczywiście wykonać, ale prawdą jest także, że chcąc coś dobrze i celowo wykonać, trzeba dobrze wiedzieć czego się chce, jasno sobie zdawać sprawę z zadania. Tymczasem omówione próby pokazują wyraźnie, że językoznawstwo jeszcze nie wie dobrze, jak ma naukowa gramatyka wyglądać. Dlatego może lepiej było dyskusję, rozpoczętą w Niemczech przez Riesa, dalej i wszechstronniej prowadzić, niż to rzeczywiście zrobiono.

Ries ogłosił w r. 1894 książkę pt. «Was ist Syntax?», która wywołała żywy ruch wśród lingwistów. Wprawdzie Ries poddał przede wszystkim krytyce pojęcie i układ składni, ale w ścisłym związku z układem całej gramatyki oraz z uwzględnieniem pojęcia semantyki. Występując energicznie przeciw dotychczasowym metodom badań syntaktycznych i dotychczasowemu układowi, przedstawił R. następujący system gramatyki:

| przedmiot | | wyraz | zespół wyrazowy[1] |
|---|---|---|---|
| | | nauka o wyrazach | składnia |
| forma: | nauka o formach | I. nauka o formach wyrazów (kategorie wyrazów i odmiana) | III. nauka o formie tworów syntaktycznych |
| znaczenie: | nauka o znaczeniu | II. nauka o znaczeniu wyrazów, ich kategorii i form | IV. Nauka o znaczeniu tworów syntaktycznych |

[1] Ries: Wortgefüge.

R. oparł tedy swój system na zasadniczym wyróżnieniu 1) formy i znaczenia, 2) wyrazu (Einzelwort) i zespołu wyrazowego (Wortgefüge). Równorzędnie obok par: «wyraz — nauka o wyrazach» i «zespół wyrazowy — składnia» stoi para: «głoska — głosownia», ale nią się R. dalej wcale nie zajmuje. Co się tyczy działu II, to nauka o znaczeniu wyrazów, ich rodzajów i form odmiany obejmuje wedle R. synonimikę i zmianę znaczenia oraz wszystko, co się da w dziedzinie znaczenia wyrazów systematycznie opracować; synonimikę i zmianę znaczenia należy także przy formach fleksyjnych wyraźnie uwzględniać.

Książka Riesa znalazła żywy oddźwięk w kołach językoznawców; uznając dodatnie strony jego wystąpienia, słuszność krytyki dotychczasowych systemów składni oraz zaniedbanie działów II i III, twierdzono, że się nie da w praktyce przeprowadzić rozdział między działem II i IV w duchu żądań Riesa. Mówiono, że R. ma zapewne teoretycznie słuszność, stosując ściślej zasadę układu gramatyki wedle «formy i treści», co zresztą odpowiada staremu rozróżnianiu «äussere und innere Sprachform» Humboldta, oraz przeciwstawiając wyraz i zespół wyrazowy, ale że praktyka stawia nieprzezwyciężone trudności. Jednakowoż Ries podtrzymuje swoje stanowisko jeszcze i teraz[1], a ma wiernego wyznawcę w Blümelu[2].

Trzeba przyznać, że zasada, aby znaczenie form i różnych kategorii wyrazowych należało do składni, to jest do jej działu znaczeniowego, o ile, ale tylko o ile rzeczywiście wchodzi w pojęcie tzw. rządu i zgody, zresztą zaś do nauki o wyrazach, jako jej dział znaczeniowy, przedstawia w praktyce ogromne trudności. Bo np. każdy prawie przypadek musiałby figurować w obu działach, np. biernik *dzień i noc* w zwrocie *on pracuje dzień i noc* należałby do nauki o znaczeniu wyrazów, jako luźne określenie czasowe, ale w zwrocie *on bawił w mieście dzień i noc* do nauki o znaczeniu tworów składniowych, jako obiekt związany z czasownikiem. Ale trzeba uznać, że zarówno dotychczasowa praktyka, aby to wszystko traktować w składni, jak i nowsza, aby to wszystko wyłączyć

[1] Indogermanische Forschungen 34, Anzeiger 1 nstt.
[2] Einführung in die Syntax, Heidelberg 1914.

ze składni i traktować jako dział nauki o wyrazach, także nie wytrzymują ściślejszej krytyki.

Jak wielki jest kłopot i jak wielkie pomieszanie pojęć, widać z dwu artykułów ludzi, uważanych powszechnie za «bystrych i myślących». Jeden — to artykuł zmarłego w czasie wojny R. M. Meyera pt. «Der Aufbau der Syntax»[1], który miał usunąć trudności układu Riesa i dać system bezsporny, drugi — Lercha odpowiedź pod takim samym tytułem[2].

Układ Meyera:

1. Głosownia = nauka o elementach i czynnikach[3] zgłoski. Elementy: głoski; czynniki: akcent, asymilacja...
2. Nauka o formach = nauka o elementach i czynnikach wyrazu. Elementy: pierwiastek i pień, prefiks i sufiks; czynniki: wyrównanie, różniczkowanie...

   Dwa działy: a) nauka o odmianie, b) nauka o słowotwórstwie.
3. Składnia = nauka o elementach i czynnikach gotowej mowy (der fertigen Rede), to znaczy rzeczywiście mówionej. Elementy: klasy i formy wyrazów, zespoły wyrazowe, zwłaszcza zdania; czynniki: szyk, ton i rytm...
4. Nauka o znaczeniu (semiotyka) = nauka o elementach i czynnikach języka (der Sprache), wziętego jako jednolity organizm. Elementy: zasadnicze wyobrażenia (Grundanschauungen), kategorie; czynniki: specjalizacja, uogólnianie, zmiana zabarwienia (Umfärbung).

Jest to układ bardzo słaby; przytaczam go jako żywy przykład panującego chaosu, skoro nawet bystrzejsze i śmielsze głowy mogły w taki nikły sposób reagować na wystąpienie Riesa.

A teraz Lerch, uczeń Vosslera. Występuje stanowczo przeciw współrzędnemu umieszczaniu nauki o znaczeniu jako czwartego działu obok tamtych trzech. Nie, powiada L.: składnia jest nauką o znaczeniu. Fonetykę i morfologię można od biedy traktować czysto formalnie, ale składni nie można pisać, nie wchodząc w zna-

[1] Germanisch-Romanische Monatsschrift 5, 640 nstt.

[2] Germanisch-Romanische Monatsschrift 7, 97 nstt.

[3] to jest czynniki przeobrażające (umgestaltende Faktoren).

czenie zdań i ich członów. A skoro syntaksa = nauka o znaczeniu, to nie ma osobnej semantyki jako czwartego działu gramatyki. Gramatyka naukowa należy przecież do nauk duchowych (humanistycznych) powinna być zatem nauką o sensie i treści tworów językowych, czyli nauką o znaczeniu; a więc nauka o znaczeniu (= składnia) nie jest jakąś sobie częścią gramatyki, tylko właściwą gramatyką. Reszta gra rolę podrzędną; fonetykę i morfologię można traktować w formie dodatków czy wstępnych uwag, jeżeli w ogóle da się je traktować bez względu na moment treściowo-znaczeniowy! Głoski i formy zmieniają się tylko w związku mowy; przy głosowni trzeba ciągle wkraczać w morfologię i składnię, a przy morfologii w składnię. Toteż jedynym ściśle naukowym sposobem przedstawienia gramatyki jest układ ściśle historyczny czyli chronologiczny, zastosowany przez Brunota w «Histoire de la langue française» i przez Vosslera w «Frankreichs Kultur im Spiegel seiner Sprachentwicklung», gdzie zjawiska fonetyczne, fleksyjne i syntaktyczne nie są rozrywane. Obok tego jednak jest uprawnione przedstawienie, polegające na tym, że mówiący noszą w duszy (w wyobrażeniu) system głoskowy, fleksyjny i zdaniowy. Ale podczas gdy przedstawienie głosowni i odmiany, które chce nawiązywać do znaczenia, ciągle musi wkraczać w składnię, to przedstawienie składni ma tę wyższość, że ma wystarczające uzasadnienie samo w sobie (dass sie rein aus sich selbst und in sich selbst geschehen kann): zdanie ma bowiem zupełne, skończone w sobie znaczenie, które głoska i wyraz posiadają tylko wtedy, jeżeli noszą charakter zdaniowy, a wtedy należą do składni.

A więc L. przeprowadza w gruncie rzeczy zrównanie: gramatyka = składnia = nauka o znaczeniu. Rozpoczyna od zdania, włączając w przedstawienie sukcesywnie wyrazy i ich formy. I to ma być wedle niego «system naturalny, organicznie wyrosły, bo zdanie wyprzedza swoje części»! Szkoda, że autor nie dodał: tak jak kura wyprzedza swoje jaje! Nawiasem wspomnę, że ten sposób przedstawienia spotyka się od dawna w szkolnych podręcznikach na Zachodzie, zwłaszcza angielskich i amerykańskich.

Nie przeprowadzam szczegółowej krytyki, bo ta będzie zawarta implicite w poniższych ogólnych uwagach zasadniczej natury. Wspomnę tylko jeszcze, ponieważ i tak już było wymienione nazwisko

Vosslera, że ten monachijski romanista bierze wybitny udział w całym ruchu odnowienia językoznawstwa, zarówno teoretycznymi rozważaniami, jak przeprowadzaniem w praktyce swych zapatrywań.

Vossler jest wyznawcą Crocego, przeciwnikiem pozytywizmu ewolucjonizmu, psychologizmu i wreszcie socjologizmu. Jego stanowisko w patrzeniu się na zjawiska językowe to indywidualizm, moment twórczy, styl i sztuka, co wszystko określa mianem idealizmu. Dla niego właściwą, zasadniczą postacią gramatyki jest odpowiednio pojęta stylistyka — to dopiero jest właściwa nauka o języku i przez to staje ona obok nauki o literaturze. Vossler przeprowadza swoje zapatrywania, a zwalcza przeciwne, w sposób żywy, zajmujący, bardzo cięty i pełen siły przekonania — nic dziwnego, że ma licznych zwolenników, i to nie tylko wśród swych uczniów. Ale, kiedy czytelnik zacznie się zastanawiać i chce sobie jasno zdać sprawę z zapatrywań Vosslera, to nieraz znajdzie się w kłopocie i w wątpliwości. Zresztą już a priori można tego oczekiwać. Bo jasna, niewątpliwa, bezpośrednio do wszystkich przemawiająca prawda musi być w zgodzie z przedmiotem, z istotą i całością odnośnych zjawisk, innymi słowy, z rzeczywistością, a jakieś ciasno określone i przez to samo ogrodzone stanowisko tym być nie może. Twórczość? zapewne, wszakże życie cale jest twórczością; kultura? oczywiście, bo cóż innego wytwarza człowiek? indywidualizm? naturalnie, przecież bezpośrednio rzeczywistość życiowa objawia się jednostkowo; intuicja, wyobraźnia, sztuka? niewątpliwie, boć to chyba w życiu przeważa. Można zatem i trzeba widzieć i szukać tego wszystkiego w języku, ale to nie wyklucza wcale automatyzmu i mechanizmu psychicznego i społecznego, ani roli życia zbiorowego, ani czynnika praktycznie-racjonalnego, ani nawet logiczno-poznawczego... Nie tylko nie wyklucza, ale nie może w żaden sposób wykluczać: gdyby tego nie było wcale w języku, toby w ogóle nie było tworów językowych.

A więc patrzmy zawsze na całą rzeczywistość — nie możemy jej chwycić w sposób absolutny, to wiadomo — jesteśmy wobec niej zawsze jakby wobec bardzo odległego łańcucha górskiego, widzimy ją tylko przez gęstą zasłonę naszego jednostkowego bytu, ale starajmy się przynajmniej z całą siłą i z całą świadomością, na jakie

nas stać, nie przytykać nosa do jednego miejsca zasłony, nie wbijać oczu w jedno jej mętne oczko i nie wrzeszczeć przy tym: ja, ja widzę rzeczywistość — bo wszakże to samo mniej więcej robią inni, nazywając się nawzajem osłami i kłamcami; robi się tylko zgiełk i wrzask, a wreszcie zaczynają argumentować pięści! Trzeba przede wszystkim zobaczyć zasłonę, odsunąć się od niej i jej się dobrze przypatrzyć.

Wracając do Vosslera: jak nas nie zbawiło zrównanie Lercha »semantyka = składnia (= gramatyka)», tak nas nie zbawi jego zrównanie «gramatyka = stylistyka». Bo dla wielu ludzi, nie najgłupszych, stylistyka jest jeszcze = *x*. A teraz próbujmy się posunąć naprzód.

---

Słusznie podkreślono energicznie i z różnych stron konieczność jasnego przeciwstawiania, a zarazem stałego i konsekwentnego uwzględniania obu stron faktu językowego, jakimi są postać i znaczenie. Twór językowy jako taki jest właśnie znakiem pewnej treści, istnieje razem z nią i przez nią i nadaje jej zarazem pewien obiektywny byt. Jest więc rzeczą jasną, po pierwsze, że oba te momenty, te obie strony tworu językowego, trzeba mieć zawsze na oku, a po wtóre, że trzeba je uwzględniać przy w s z y s t k i c h tworach językowych. Wynikają tedy dwa pojęcia naukowego rozpatrywania: nauka o postaciach czyli formach w szerokim tego słowa znaczeniu, albo morfologia, a z drugiej strony nauka o treściach czyli znaczeniach albo semantyka. Pojęcie postaci stosuje się do wszystkich tworów językowych, nie tylko do wyrazów, ale równie dobrze do głosek i do zdań; wszędzie mamy przed sobą określoną postać i strukturę. To jest tak jasne, że wystarcza zwrócić tylko na to uwagę, aby uznać, że pojęcia morfologii nie można zacieśniać do wyrazów, bo ono się stosuje do wszystkich tworów językowych, od względnie najprostszych do najbardziej złożonych.

Tak samo rzecz się ma ze znaczeniem i z semantyką, ale tu różne przyczyny złożyły się na daleko większą trudność jasnego zdania sobie sprawy ze stanu rzeczy. J e d n ą jest odwieczne pomieszanie pojęć i terminów, spowodowane tradycyjną gramatyką. Od wieków cała masa faktów znaczeniowych była utopiona w nauce

o wyrazach i w składni i eo ipso wyłączona z góry z semantyki Gramatyka, zajmując się przede wszystkim tak zwanymi formami ucząc ich i podając dla nich reguły i wzory, używa naprawdę ciągle pojęć i podziałów znaczeniowych, bo wszakże stwierdzanie, wyróżnianie i określanie form polega na ich znaczeniu albo na tak zwanej funkcji gramatycznej. Części mowy, przypadki, liczby i rodzaje, osoby, czasy i tryby, strony i aspekty (postacie) czasownika, zdanie i różne jego rodzaje, części zdania itd., itd. — wszystko to są pojęcia znaczeniowe, a nie formalne, a raczej znaczeniowo-formalne, w każdym zaś razie nie czysto formalne. Ale z jednej strony są to pojęcia bardzo ogólne, oderwane i funkcjonalne albo stosunkowe, nie uwzględniające indywidualnej treści odnośnych tworów, tylko ich treść kategorialną. Tak zwane formy językowe są to ogólne kategorie pojęć i stosunków, jakie w danym języku — po części w ogóle w mowie ludzkiej — się wyrobiły i dlatego właśnie, że konkretnej treści wyobrażeniowej jest w nich bardzo mało, albo i nic zgoła, uważa się je za formy. Z drugiej zaś strony trzeba pamiętać, że cały zasób tych «form» wraz z odnośnymi nazwami odziedziczyliśmy po gramatyce klasycznej, grecko-łacińskiej, czyli że system, wyrosły na języku greckim, i to niezbyt doskonały, został przeniesiony na inne języki, mające po części bardzo różną budowę i system. I wskutek tego owe pojęcia i terminy grecko-łacińskie stawały się po części naprawdę czysto formalnymi, pozbawionymi wszelkiej treści, jakimś kiepskim rusztowaniem, po którym ludzi zmuszano chodzić, wmawiając w nich, że to wyborna gimnastyka! [1]

---

[1] Dlatego to, nawiasem, ale bardzo poważnie mówiąc, tak trudno i nudno dzieciom się nimi zajmować! Jeden krok niebaczny ze strony nauczyciela, a wchodzi się w logikę, rzecz ważną, nawet swoiście piękną, ale trudną i wymagającą dojrzałego umysłu, wyćwiczonego w ścisłym myśleniu, i wprawy w abstrakcji. Zresztą logiczne myślenie tworzy tylko drobną i raczej wtórną cząstkę całego tak zwanego myślenia językowego, nawet u dorosłych. W dodatku zaś owa logika czy logistyka gramatyczna bywa często wątpliwej wartości. Wystarczy przypomnieć odwieczną kwestię, ile jest części mowy i jakie, a następnie przypatrzyć się ich określeniom (definicjom)! Doszło np. do tego, że prof. Szober uczy, że zaimki mają treść, ale nie mają znaczenia. Nie przytaczam tu tego wcale dla taniego dowcipu. Po pierwsze, wcale mi nie do śmiechu; po wtóre, wszyscy wiedzą, że prof. Szober jest językoznawcą myślącym, gramatykiem usilnie się

Koniec końców przyzwyczajenie do patrzenia się na tak zwane formy przede wszystkim właśnie jako na formy było tak silne, że nawet kiedy stary system zaczął nie wystarczać, kiedy się zdecydowano z nim zerwać i kiedy zaczęto słowotwórstwo układać wedle momentów znaczeniowych, a ze składni wyłączać naukę o użyciu przypadków, form czasownikowych itd. i wcielać do morfologii jako naukę o znaczeniu i używaniu form wyrazów, to i tak nie połączono tego z semantyką czyli nauką o znaczeniu tworów językowych w ogóle! Ten brak związku widać nawet u Noreena, chociaż w innej, niejako odwrotnej postaci, jak o tym już mówiłem.

A stylistyka i retoryka? Tu leży druga przyczyna owego pomieszania pojęć, bo znowu całe mnóstwo materiału znaczeniowego było z dawien dawna rejestrowane w stylistyce i retoryce, a przez to samo z góry już niejako z ewentualnej semantyki wyłączone. Powodem było logiczne i estetyczne określanie i klasyfikowanie odnośnych faktów, zajmowanie się nimi dla celów praktycznych (nauka wymowy, poprawnego stylu, interpretacja poetów), przeoczenie, że te same zjawiska występują nie tylko w sztuce, to jest w tworach literackich, ale równie dobrze, koniecznie i stale w języku w ogóle, bo cała różnica w używaniu np. przenośni w poezji a w mowie codziennej polega tylko na większym lub mniejszym stopniu świadomości i tak zwanej «sztuczności».

Tymczasem zaś, po trzecie, w kołach językoznawców zaczęto coraz usilniej myśleć o semantyce, zwłaszcza wskutek rozwoju i rosnącej ważności, a zarazem trudności badań etymologicznych. Znajdując się wobec nieprzejrzanego bogactwa znaczeń wyrazów i naj-

starającym o ulepszenie starego systemu; po trzecie, każdy rozumie i widzi doskonale wielką różnicę między zaimkiem a rzeczownikiem: ta różnica jest nam niejako bezpośrednio dana i ją to właśnie chciał prof. Szober mocno uwydatnić. Ale określać takie rzeczy w podręcznikach szkolnych można i należy (jeżeli należy!) tylko wtedy, jeżeli to można zrobić w sposób bezpośrednio jasny, oczywisty i prosty. Inaczej zaś trud jest stracony, a nawet szkodliwy. Jeżeli to ma być gimnastyka, to jest w każdym razie bardzo karkołomna. Niech ją sobie zresztą uprawiają pełnoletni gramatycy, jeżeli mają do tego ochotę, ale dlaczego zmuszać do niej nie tylko młodzież, ale także dzieci, a nawet stare nauczycielki?

Jak ja Panu Bogu dziękuję, że nie muszę teraz uczyć języka polskiego w szkole powszechnej albo średniej; jak ja Mu dziękuję!

różnorodniejszych, nieraz zgoła nieoczekiwanych zmian i przejść znaczeniowych, zaczęto odczuwać coraz żywiej potrzebę wprowadzenia w ten chaos jakiegoś ładu, systemu i znalezienia jakichś zasad praw ogólnych. Semantykę łączono z wyrazami i ze słownikiem, a rozumiano ją przede wszystkim jako naukę o zmianach czyli o ewolucji znaczeń wyrazów. Zaczęto więc określać logiczny i historyczny stosunek znaczeń wyrazu i szukać przyczyn rozwoju semantycznego we wpływie treści całego powiedzenia (czyli w tak zwanej sytuacji) na znaczenie poszczególnych wyrazów oraz we wpływie całych grup znaczeniowych, w skład których wyrazy wchodzą, dalej w rozwoju (zmianach) kultury albo tak zwanych rzeczy, we wpływie nastrojów, itd. Najwięcej zrobiono oczywiście w dziedzinie najłatwiejszej, to jest w zakresie wyrazów kultury materialnej, badając wygląd i przeobrażanie się różnych grup przedmiotów i rzeczy w związku z odnośnymi nazwami i ich etymologią. Powstało nawet, jak wiadomo, w Niemczech osobne czasopismo, poświęcone tym badaniom, pt. Wörter und Sachen. Tu jednak gromadzono właściwie tylko materiał, uzupełniając słowniki.

Kiedy jednak chodziło o jakieś ogólniejsze ujęcia i «prawa», oraz o wcielenie semantyki do gramatyki, napotykano nieprzezwyciężone trudności. I tak zostało bez mała do dzisiaj. Semantyka wydaje się ciągle jeszcze działem nauki o języku, nie mającym żadnego związku z innymi, co dowodzi jakiegoś zasadniczego braku i fałszywego stanowiska czy ujęcia. Ja osobiście starałem się wydobyć i jasno określić przynajmniej związek między słowotwórstwem a «nazywaniem» rzeczy i zmianą znaczenia w wymienionej już pracy «Semazjologia...» i w niemieckiej «Wortbildung und Wortbedeutung»[1], ale, chociaż po długim prawie ignorowaniu obecnie coraz częściej spotyka się przyznanie, że te prace posiadają zasadnicze znaczenie, to na ten punkt bodaj najmniejszą zwracano uwagę. Właściwie do dziś dnia pozostało tak, jak gdyby nie było żadnego związku między tworzeniem nowych wyrazów a zmianą znaczenia, jak gdyby to były dwie dziedziny i dwa przebiegi, nic ze sobą wspólnego nie mające. A to przecież nonsens.

---

[1] Heidelberg 1904.

Po wtóre zaś: ponieważ z góry niejako znaczenie kategorii (części mowy itd.), form i zespołów składniowych, było wyłączone z ewentualnej semantyki, jak o tym wyżej mówiłem, więc nie tylko znowu był brak związku między tymi dwoma działami[1], ale powstała taka sytuacja, że dla tego, co zazwyczaj nazywano semantyką, pozostawało jako przedmiot to, co po części jest najtrudniejsze, a po części i w pewnym sensie najobojętniejsze, mianowicie całe bogactwo szczegółowych, indywidualnych znaczeń. I silono się też to bogactwo opanować. Zapomniano przy tym, że w życiu w ogóle, a tak samo w nauce i w sztuce, chodzi przede wszystkim o gatunki i typy; że ich rozwój odbywa się właściwie przez nieskończone powtarzanie się niezliczonych jednostek, które dlatego, chociaż są właściwe dla rozwoju i dyferencjacji gatunków i typów konieczne i ważne, to brane z osobna, dla siebie samych, prawie nic nie ważą, prawie żadnej roli nie grają, jak to dawno stwierdzono w naukach przyrodniczych[2], a jak należy stwierdzić, także w naukach duchowych — wbrew przesadnie wybujałemu indywidualizmowi XIX wieku! Chcieć niejako wyczerpać bogactwo indywidualnych znaczeń wyrazów i ich indywidualnych przesunięć, i to uważać za zadanie nauki i szukać jakiegoś tajemniczego sposobu na to, to wygląda tak, jak gdyby kto chciał wszystkie dziesiątki, setki tysięcy i miliony ciągle na nowo robionych i używanych przedmiotów, dajmy na to wozów lub pługów, wszystkie ich egzemplarze co do jednego przeglądnąć, zarejestrować, opisać i potem w jakiś wygodny sposób to skondensować i ułożyć. To przecież niemożliwe i niepotrzebne, bo nie chodzi wcale o jednostkowe przedmioty, tylko o typy, które tym samym już tworzą klasyfikację, a reprezentują je typowe okazy; po wtóre zaś chodzi o ogólne, jednolite prawa rozwoju, to jest znowu o typologię ewolucji w tym ciągłym następowaniu nowych jednostek i ich nieustannym przeobrażaniu. I język jest właśnie systemem typów i kategorii z nieprzejrzaną ilością jednostkowych tworów, nieskończoną ilość razy powtarzanych; ba, każdy wyraz z osobna,

[1] także u Noreena, o ile mogę sądzić z wymienionej już książki niemieckiej, bo on tylko przewrócił stosunek i termin.

[2] Co prawda, to przede wszystkim w postaci stwierdzenia dążności utrzymywania gatunku.

każda forma i każde powiedzenie jest już typem i pojęciem gatunkowym obok swej jednostkowej wartości w każdorazowym użyciu — jest to zarazem system znaków.

Czwarta, względnie piąta przyczyna niepewności i niejasności co do stosunku semantyki do całości gramatyki leży w pojmowaniu fonetyki, jak o tym już wspominałem. Kiedy stwierdzono czystą znakowość, konwencjonalność i nieistotność fonetycznych zespołów czyli brzmienia wyrazów i powiedzeń w stosunku do oznaczanej przez nie treści[1], przeoczono, że mimo to te fonetyczne szeregi są naturalnego, biologicznego pochodzenia, że są nierozerwalnie związane z funkcjami całego psychofizycznego organizmu. Przeoczono, że nie tylko przebiegi, stany i nastroje psychiczne wpływają na postać fonetyczną tworów językowych i jej przeobrażanie — to rzecz oczywista i wiadoma —, ale że także fonetyczna strona tworów językowych nie tylko pierwotnie coś znaczyła, ale zawsze coś znaczy. Tylko że twory fonetyczne takie jak głoski itd., chociaż niewątpliwe twory, to jest złożone układy, są prostsze, niż twory wyrazowe i zdaniowe i przyzwyczajono się od wieków uważać je za elementy, za czysty fizyczny materiał! Tymczasem to niemożliwe: gdyby moment «znaczenia» głosek itd. był zasadniczo równy zeru, toć chyba, żeby nie wiem ile ich do kupy naskładać, nie powstałby z nich twór znaczeniowy. Że to «znaczenie» tworów fonetycznych jest innego rodzaju, a raczej innego stopnia, to rzecz oczywista, ale przecież znaczenie całego powiedzenia jest także innego rzędu niż znaczenie osobnego wyrazu lub formy, wchodzących w skład jego.

Nie można zatem w żaden sposób wyłączać fonetyki z dualistycznego rozpatrywania zjawisk językowych pod hasłem «forma i znaczenie», stawiać ją na zupełnie innych prawach, niż resztę działów gramatyki i w ten sposób wyłączać ją de facto z jednolitego naukowego systemu, bo w ten sposób sami sobie ten jednolity system od razu burzymy.

---

[1] Wystarczy wskazać na fakt istnienia różnych języków czyli nazywania tych samych rzeczy całkiem różnymi szeregami fonetycznymi (Por. O zjawiskach i rozwoju języka 8)

Piątą, względnie szóstą ważną przyczynę dotychczasowego chaosu i niejasności poznamy przy omawianiu pojęcia tworów językowych.

(Uwaga. Jako mniej ważne przyczyny, łatwiejsze do wydobycia, ale bardzo rozpowszechnione, można wymienić jeszcze mieszanie ogólnej nauki o języku ze szczegółową gramatyką pewnego języka, cośmy już spotkali u Nyropa albo w systemie Meyera, a następnie szkolną i praktyczną gramatykę z jej specjalnym zadaniem. Jeżeli słusznie można się dziwić, że semantyce tak trudno się ukonstytuować, skoro przecież, przystępując do znaczenia, przystępujemy do zasadniczej strony języka, bo treść tego co się mówi jest właśnie tym, co wywołuje mowę, zatem istotą języka i wszelkich powiedzeń, to na to można by dać taką «praktyczną» odpowiedź, nie pozbawioną pewnego uzasadnienia. Znaczenie, to jest właśnie najważniejsza strona języka, nie gra w gramatyce prawie żadnej roli, bo ona uczy właściwie i przede wszystkim form językowych, to jest odmiany wyrazów, używania ich form różnorodnych, budowy zdań itd. A nabycie potrzebnego zasobu gotowych wyrazów i zwrotów oraz używanie ich we właściwym znaczeniu pozostawia się praktyce i ćwiczeniom, lekturze, słownikowi, rozmowie. Tu trzeba sobie przyswoić i wbić w głowę dostateczną ilość faktów i już, a na to żadna nauka o znaczeniu nie pomoże. Nawet urabianie wyrazów czyli słowotwórstwo, chociaż da się ująć w reguły, odgrywa w gramatyce szkolnej i praktycznej przeważnie rolę niewielką, bo i tu trzeba przede wszystkim nauczyć się dostatecznej ilości gotowych wyrazów, a nie myśleć o tworzeniu nowych. Ten stan rzeczy ma za sobą odwieczną praktykę, musi mieć zatem swoje uzasadnienie. Jeden moment leży w jednostronnym pojmowaniu tak zwanych form jako czystych form, o czym już była mowa. Ale poza tym jest także słuszna racja. Bo rzeczywiście: póki chodzi o praktyczną stronę nauki języków, a więc o to, co stoi na pierwszym i wyłącznym planie uczenia się ich w szkole i w życiu, póty ta metoda jest jedyną — wszystko jedno, czy jest lub czy ma być przy tym mniej lub więcej bezpośrednią, zbliżoną do sposobu, w jaki się uczymy języka ojczystego, czy też bardziej gramatykalną. Bo w każdym razie chodzi o przyswojenie sobie a) struktury

danego języka, b) zasobu wyrazów i wyrażeń, a to drugie musi się zostawić wyłącznie praktyce i ćwiczeniom. Ze znaczeniami ma się do czynienia na każdym kroku, ale, żeby się tak wyrazić, nie tyle przy języku, ile przy przedmiotach szkolnych w ogóle, przy formułowaniu myśli, opowiadaniu, pisaniu zadań, poznawaniu rzeczywistości, w ogóle w życiu. Język gra przy tym wszystkim rolę narzędzia, niezmiernie ważnego i nieodzownego, a chociaż ostatecznie jest tylko systemem znaków treściowych, a nie systemem rzeczywistości, to jednak pospolicie zastępuje jeżeli już nie rzeczy same, to ich pojęcia i wyobrażenia, i dlatego właśnie teoretyczne zajmowanie się wyrazami i w ogóle tworami językowymi wydaje się, a po części i jest, takie nudne. Uczymy się przecież w życiu i w szkole znaczeń jako mniej lub więcej bezpośrednio danych treści, co przecież wychodzi właściwie poza język, więc po cóż te treści rozpatrywać jeszcze raz osobno, językowo czy gramatycznie? I jest coś na tym stanowisku zwykłego rozsądku, a w każdym razie ten stan rzeczy, odbijający się w gramatyce szkolnej, mimo woli wpływał także na gramatykę naukową.)

A teraz, czy to stanowisko «treść i forma, postać i znaczenie» mamy stosować jako zasadę podziału? Otóż nie i nie! To, że rozróżniam te dwie strony, nie znaczy wcale, że je mam rozcinać! Wszelki system naukowy musi odpowiadać rzeczywistości, jeżeli ma być dobry, a rzeczywistością są twory jednostkowe, przy całej swej złożoności jednolite, tak a tak wyglądające, tak a tak się zachowujące, innymi słowy: mające taką a taką żywą postać i taką a taką żywą treść, ale nie rozcięte na dwie połowy osobne! Tak samo twory językowe. Nie można ich zatem, każdy z osobna i wszystkie razem, rozkroić i raz patrzyć na ich «postać», a drugi raz na ich «znaczenie», czyli rozłożyć cały zasób tworów językowych na dwie «nauki», bo to śmierć, pseudosystem, nonsens, a w dodatku tautologia; tylko trzeba patrzyć na każdy twór od razu jako na jednolity twór z obu tych stanowisk.

I w gruncie rzeczy przewodnikiem, wskazówką, a zarazem przestrogą jest tu ta stara, tradycyjna, nieudolna gramatyka, która wydobywała i nazywała formy na podstawie znaczenia. Jak to jest pouczające, jak to prowadzi w sam środek filozofii, ten fakt, że ta

stara, dla nas tak przestarzała i naiwna gramatyka sprzed dwu tysięcy lat zawiera także coś niecoś z istotnego poznania; że mimo to była przez długie wieki zaporą i że trzeba było tyle czasu i wysiłków, aby to sobie uświadomić i nareszcie móc w sposób rozsądny nawiązać do owych starych początków, bardzo jeszcze pierwotnych i grubych, ale polegających na nieuprzedzonych jeszcze (żeby się tak wyrazić) obserwacjach i stwierdzeniach?!

---

Jakże zatem układać dane językowe i jaki system obrać?

Obiektywną rzeczywistością językową jest wypowiedzenie (się), coś znaczące powiedzenie, całość względnie zamknięta tworów różnego rzędu, czyli układ coś znaczących razem i z osobna tworów. Jest to zarazem prawdziwa, chociaż oczywiście, jak wszystko, względna, jednostka językowa, która się może równie dobrze składać z jednego, króciutkiego wyrazu jak z szeregu zdań. Jeżeli przychodzę do domu, dzwonię lub pukam i słysząc, że ktoś wyszedł do drzwi, mówię: *ja*, to to jest powiedzenie. Jeżeli, wszedłszy, mówię: *żebyście wiedzieli, co się stało?!*, a na zapytanie: *no, cóż takiego?* odpowiadam: *zaraz, zaraz, tylko się rozbiorę*, to to są trzy powiedzenia. Jeżeli potem opowiem, co się stało, to to może być także jedno powiedzenie czy wypowiedzenie się[1], złożone nawet z kilkunastu zdań. Zresztą nie chcę tu wchodzić w określanie, co należy uważać za jedno powiedzenie, stwierdzam tylko, że względną jednostką językową nie jest zdanie, w zwykłym tego słowa znaczeniu, tylko powiedzenie.

Mamy zatem następujący szereg zasadniczych, obiektywnie danych tworów językowych: głoska — wyraz — zdanie — powiedzenie — utwór[2] — mowa (narzecze).

Wszędzie mamy do czynienia, po pierwsze, a) z prostymi tworami, b) z ich zespołami (grupami)[3]; po wtóre, a) z ich stanem względnie samodzielnym, niezależnym, b) z ich odmianą; po trzecie, a) z ich stanem aktualnym, obecnym w danej chwili, b) z ich przeszłością czyli historią.

---

[1] termin «powiedzenie» nie jest zbyt zgrabny, ale nie znam lepszego.

[2] Pojęcie «utworu» przeprowadza oczywiście do literatury.

[3] czyli związkami, spojeniami.

A więc:

twory głoskowe, głoski, grupy głoskowe (dyftongi, afrykaty...), zgłoski, grupy zgłoskowe;

twory wyrazowe: wyrazy jednolite (pierwiastkowe), sufiksalne, złożone, zrosty, grupy wyrazowe (najrozmaitsze)[1];

twory zdaniowe: zdania jednolite (jednoczłonowe), proste dwuczłonowe, rozwinięte, grupy zdaniowe;

powiedzenia: sądy, sprawozdania, pytania, odpowiedzi, rozkazy, życzenia... (w tych kategoriach mieszczą się też: przysłowia, powitania i inne formuły językowe...);

utwory: opowiadanie (relacja), pouczenie, rozmowa, polecenie, nagana...;

mowa (język), języki socjalne, zawodowe, narzecza...

Te twory różnego rzędu, jako części żywej całości, jaką jest język, i jako części żywych całości, jakimi są powiedzenia, zachodzą jeden na drugi: twory głoskowe to nie tylko proste (niezłożone) głoski, ale także grupy głosek i zgłosek; twory wyrazowe to także jednostkowe twory jak — pomijając wykrzykniki — *a*, wskazujące *o* (np. *tu o*), *w*, *-ż(e)* itp.; a wreszcie podobne twory zdaniowe i powiedzenia. Ale zachodzą na siebie jeszcze pod innym względem.

Przypatrzmy się mianowicie tradycyjnym pojęciom «fonetyka czyli głosownia, fleksja czyli odmiana i syntaksa czyli składnia». Otóż jest, a przynajmniej powinno być rzeczą jasną, po pierwsze, że fonetyka obejmuje dwie rzeczy: morfologię fonetyczną i semantykę fonetyczną, a po wtóre, że należy wyraźnie odróżniać fonetykę głoskową, wyrazową, zdaniową, powiedzeniową, dialektyczną, żeby wymienić tylko najważniejsze twory[2]. Należy też odróżniać: «fonetyczny» = głoskowy, odnoszący się do tworów głoskowych, a «fonetyczny» = odnoszący się do brzmienia tworów językowych w ogóle. Niby to się samo przez się rozumie, a przecież wyraźne stwierdzenie i rozgraniczenie tych rzeczy jest nie tylko bardzo ważne, ale i bardzo potrzebne.

---

[1] prócz zwykłych grup określnikowych, jak rzeczownik z przydawką itd., także takie np. jak porównania.

[2] obok, oczywiście, fonetyki zgłosek, złożeń, form, pytań itd., itd.

A teraz pojęcie fleksji czyli odmiany, to jest funkcjonalnych modyfikacji tego samego zasadniczo tworu. Otóż, czyż nie ma takiej «odmiany» także w tworach głoskowych? Oczywiście, że tak, bo na tym polega przecież np. tak zwany zależny rozwój głosek. Jest dalej «odmiana» tworów zgłoskowych, wyrazowych (nie tylko przypadki itd.), złożeń itd., a także tworów zdaniowych (np. zmiana szyku) itd. Do tego zważmy, że każda postać «odmiany» polega przecież na różnicy «fonetycznej» i w niej się wyraża. To samo odnosi się wreszcie do «składni», bo składnię, to jest fakt występowania tworów językowych w większych lub mniejszych szeregach i grupach, mamy równie dobrze poza zdaniem, w tak zwanej «fonetyce», w słowotwórstwie, w powiedzeniach itd., i znowu każde ugrupowanie łączy się z faktami «fonetycznymi» i «fleksyjnymi», będąc z nimi koniecznie związane.

Z tego wynika, jak wielka jest względność pojęć głosowni, odmiany i składni i jak wielką ich powszechna stosowalność; tymczasem związano je jakby jakimś istotnym, nierozerwalnym węzłem z poszczególnymi kategoriami tworów! Ponieważ zaś z tego powstaje ogromna niejasność i zamieszanie pojęć, przeto najlepiej dać tym terminom i nieścisłym pojęciom pokój — one tylko szkodzą. Wystarczą nam zupełnie ogólne pojęcia morfologii i semantyki. Fakty językowe rozpatrujemy jako jeden nieprzerwany łańcuch tworów, od najmniejszych do największych, zawsze od razu mając na oku ich wygląd i znaczenie. Jeżeli ktoś koniecznie chce dla «przejrzystości» wprowadzić p o d z i a ł, a nie mówić po prostu po kolei o głoskach, grupach głoskowych, zgłoskach... wyrazach jednolitych (pierwiastkowych), sufiksalnych, złożeniach, przypadkach itd., itd., to może się trzymać zasadniczego wyróżnienia głosek, wyrazów i powiedzeń, ale niech tego nie nazywa po kolei fonetyką, słowotwórstwem, fleksją i składnią, bo to są mętne i krzywe pojęcia.

To jest owa piąta (względnie szósta) ważna przyczyna dotychczasowej niejasności, o której przedtem tylko uprzedziłem.

Nie wyobrażam sobie, żeby powyższe uwagi załatwiały i wyczerpywały sprawę, iżby ta próba wyjaśnienia sobie i drugim dotychczasowego stanu nauki o znaczeniu była wystarczająca; myślę tylko, że to jest jeden krok naprzód na dotychczasowej drodze, a ra-

czej po dotychczasowym staniu w miejscu — nic więcej. Na szczęście, jak to zwykle bywa, robią się teraz z różnych stron równocześnie wysiłki, aby naprawdę ruszyć z miejsca.

Na zakończenie tego przydługiego, chociaż tylko bardzo szkicowego artykułu jeszcze uwaga o stylistyce i rytmice. Zdaje mi się, jest rzeczą jasną, że fakty, mniej lub więcej stanowczo w zakres tych pojęć wciągane, należą zarówno do morfologii jak do semantyki (w ogólnym sensie tych terminów), a po wtóre, odnoszą się do wszystkich tworów językowych. Jak niewątpliwie do faktów językowych, zarówno aktualnych, jak rozwojowych, należy nie tylko zwykły, powszechny typ języka kulturalnego, ale także jego różne odmiany, wyższe i niższe, a dalej wszystkie jego odmiany socjalne (kulturalne i lokalne), tak też należą do nich odmiany związane z momentem twórczości artystycznej, zarówno z jej stroną indywidualnie twórczą, jak z jej gatunkami i typami; wyraża się to — w różnym oczywiście stopniu, ale — w całym zakresie tworów językowych. Moment nastrojów także wszędzie i zawsze gra pierwszorzędną rolę, nie tylko w tak zwanej stylistyce. A to samo, mutatis mutandis, można powiedzieć o zjawiskach rytmicznych, w szerokim tego słowa znaczeniu, zatem także poetycznych.

O zagadnieniach specyficznie znaczeniowych, o tym, co dotąd na tym polu zrobiono, o ich teorii i o teorii odnośnych badań — innym razem.

## Język a literatura[1]

### Wartość nauki o języku dla ogólnego wykształcenia i wyrobienia człowieka

Artykuł, przeznaczony przez śp. Autora dla *Przeglądu Współczesnego,* ogłaszamy w stanie niedokończonym, tak jak go zostawił śp. Rozwadowski w chwili odjazdu do Warszawy — swej ostatniej, do śmierci prowadzącej Go podróży.

*Redakcja Przeglądu Współczesnego.*

1. Poniższa rozprawka, rodzaj nowego, a jak sądzę lepszego i dojrzalszego ujęcia rozprawki z r. 1923 w *Języku Polskim* («Znaczenie nauki o języku»), została wywołana wystąpieniem prof. Kołaczkowskiego w pierwszym zeszycie *Marchołta*, a następnie dyskusją prowadzoną na zebraniach Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego 18 i 25 listopada 1934 r. W związku z atakiem prof. Kołaczkowskiego na przeciążenie polonistów językoznawstwem wykazywał prof. Nitsch, stojąc na gruncie dzisiejszego ustroju studiów, uzasadnienie i potrzebę wymagań w zakresie języka starocerkiewnego i greckiego. Zaś prof. Kołaczkowski pragnie właśnie zmiany dzisiejszego porządku rzeczy i znacznego ograniczenia studiów językowych. Nie atakuje on nauki o języku jako takiej i nie dąży do separacji lub rozwodu odwiecznego małżeństwa literatury i języka, albo raczej nauki o literaturze i nauki o języku, zawartego w kościele filologii, tylko wychodząc z przekonania o konieczności pogłębienia tak zwanej historii literatury, stara się zmobilizować siły, czas i zainteresowanie studentów w tym celu, a w tym dążeniu natyka się na językowe studia polonistów i na ich skargi na nie. Mam przy tym wrażenie, że prof. Kołaczkowski staje na gruncie literatury

---

[1] Przegląd Współczesny, kwiecień 1935.

dopiero wtórnie; że jego prywatny interes jest ogólniejszy, można by powiedzieć filozoficzno-społeczny. Troska o los naszej kultury wobec jej zalewu przez barbarzyństwo i ciemnotę, przez niewiarygodną jeszcze głupotę mas ludzkich, każe mu szukać wszelkich możliwych sposobów wydobycia się z tej powodzi i wypłynięcia na wierzch. A ponieważ jest profesorem literatury i ponieważ wedle powszechnego zapatrywania literatura każdego narodu najlepiej i najwszechstronniej wyraża jego życie duchowe, więc trzeba właśnie za wszelką cenę rozszerzyć i uruchomić, spotęgować i pogłębić obrót kapitału duchowego zawartego w literaturze, jego dopływ, tętno i działanie.

Na trzecim zebraniu Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego w tej sprawie, 9 grudnia 1934 r., zabrałem i ja głos, ale raczej jako outsider, nie zainteresowany bezpośrednio i nie mający do czynienia z kształceniem i egzaminami polonistów. Opierając się na niewątpliwym fakcie, że olbrzymia większość historyków literatury wcale się nie zajmuje ani troszczy o język teoretycznie i jest zupełnie obca lingwistyce, wyraziłem przewidywanie, że długotrwałe małżeństwo nauki o języku i nauki o literaturze zakończy się rozwodem ku obopólnemu zadowoleniu językoznawców i historyków literatury. Wszakże ów zupełny brak zainteresowania i zrozumienia dla lingwistyki, jaki panuje u literatów-filologów (nawet kiedy czasem piszą o języku), wedle wszelkiego prawdopodobieństwa jeszcze się wzmoże teraz, kiedy ogół jest nastawiony «aktualnie i praktycznie», kiedy młodzież hitlerowskich Niemiec «gwiżdże na Goethego», kiedy p. Kaden-Bandrowski ogłasza całą przeszłość literatury z Homerem i Dantem na czele za trupiarnię — pewną pociechą dla przyszłości jest przy tym, że on sam i jego koledzy rychło także przejdą do trupiarni —, kiedy zatem profesorowie literatury, musząc się liczyć z tymi prądami i musząc walczyć z aktualnym nastrojem bronią aktualną, będą musieli uwzględnić przede wszystkim literaturę nowożytną i współczesną. A do tego wystarcza dobra znajomość języka współczesnego, jako środka warażania treści literackich, chociaż oczywiście pełniejsza, szersza i głębsza niż u człowieka «z ulicy».

Poza tym zaś, jako lingwista i jako człowiek, który sam zmaga się od wielu lat ze sobą, aby dojść do jakiejś mocnej filozofii życia, a więc jako człowiek, mający podobny ogólny interes co prof. Ko-

łaczkowski, chciałem go przekonać, że cel, który jemu przyświeca, nie jest i nam obcy; że w obronie studiów językowych w wykształceniu polonistów tkwi coś więcej niż ciasny egoizm fachowców-lingwistów. Jest przy tym rzeczą obojętną, czy każdy profesor takiego czy innego języka zdaje sobie sprawę z tego głębszego i szerszego momentu, jaki prowadzi jego naukę i jaki nią kieruje, bo to zależy od przyrodzonych danych: jeden jest bardziej nastawiony konkretnie i filologicznie, drugi bardziej filozoficznie. Ale ów moment zasadniczy i kierowniczy istnieje w każdym razie i dochodzi coraz bardziej do świadomości lingwistów, a jest wedle mego przekonania tak ważny, że należy go z całym naciskiem i z całą możliwą jasnością wydobyć i określić.

Ponieważ jednak treść mego zamierzonego przemówienia sięgała poza właściwą dyskusję, przeto na wspomnianym zebraniu ograniczyłem się do jej krótkiego i częściowego naszkicowania, zapowiadając ogłoszenie osobnego artykułu, który poniżej następuje.

2. Stary rozdział i przeciwstawienie nauk przyrodniczych i humanistycznych albo duchowych trwa i dzisiaj jeszcze w pełnej sile, dzieląc naukę i uczonych na dwa wielkie obozy. Ponieważ przy tym fizykę, chemię, astronomię, geologię itd. z matematyką na czele nazywa się naukami ścisłymi *(sciences)*, więc tym samym przeciwstawia się historię, filologię, naukę o literaturze, językoznawstwo itd. *(lettres)* tamtym, jako nauki całkiem innego rzędu, nieścisłe, w których liczba, miara, waga i ścisła dedukcja logiczna nie grają zasadniczej roli.

Nie wchodząc w szczegóły ani w ogólną teorię i klasyfikację nauki, można stwierdzić, że wedle powszechnego zapatrywania różnica między tymi obu wielkimi działami ludzkiego myślenia jest ogromna i że odbija się we wzajemnym stanowisku i ocenie przyrodników i humanistów, przynajmniej w praktyce. Przyrodnicy uważają humanistów za mniej lub więcej interesujących panów, za coś w rodzaju metafizyków, fantastów czy artystów, humaniści zaś mają przyrodników za rodzaj pożytecznych barbarzyńców i materialistów.

Pogłębienie tego rozdziału, tego rozłupania ludzkiej rzeczywistości na dwa światy, wcale nie jest pożądane, a tymczasem ma

się obecnie jeszcze wzmocnić przez bifurkację liceów. Otóż w myśl zasady: «rozróżniać, nie rozrywać», «łączyć, nie mieszać», trzeba dążyć do przełamania tego rozszczepienia życia i budować mocny most, prowadzący z jednego brzegu na drugi. Bo skoro człowiek należy i do «przyrody» i do «ducha», to i jego nauka, nie zacierając różnicy między przyrodą a kulturą, musi dążyć do jednolitego ujęcia obu tych dziedzin.

Wiadomo, że nauki przyrodnicze, a przede wszystkim teoretyczna fizyka, doszły w swej analizie do tego, że jakość rzeczy zmieniła się na ilość, układ i ruch cząstek, przy czym jednak moment indywidualnie twórczy nie znika; że cała rzeczywistość zmysłowa jest jednym wielkim układem elementarnych, drobnych ustrojów; że przeciwstawienie «materii (substancji)» i «siły» się ulatnia, tak że cała przyroda staje się do pewnego stopnia «niematerialną». Wiadomo także, że po całym, niesłychanym postępie i po zadziwiających cudach i wglądach analizy świata materialnego w ostatnich dziesiątkach lat nauki fizyczne dochodzą do stwierdzenia, że jesteśmy ciągle u początku jeżeli nie poznania, to rozumienia życia i bytu, że znajdujemy się wobec przechodzącego wszelką ludzką miarę ogromu i wobec niepojęcie skomplikowanej i niewyczerpalnej jedności.

Nauki humanistyczne zwolna dopiero wchodzą na drogę i w stan «naukowości»; wiele z nich nie wyszło jeszcze z fazy przygotowawczej szczegółowych faktów, filologicznej, kronikarskiej czy anegdotycznej; wiele z nich ma dosyć kłopotu z samym nawet i dopiero ustaleniem swoich «faktów». Ale i tutaj zmienia się zwolna stan rzeczy, rośnie potrzeba wydobycia się z fazy czysto opisowej, przełamania ciężaru faktu indywidualnego i czysto historycznego, potrzeba uogólnień. Nowe nauki: socjologia, etnologia, różne odłamy i kierunki psychologii, nauka o kulturze, o religii itd. nasuwają coraz wyraźniej koncepcję wielkiej nauki o kulturze albo o człowieku, która stając niejako współrzędnie naprzeciw i obok nauk fizycznych wejdzie z nimi w naturalny kontakt, korzystając z ich ścisłych metod zadziwiającej analizy, myślenia ilościowego i uogólnień, sama da im znowu pogłębienie «duchowe».

Na razie jest to jeszcze muzyką przyszłości; zarysowują się dopiero na horyzoncie pewne widoki i możliwości, ale nie ulega wątpliwości, że to jest zadanie najbliższej fazy nauki: sprowadzenie świata przyrody albo raczej materii i świata ducha do wspólnego mianownika życia-kultury.

Rozglądając się, które z tak zwanych humaniorów wchodzą w tym dążeniu przede wszystkim w grę, natrafimy od razu i na razie jedynie — język. To jest jedyny przedmiot humanistyczny, który całkiem oczywiście stoi na równi z przedmiotami przyrodniczymi pod względem określoności swojego zakresu i swoich faktów, pod względem ich ścisłości, wyrazistości, pewności i zwartości. Przedmiotem lingwistyki jest nieskończone mnóstwo realnych języków i narzeczy, z których każdy jest idealną całością i jednością, na którą się składa nieskończone mnóstwo faktów czyli zjawisk większych i mniejszych, w nieskończenie częstych realizacjach poszczególnych odezwań się czyli wypowiedzi. Każdy twór językowy coś wyraża, jest znakiem pewnej treści wewnętrznej, dochodzącej do świadomości, a język, jako idealna jedność i całość, wyraża całą, wyraźną ludzką świadomość w elementarnej, obiektywnej i formalnej postaci. Będąc nieskończoną masą nieustannie realizujących się szczegółów, które zwierają się w jeden system, stoi pod względem rozpiętości, drobinowości swych cząstek i mechaniki wewnętrznej na równi ze zjawiskami świata fizycznego.

Jakiż inny przedmiot z tak zwanych humaniorów, szkolnych czy uniwersyteckich, mógłby wchodzić w grę jako pendant i przeciwwaga nauk przyrodniczych? Religia, historia, tzw. polskie, niemieckie, francuskie, łacina itd.? Wiadomo, że językowa strona tych ostatnich ma na oku wyłącznie sprawne władanie, daje cenne wyrobienie w formułowaniu i wyrażaniu myśli i w ogóle treści psychicznych, ale przede wszystkim formalne. Zaś szersze i głębsze wykształcenie ma dawać przyswajanie sobie i uświadomienie, rozpatrywanie utworów odnośnych literatur względnie poezji. Literatura (poezja) przedstawia niewątpliwie w «obrazach» czyli «wizjach» prawdę życia ludzkiego, jego treść faktyczną i ideową ale podstawy, interesy i kryteria naszego stosunku do tych obrazów artystycznych, ich roli, sensu, wartości i oceny są bardzo różnorodne, zmienne i chwiejne i —

dodajmy — niełatwe. W każdym razie to nie może być przeciwwagą nauk ścisłych.

Religia dawałaby dobrą sposobność do ogólnego wykształcenia filozoficznego, w psychologii, etyce i metafizyce, gdyby nie była tak ściśle wyznaniową, kościelną, zainteresowaną w prawowierności, a — co najważniejsza — gdyby się nie stawiała z góry i zasadniczo na całkiem różnej od nauki podstawie «objawienia». Bo chociaż w najgłębszej swojej istocie nauka i religia nie są i nie mogą być sprzeczne, ale jest to na razie dopiero postulat, a na razie podstawy obu są niewspółmierne.

A historia? Traktowana szeroko, jako orientacja w rozwoju i roli dziejowej gatunku ludzkiego, obejmująca całą ludzką kulturę i dająca wielki jej obraz, traktowana tak jak np. w książkach van Loona lub Wellsa, byłaby naturalnym pendant nauk przyrodniczych i prowadziłaby do opartego na głębokim wglądzie rozumienia i pogodzenia świata przyrody — ale traktowana tak, jak to się faktycznie dzieje a w znacznej mierze z konieczności, nie wyzwala duszy ludzkiej z zamętu i w praktyce tylko wzmaga egotyczną manię wielkości człowieka, narodu, rasy i ludzkości. W każdym zaś razie okoliczność, że historia z trudem ustala same fakty zjawiskowe, nieraz nawet najelementarniejsze, i że obejmuje w ogóle maleńki wycinek «dziejów» gatunku ludzkiego, niebardzo ją zaleca jako partnera w grze z nauką przyrodniczą. W gruncie rzeczy historia, jak i poezja, jest wielką baśnią gatunku.

3. Czy nasza polska literatura jest wielka? Czy przedstawia najwyższe wartości artystyczne, intelektualne, etyczne i filozoficzne? Czy schodzi odważnie i wnikliwie do samego dna nędzy ludzkiej i wznosi się aż do szczytów wzniosłości ludzkiej duszy? Czy przebija powłokę powszedniości, szlacheckiej, burżuazyjnej, chłopskiej czy innej? Czy przedstawia potężnie, uczciwie i mężnie tragiczne sprzeczności życia ludzkiego? Czy odzwierciedla mocno i przedstawia żywiołowe drgania, prądy, nastroje, dążenia i rozdźwięki współczesnej epoki?

Zadawszy te pytania, zatrzymajmy się chwilę myślą na naszej literaturze i na literaturach anglosaskich, niemieckiej, francuskiej..., a także — rosyjskiej! Posłuchajmy ich tętna i odgłosów w świecie.

A cóż? Język polski jest w zasadzie niewątpliwie tyle wart co każdy inny. Mógł Turgeniew wyśpiewać modlitewny hymn na cześć języka rosyjskiego — mógł to zrobić i Sienkiewicz dla języka polskiego. W każdym razie mimo całej swojej specyficznie polskiej postaci jest język polski szerzej, mocniej i głębiej ogólnoludzkim niż literatura polska nią dotąd była.

4. Dziwne i na pozór sprzeczne zjawisko: porządne opanowanie własnego języka i przyswojenie sobie obcego mniej usposabia do werbalizmu i wyrabia więcej jasnego myślenia niż nauka literatury w szkole, ale i w uniwersytecie.

Z literatury trzeba wydobywać wiekuiste wartości i zmagania się ducha ludzkiego z wiekuistymi problemami życia; trzeba doznawać bezpośrednio uroku obrazów, w jakich je poezja widzi i czaruje; poddawać się czarowi i treści lub przed nimi się bronić — ale do tego potrzeba dojrzałego i wszechstronnie wyrobionego umysłu i ducha. Poezja, jak w ogóle sztuka, jest biologiczną koniecznością człowieka, jest jednym z rodzajów i aspektów, w jakich się przedstawia i wyżywa związek i stosunek człowieka do rzeczywistości; ale ona także zasłania i przesłania tę rzeczywistość, potęguje samozłudę człowieka, a przy tym łatwo zbyt wysubtelnia i osłabia — a i wykoleja, bo przecież i poezja, jak wszystko, podlega chorobom, zwyrodnieniom i przerostowi, sieje ziarna życiodajne i trujące.

Toteż przekarmienie młodej duszy literaturą, zagłębianie się w nieciekawych często życiorysach, co często przynosi tylko fałsz albo rozterkę, zagłębianie się w najrozmaitszych ideowych lub technicznych dociekaniach, rozprawianie na wiatr lub na wiarę o genezach, wpływach, prądach i ideach przewodnich, tak często zmieniających się z pokoleniami rozprawiających, oceny i «syntezy» estetyczne, społeczne i filozoficzne — wszystko to musi na tym gruncie wywoływać i hodować tylko niejasności myśli, złudę własnej mądrości, krótko mówiąc werbalizm, zarozumiałość i beznadziejne zabicie duszy literackim ćwiekiem.

Prawdziwa nauka o języku, odsłaniając jego rolę znakową, symboliczną i orientacyjną, jest wrogiem werbalizmu, wyzwala właśnie z jego pęt koniecznych ale i ściskających i doprowadza do

świadomości człowieka jego własną psychikę w jej całym bogactwie, złożoności różnorodnej i strukturze. Krótko mówiąc, pomaga mu do tego, co jest najtrudniejsze a konieczne, do przezwyciężenia samego siebie, do wglądu w straszliwą i cudowną jednostkowość człowieka i do pewnego obiektywizmu wobec siebie; pomaga mu przynajmniej do jakiego takiego opanowania myślowego tego cudownego, ale i złowrogiego subiektywizmu i egocentryzmu jednostki.

5. W języku są złożone, to znaczy chwytane, zaznaczane i ustalane elementy całej świadomości i całej psychiki ludzkiej, całego «teoretycznego» i «praktycznego» życia człowieka; krótko mówiąc, wysuwające się elementarne treści i twory całego przeżywanego «doświadczenia» ludzkiego.

Toteż od dawna, a w ostatnich dziesiątkach lat ze wzmożoną siłą, ogólna matematyka, logika, teoria poznania, psychologia, etyka, teoria prawa itd., dochodząc badawczo swoich własnych podstaw i zasadniczych pojęć i wartości, zwracają się do języka jako do praźródła bijącego z zamierzchłej przeszłości gatunku i z prapokładów życia, a płynącego ciągle potężnym, nie wysychającym strumieniem.

6. Jedna z zasadniczych różnic między umysłowością paleokulturalną, starodawną nawet grecko-rzymską a nowożytną — to ogromne rozszerzenie horyzontu i perspektywy historycznej, rozwojowej, wgląd w nieustanne przeobrażanie się życia upostaciowanego czyli w ewolucję, a w związku z tym ogromne pogłębienie samowiedzy gatunku ludzkiego.

Otóż po stronie «humanistycznej» nigdzie lepiej, jaśniej i mocniej nie można uchwycić i widzieć tego pojęcia ewolucji, jak w języku i przy jego pomocy. Tę wieczną zmianę i ciągłość.

Cóż pozostało z człowieka i jego życia z tych dziesiątki i setki tysięcy lat trwających jego dziejów?! Zapewne, pozostał człowiek, my sami. Ale wiadomo, z jakim trudem, jak powoli, niepewnie i ułamkowo usiłuje antropologia przedhistoryczna odbudować z drobnych, przypadkowych, to tu to tam znajdywanych resztek kości w ziemi fizyczną przeszłość gatunku. A co zostało z całej ubiegłej kultury? Przedhistoryczne resztki i znaleziska materialnej kultury, które zdołały się oprzeć działaniu czasu. A z życia samego, działania, myśli

i uczuć, walk i radości, ze sztuki, z wyobrażeń o świecie, z całej psychiki i kultury duchowej? Wszakże nawet tak blisko i tak związaną z nami duszę grecko-rzymską i jej twórczość znamy tylko niesłychanie fragmentarycznie. Prawda, dzięki niestrudzonym, wprost heroicznym wysiłkom geniuszu, pracy i cierpliwości XIX wieku, trwającym po dziś dzień, odkryły się przed nami na nowo przeszłość, kultura, piśmiennictwo Egiptu, Egei przedgreckiej, Babilonii, Asyrii, Elamu, Hetytów itd., ale i to są tylko bezcenne okruchy tego, co było, a o przeszłości i kulturze olbrzymiej większości naszego gatunku nie wiemy prawie nic zgoła.

I języków mnóstwo zginęło bez śladu lub prawie bez śladu. Ale mimo to istnieje ich nieprzejrzana masa, a każdy z nich kontynuuje sobą i w sobie nieskończoną przeszłość od ginących w pomroku czasów prapoczątków rodzaju ludzkiego. Język polski, tak samo, jak każdy inny z żyjących języków, trwa nieprzerwanym ciągiem od owych czasów, kiedy istniały dopiero jego pierwociny, do dnia dzisiejszego i zawiera w sobie obok powierzchni najaktualniejszej teraźniejszości i współczesnej kultury minione pokłady i warstwy aż do prapierwotnych, tak jak skorupa ziemska kryje w sobie pokłady swoich dziejów.

Toteż w XIX wieku powstało wielkie historyczno-porównawcze językoznawstwo indoeuropejskie, odtwarzające ubiegły rozwój języków tej grupy, sięgający daleko w tył poza czasy «historyczne» — pierwszy przykład systematycznego odtwarzania na wielką skalę ubiegłego rozwoju kultury nie na podstawie «zabytków historycznych». Za indoeuropejską poszły inne: lingwistyka ugrofińska, semicka, hamicka i wiele innych i zwolna powstała i tworzy się olbrzymia nauka o języku w ogóle, wielki twór XIX wieku.

Cóż z nią można porównać po stronie nauk humanistycznych? Najwięcej wśród nich rozwinięte, a raczej najokazalsze na oko, historia i nauka o literaturze są raczej przeciwne stanowisku i ujmowaniu ewolucyjnemu, bo są wpatrzone raczej w odosobnione fakty, dzieła i postacie, oderwane od nieustannego wszechprądu ewolucyjnego, jakby w pływające na nim łódki, floty, wspaniałe okręty, a także kawałki drzewa i — śmieci.

Dopiero teraz poczyna się budzić i podnosić wielki oddech historyczny, ale niełatwo mu jest chwytać dech potrzebny.

Samo pojęcie ewolucji jednak jeszcze nie zbawia i nie wyczerpuje rzeczywistości życia; jest dopiero jednym biegunem albo fundamentem relacji, zwanej życiem. Obok determinacji ewolucyjnej każdego tworu i faktu i układu indywidualnego i totalnego, jest równie ważna i konieczna ich determinacja aktualna, to jest ich aktualnie funkcjonalna rola w danych warunkach, w danym czasie i miejscu, ich «sens aktualny».

I znowu trzeba stwierdzić, że ze względu na określony, kompletny i zwarty charakter zjawisk i faktów językowych język posiada także w tym względzie i z tego stanowiska wartość pierwszorzędną, bo każdy fakt językowy, wszystko co mówimy, ma swoją konkretną determinację: jest czymś wywołany, oddaje czyli oznacza jakąś treść i do czegoś zmierza czyli posiada jakiś cel i kierunek i s t o s u n k o w o łatwo jest te momenty jednoznacznie określić.

A jakaż niesłychana niepewność i trudność panuje w tym względzie tak pospolicie przy faktach literackich, artystycznych, historycznych, socjalnych itd.?!

7. Żywa jednostka jest rodzajem zorganizowanej «czułej masy», skomplikowanym układem żywej plazmy, działającej i reagującej w zasadniczej relacji: «jednostka — wszechświat».

Socjalny układ i socjalny podkład jednostek ludzkich wytworzył język, rodzaj plastycznej warstwy między jednostką i jej otoczeniem, w której się odciska, kształtuje, wyciska, wyraża i znaczy życie, to jest stosunek, stan zachowywania się, działanie i reagowanie jednego fundamentalnego człona tej zasadniczej relacji, zawarunkowanego drugim, to jest człowieka w związku z wszechrzeczywistością i to zarówno w ogólnym zakresie treściowym (człowiek — ludzkość: wszechświat — rzeczywistość), jak w szczegółowym (indywidualnym) i postaciowym (dusza i ciało, układ centralny i obwód) i w rozmaitych innych. W języku odbija się wyraziście, kompletnie, a w małej skali (niby w małych, skupionych przez soczewkę obrazkach) i stosunkowo w dosyć prastarej postaci węzeł istnienia; toteż najłatwiej jest «poznawać» tę zasadniczą relację od strony człowieka przez medium językowe.

Na językach też najłatwiej studiować «mechanikę życia psychicznego», tak jak nauki przyrodnicze studiują na swoim materiale «mechanikę życia fizycznego». I nie tylko mechanikę, ale i dynamikę, bo mechanika życia nie jest martwą mechaniką maszyn, tylko twórczą i dynamiczną. A zatem, na języku najłatwiej — ale i tak niełatwo — jest badać twórczą mechanikę życia psychicznego albo mechanikę jego twórczości.

Badanie języka uczy chwytać jedność i całość w wielości i odwrotnie, każdy najdrobniejszy szczegół w jego związku totalnym, a dalej uczy chwytać momenty: indywidualny, typiczny czy typologiczny i strukturalny (architektoniczny). W języku, jako wielkim systemie znaków, które wypłynęły bezpośrednio z życia, widać też doskonale «formalność» naszego poznania, zakotwiczoną jednak w realnych doznaniach; toteż na języku można równie dobrze, a może lepiej jak na matematyce, studiować rolę pojęć, a zarazem rolę znakowości i samo pojęcie «znaku».

8. W ten sposób badanie języka stawia nam przed oczy ewolucję życia psychicznego od jego pierwocin do najwyższych abstrakcji, od oszałamiającej masy szczegółowych, konkretnych doznań i wrażeń do uniwersalnych ujęć i pojęć. Po wtóre stawia przed oczy wyraziście aktualne funkcje życia psychicznego, oraz rolę momentu wzruszeniowego (uczuciowego, emocjonalnego) w tym zespole zjawisk i jego stosunek do momentu intelektualnego (pojęciowego, racjonalnego).

Krótko mówiąc, w języku odbija się, wyraża i utrwala od praczasów «opamiętywania się» gatunku (człowieka) w całym zakresie jego życia. Język jest plastyczną, zobiektywizowaną świadomością gatunku ludzkiego. I myślę, że pod tym hasłem podaliby sobie ręce i starzy romantycy lingwistyki, i przyrodniczy pozytywizm Schleichera, i pozytywiści nowogramatycy lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, i Baudouin de Courtenay, i stary przyjemny Max Müller, i genialny racjonalista de Saussure, walczący z trudem do końca życia z racjonalizmem swojej rasy, i noworosyjski, nie zawsze jasny, Marr.

9. Przerażający chaos i zamęt współczesnego życia, straszliwa dezorientacja dzisiejszego człowieka, bezprzykładny zalew

kultury przez potworną jeszcze ciemnotę, najprymitywniejszy egoizm czy egotyzm i niewiarygodną manię wielkości zwierzęcia ludzkiego dadzą się opanować — jeżeli w ogóle teraz opanować się dadzą — jedynie maksymalnym wysiłkiem świadomości, energii, odwagi i uczciwości, a do tego trzeba przede wszystkim każdemu z nas zrobić samemu olbrzymi wysiłek, odbyć całą drogę, jaką człowiek może w ogóle zrobić, zejść na samo dno swoich doznań i przeżyć, zejść do samego dna swojej nędzy i wznieść się na sam szczyt swojej wielkości.

Jak dojść do tego? Co i kto nam może w tym pomóc? Gdzie i jak szukać światła i siły? Gdzie są przewodnicy i pomocnicy? Jak może «czuła plazma ludzka», indywidualnie dana i określona, wpłynąć sama na siebie, przeobrazić chociaż trochę swoją «daność», swoją strukturę i jakość? Albo — co ostatecznie na jedno wychodzi — jak można wpłynąć na nią w tym kierunku, tak aby zechciała sama tego przeobrażenia się, aby znalazła siłę do tego, aby się dała przekonać i przyjęła to świadomie i chętnie za cel i drogowskaz? Bo, że jesteśmy popychani i kierowani wewnętrzną koniecznością swojej danej przecież z góry natury, to jasne: wszystko, co robimy i jak postępujemy, jest wynikiem naszej danej indywidualności. Ale ta konieczność nie jest absolutna, nie jest taka, jak w puszczonej w ruch maszynie, nie jest w zupełności i bezwzględnie mechaniczna, automatyczna i martwa. Stosunki i fakt są takie, że my rzeczywiście jesteśmy w 99 na sto, a może 999 na tysiąc, a może w 999 milionach na miliard określeni, zdeterminowani, zależni, mechaniczni itd. — tyle że żywi —, ale jest w nas element 1 na sto, a może na tysiąc, a może na miliard... twórczości, swobody, autonomii itd. element pradziedziczny, którego wynikiem jest pewne zdawanie sobie sprawy z tego, pewna samowiedza, pewna walka z mechanistyczną determinacją, pewna możliwość wydobywania się z jej pęt nieubłaganej i prawie zupełnej jednostkowości.

Wracam do pytania, co może wpłynąć na ludzką jednostkę, aby chociaż odrobinę «wiedziała i chciała sama»? Oczywiście tylko jasny wgląd w ten fakt zasadniczy, ale wgląd nie tylko intelektualny, rozumowy, pojęciowy, tylko także i koniecznie uczuciowy, wolitywny i czynny, czyli w pełny sposób «doznany i doznawany».

Wiadomo, że wpłynąć na tę żywą, jednostkową, czułą plazmę ludzką przeobrażająco można naprawdę tylko «wartościami», czymś, co ją całą chwyta, bierze w posiadanie, pobudza i pędzi jak motor. Ale wiadomo też, że wartości jest tyle, ile dziedzin życia i kultury i ile w każdej z nich szczegółowych treści, większych i mniejszych; że się nieustannie przesuwają i zmieniają w najrozmaitszy sposób wraz z życiem, czyli że się zmienia ciągle ich wartościowanie. Chodzi zatem o to, aby wydobyć i jasno postawić sobie przed oczy wartość najwyższą, kierowniczą i stałą, uświadomić sobie najwyższy ideał jako zasadniczą siłę przyciągającą. Chodzi o tak jasne i mocne zrozumienie tego, żeby się stało panującym nastrojem.

Chodzi zatem o prawdziwą orientację, o prawdziwy drogowskaz i drogę.

I pytam znowu: cóż może pomóc człowiekowi w orientowaniu się w życiu i zjawiskowej rzeczywistości, w ich tragicznych więzach, sprzecznościach i zagadkach, w tym fatum starożytnych? Co mu może dopomóc w zdawaniu sobie spraw— z samego siebie, «żyjącego w tej rzeczywistości», w tym niewyczerpanym i nieskończenie różnorodnym bogactwie życia; w tej dwoistości natury i kultury, przyrody i ducha? W ich harmonii i pięknie, w ich chaosie i grozie bez końca, w których się gubimy, błąkamy, pląsamy i ciskamy, naiwni, bezradni, to uśmiechnięci, to zrozpaczeni? I dalej, co może człowiekowi dopomóc orientować się i rozeznać w «filozofii» i «filozofiach», w religii i religiach itd., itd., w ich różnorodności, sprzecznościach i rozbieżnościach, a także w dzisiejszym obłąkaniu, w żałosnym szaleństwie ludzkości?

I znowu widzę, że wszyscy filozofowie i psychologowie, logistycy i teoretycy prawa, matematycy i socjologowie zwracają się ku językowi, tak jak dawniej wszyscy, a i dziś jeszcze człowiek zaczynający rozmyślać odwraca się od języka i językowych pojęć, jako nic nie mówiących. Bo i cóż to znaczy? Znaczy to, że wszyscy zawsze szukali i szukają obiektywnych treści, a prąd tego dążenia rzuca ich to o brzeg obiektywny «rzeczywistości» pozaczłowieczej, to z powrotem rzuca ich na subiektywny brzeg ich własnej «rzeczywistości», tak jak fala, wybiegająca ku brzegowi i cofająca się nazad. Jest to zrozumiałe. «Filozofia» chce najpierw pojąć wszechświat, po-

tem wraca do człowieka, do jego własnego życia, albo i na odwrót, a nie znajdując «prawdy» ani tu, ani tam, wreszcie, zwolna z trudem, zwraca się teraz — a i to nie wiem, czy z dostateczną, powszechną i zupełnie pewną jasnością — do jedynej, nie ulegającej żadnym obiekcjom podstawy, obejmującej oba brzegi. Bo nasza mądrość, nasza ludzka prawda realizuje się nieustannie, jako wynik (funkcja) biegunowego (bipolarnego) stosunku (relacji): jednostka ludzka — wszechświat, ja — nieja. «Obiektywna» treść istnieje w stosunku do pojęcia «prawdy» tylko w związku z «subiektywnym» ujęciem; sama przez się, nie w stosunku do tej «prawdy», jest obojętna, niewiadoma; zaś «subiektywne» ujęcie samo przez się, nie w związku z «obiektywną» treścią, jest czymś nieokreślonym, czego nie można chwycić. Jak Kant mówił o stosunku «poznania» *(Erkenntnis)* do «doświadczenia» *(Erfahrung)*, że nasze «pojęcia» są bez «doświadczenia» puste, a nasze «wrażenia» bez «pojęć» ślepe. Po obu stronach jest sposobność, «wirtualna» zdolność i dążność, które spotykają się z sobą i wiążąc w węzeł, dają «prawdę».

Ziemia i słońce niewątpliwie są jako dwie różne rzeczy, ale równie niewątpliwie istnieją tylko we wzajemnym zawarunkowaniu, w tej istotnej relacji genezy, aktualnego stosunku, przyciągania itd., która jest składową relacją układu słonecznego, który ma znowu swoją dalszą współzależność itd. Podobnie: niewątpliwe są zjawiska, które nazywamy psychicznymi i zjawiska, które nazywamy fizycznymi i cielesnymi; jest dziedzina duszy, psychiki i dziedzina ciała, fizjologii; ale niewątpliwie obie istnieją w nas tylko we wzajemnym zawarunkowaniu, realizują się (urzeczywistniają) w tej relacji.

I tak ze wszystkim. Nie mówimy i nie możemy mówić, że to są dwie zupełnie różne, osobne, same dla siebie, rzeczy, bo gdyby to były naprawdę dwie zupełnie różne, aż do samego gruntu istności, toby były w ogóle niewspółmierne, nie istniałyby nawzajem dla siebie, nie tworzyłyby razem żywej relacji. To jest chyba jasne. Ale nie mówimy też, że takie dwa czy więcej członów relacji to jedno, to samo, bo to niemożliwe, wykluczające właśnie relację. Nie spekulujemy też nad przyczyną i genezą takiego wyglądu (aspektu) czy struktury rzeczywistości i życia, bo to rzecz bez wartości i próżna, chociażby dlatego, że wszelkie nasze rozmyślanie

jest istotnie zawarunkowane relacją, w jakiej się realizuje. Kto ciekaw takiej spekulacji i tego, do czego ona prowadzi, niech studiuje różne filozofie, np. heglowską. Kto sądzi, że można wyjść z tego zasadniczego węzła istnienia jednostkowego, kto czuje nieprzepartą potrzebę tego, niech szuka pomocy w najwyższych napięciach religijnych czy mistycznych. Cały rozwój całej naszej kultury i tak zwolna, krok za krokiem, prowadzi ku temu, co można nazwać «ideałem rozumienia», a co jest tak odległym i ogromnym, jak wszechświat w stosunku do człowieka. Droga otwarta.

Ale że droga otwarta, to jeszcze nie znaczy, że każdy z nas i cała ludzkość nią idzie i tylko po niej, bez wahań i zboczeń. O, wcale nie. Droga jest wprawdzie zawsze dla każdego otwarta, ale trzeba ją ujrzeć i wybrać wśród mnóstwa dróg i ścieżek żywota, a ona jest uciążliwa i z początku i długo jeszcze przykra. A dobrze to wiadomo właściwie od wieków; nie Chrystus i nie chrześcijaństwo dopiero uczą «zaparcia się siebie», co znaczy «przezwyciężanie swojej osobowości jednostkowej», rzecz konieczna i jako nakaz obiektywny z życia wypływająca. Czyż czego innego uczył Zaratustra albo grecka mądrość, popularnie ujęta w opowieść o Heraklesie na rozstaju, filozoficznie w naukę stoików, itd., itd.?

Każdego z nas ciągną popędy jednostki na

## Stanowisko językoznawstwa [1]

### (Stosunek do innych nauk humanistycznych i stanowisko w systemie nauki w ogóle)

Skrypt wykładowy (1 godzina tygodniowo w zimowym trymestrze 1928 r.) przygotowany starannie, ale nie doprowadzony do końca i trochę przechodzący na inne tory. Jak widać z kartki podającej «układ tego wykładu» — miał on być pełniejszy i systematyczniejszy, a zajął się przeważnie stosunkiem lingwistyki do filologii. Autor sam byłby go oczywiście do druku inaczej wykończył. Ale i w tej postaci, jako rozważ nie nie specjalnie lingwistyczne, ale ogólnie metodyczno-naukowe, jako temat wciąż aktualny, ze wszech miar zasługuje na ogłoszenie.

*Redakcja Przeglądu Współczesnego.*

§ 1. Ogólna orientacja i ogólne określenia, dające jednak zasadniczy motyw przewodni całego przedstawienia, bo od początku wypada wskazać istotę rzeczy.

Przedmiot językoznawstwa jest doskonale, jednostronnie określony i odgraniczony; jest nim mowa ludzka w ogóle i wszystkie języki w całym ich zakresie; to znaczy, z jednej strony mowa jako ogólna właściwość, funkcja, twórczość i wytwór gatunku ludzkiego a z drugiej wszystkie jej szczegółowe realizacje w czasie i przestrzeni w postaci wszystkich języków i narzeczy, oczywiście o ile tylko są dostępne.

Cała rzeczywistość życia i bytu, z jaką mamy do czynienia, czyli całe nasze «doświadczenie» rozkłada się na świat zewnętrzny czyli przyrodę i na świat wewnętrzny, duchowy czyli psychiczny,

---

[1] Przegląd Współczesny, listopad 1936.

który się manifestuje i urzeczywistnia w postaci kultury: tam rzeczywistość fizyczna przyrody, tu rzeczywistość psychiczna kultury.

Kultura jest poznawaniem, a zarazem działaniem, kształtowaniem: poznawaniem i kształtowaniem przedmiotu (obiektu) doświadczenia (a zarazem, w nierozerwalnym i koniecznym związku z tym, poznawaniem i kształtowaniem podmiotu doświadczenia, czyli samopoznaniem i samorozwojem). Jest wynikiem i wytworem albo objawem zasadniczego dualizmu życiowego, jednolitego doświadczenia, które przedstawia się jako węzłowe zjawisko dwustronne podmiotu i przedmiotu doświadczenia — ale nie jest z nim identyczne.

Obiektywną stroną ludzkiego poznania czyli światem zewnętrznym zajmują się nauki przyrodnicze, zaś stroną subiektywną czyli światem duchowym nauki duchowe, zwane też humanistycznymi.

To ogólne i ogólnikowe określenie trzeba jeszcze ściślej ująć. Nauki humanistyczne zajmują się właściwie bezpośrednio i przede wszystkim manifestacją subiektu (człowieka) w kulturze, czyli kulturą (tą drugą rzeczywistością naszą); zaś wyodrębnia się od nich, chociaż od początku najistotniej z nimi związana, nauka o człowieku jako o podmiocie poznania, doświadczenia i kultury, innymi słowy nauka o samym poznaniu, doświadczeniu i kulturze, czyli filozofia, powiedzmy filozofia kultury. Podobnie nauki przyrodnicze: zajmują się przede wszystkim i bezpośrednio manifestacją czegoś, którą *(sic)* nazywamy przyrodą albo światem zjawisk fizycznych, a znowu podobnie wyodrębnia się z nich nauka o podmiocie tej manifestacji — filozofia przyrody.

W ten sposób nauki przyrodnicze i duchowe w swoim najwyższym napięciu schodzą się ze sobą, rzecz naturalna, bo człowiek jako organizm fizyczny należy do zakresu nauk przyrodniczych, a organizmu jego fizycznego nie można przecież odciąć od psychicznego; rzecz naturalna, bo z drugiej strony wszystkie twory żywe wykazują przecież zasadnicze cechy «psychiczne» — mimo całej odległości, a cała przyroda jest chyba żywą — mimo całej rozległości tego pojęcia, należy zatem w tym sensie do zakresu nauk duchowych.

Trzeba przy tym uwzględnić, że świat przyrody nie jest wyłącznie manifestacją, wytworem, ale także niewątpliwie samopoznaniem i autorozwojem, chociaż w porównaniu z człowiekiem — o ile nam się rzecz przedstawia — w stopniu o wiele, powiedzmy nawet, niezmiernie słabszym. Twierdzenie to traci swoją może (na pierwszy rzut oka) szczególność, jeżeli uwzględnimy, że samopoznanie i autorozwój człowieka jako podmiotu kultury stwierdza przede wszystkim tylko fakt obiektywny, że nie tylko obiekt jest poznawany, kształtowany, kultura jako obiekt rozwijana, ale także subiekt poznaje siebie i rozwija, a określenie «sam siebie» zawiera tylko znikomy stopień «świadomego zamiaru», może nawet, o ile chodzi o rezultat *przyszły*, nic wcale.

Trzeba jeszcze nie tracić z oka, że nauki przyrodnicze jako *nauki* należą, mimo swego przedmiotu, do ludzkiej kultury, bo przedstawiają obiekt w uchwyceniu i obrobieniu *subiektu*; zaś nauki humanistyczne jako nauki o *człowieku* i jego działalności należą do świata przyrody, bo przedmiotem ich jest ostatecznie część *obiektu* doświadczenia.

Stwierdziliśmy jako rzecz oczywistą, że nauki rozkładają się na dwie wielkie grupy, zgodnie z podziałem *naszej* rzeczywistości na przyrodę i na kulturę. Oba te światy wyraźnie się sobie przeciwstawiają, ale mimo to świat przyrody podchodzi aż do nas samych czyli obiekt sięga aż do subiektu włącznie, bo i my należymy niewątpliwie do świata przyrody: nie tylko każdy z nas zalicza wszystkich innych do niego, ale i sam przecież cały jest przedmiotem swego «poznania» czyli niby podmiotu — a z drugiej strony świat kultury sięga aż do przyrody włącznie: nie tylko należą wytwory kultury do zewnętrznego świata zjawisk, nie tylko mamy wszędzie w przyrodzie do czynienia z wytworami żywych istot, u zwierząt całkiem wyraźnie pokrewnymi kulturalnym wytworom ludzi, ale i kultura jest przecież funkcją organizmów ludzkich i same fakty naszego życia psychicznego, nie różniące się przecież zasadniczo w najgłębszej swej istocie zwłaszcza, choćby tylko od zwierzęcych, należą niewątpliwie do świata przyrody. Czyli ta ogromna, niewątpliwa, bezpośrednio widoczna i pewna różnica, która też dlatego wydaje się naturalnej,

naiwnej, pierwszej świadomości istotną, zasadniczą i nie do pogodzenia, okazuje się przy bliższym rozejrzeniu względną. To jedno.

Po wtóre, przechodząc do nauki, zapytamy od razu, gdzie umieścić matematykę, albo logikę, albo i psychologię, zależnie od stanowiska i kierunku tak rozmaicie określaną i zaliczaną?

Po trzecie, ani nauki przyrodnicze, ani humanistyczne nie zatrzymują się na swoim właściwym przedmiocie i, przechodząc w naukę o poznaniu przyrodniczym i o kulturze w ogóle czyli w filozofię przyrody i filozofię kultury, zbliżają się do siebie w sposób nie pozwalający na oddzielenie.

Po czwarte, stosunek filozofii do nauki w ogóle nie jest wolny od niejasności, wahań i nieporozumień, choćby dlatego, że trudno zapominać o życiu religijno-moralnym i o twórczości artystycznej, oddzielanych jako osobne dziedziny od kultury; badanie ich nie bywało wyraźnie zaliczane do nauk humanistycznych: estetyka tułała się gdzieś koło filozofii, a nauka o zjawiskach religijnych jest w ogóle świeżej daty.

Wreszcie, zawracając już do językoznawstwa, to wiadomo już z bardzo nawet ogólnikowej i pobieżnej znajomości jego rozwoju, że zaliczano je czas jakiś raczej albo wprost do nauk przyrodniczych — tak wielką się wydawała różnica jego przedmiotu i postępowania od gramatyki filologicznej i traktowania języka w filologii.

Słusznie tedy pytamy: gdzież umieścić lingwistykę, czy wśród nauk przyrodniczych, czy humanistycznych? Żeby sobie odpowiedzieć na to pytanie, trzeba oczywiście przyjrzeć się istocie, roli i stanowisku przedmiotu lingwistyki, to jest mowy ludzkiej i języków.

Bierzmy rzeczy po prostu: język mimo całej swojej psychiczności i przynależności do świata kultury należy niewątpliwie także do świata przyrodniczego, ma swoją stronę nie tylko biologiczną i fizjologiczną, ale także wprost fizykalną, akustyczną. Dalej, język nie tylko wyraża i zaspokaja akty subiektywne, potrzeby życia subiektywnego i obcowania, ale zawiera i wyraża także całe nasze elementarne oczywiście poznanie świata zewnętrznego (oczywiście w ludzkim językowym ujęciu).

To znaczy, język zajmuje wśród świata przyrodniczego i kulturalnego stanowisko osobne, sui generis, to znaczy raczej typowe.

Zarazem wyraźnie, ściśle określone i oddzielone od innych dziedzin zarówno kultury jak przyrody, a oraz ogólne, nie jakieś szczegółowe. Jak człowiek jest węzłem, tworzącym niejako dwustronną i przeciwstawną jedność przedmiotu i podmiotu, tak znowu język jest bezpośrednim tego ludzkiego węzła i jego życia-działania objawem i wynikiem, a raczej rodzajem psychofizycznego notowania znaczenia, tj. znakowania życia ludzkiego w jego przede wszystkim kulturalnej (zarazem społecznej) funkcji.

Jeżeli nauka o człowieku jako organizmie fizycznym należy do nauk przyrodniczych (biologii, fizjologii, zoologii itd.), to nauka o człowieku jako podmiocie doświadczenia, poznania zarówno intelektualnego jak moralnego i artystycznego zarazem działania, czyli krótko mówiąc kultury — do filozofii chyba, psychologii przede wszystkim, oraz — do socjologii. Ale nauka o kulturze samej, jej wytworach i dziejach — do nauk humanistycznych; ale do tych wytworów należy przecież także treść literatury, sztuki, także religii i filozofii (tak zwanej metafizyki), a więc mamy tu już właśnie z właściwą filozofią do czynienia.

Jeżeli całą naukę o człowieku wydzielimy, zarówno z nauk przyrodniczych jak duchowych, jako antropologię i etnologię, jeżeli do tego dodamy naukę o kulturze czyli kulturologię oraz socjologię, jeżeli uwzględnimy faktyczny skład i układ filozofii, a także tzw. filozofię przyrody, to zobaczymy, jak te wszystkie podziały są względne, jak zachodzą na siebie i wchodzą w siebie nawzajem pomimo całego przeciwieństwa: przyroda — kultura, nauki przyrodnicze — duchowe.

Jak człowiek, jak jego język, tak i nauka o języku stoi na pograniczu, albo, jeżeli kto woli rzecz tak ująć, w samym środku węzłowym. Między chemią, fizyką, biologią..., między historią, prawem, psychologią... zajmuje lingwistyka stanowisko osobne, sui generis, podstawowe.

Jeżeli trzymając się przeciwstawienia (dwustronnej jedności) przyroda — kultura powiemy, że tam jest rzeczywistość obiektywna ale oczywiście subiektywnie pojmowana, a tu (kultura) rzeczywistość subiektywna, ale oczywiście (zarówno pod względem rezultatu jak materiału i stosunku do jednostki) obiektywnie realizowana, i jeżeli

zgodnie z tym trzymamy się jako faktu istnienia nauk przyrodniczych i humanistycznych, to trzeba stwierdzić, że samym koniecznym, a raczej faktycznym i istotnym związkiem między jedną i drugą stroną i ich poznaniem, samym «węzłem doświadczenia» jako takim zajmuje się «filozofia», wszystko jedno, czy ma zawsze jasną świadomość tego, czy nie.

I wówczas stwierdzimy, że opierając się na obu stronach i na obu działaniach nauk, lingwistyka należy przede wszystkim do nauki, zajmującej się związkiem między obu stronami jednolitego «doświadczenia», zatem do filozofii. Ale i tu zajmuje stanowisko oddzielne: nie jest przecież metafizyką ani filozofią tego czy innego przedmiotu, tej czy innej nauki, ale jest bardzo ważną, istotną, konieczną pomocą ich wszystkich, bo język jest niejako notowaniem elementów życia jednostkowego i elementów zasadniczego węzła naszego istnienia i elementów całego naszego poznania, nie tylko naukowego, ale też artystycznego, praktycznego i moralnego — także zatem «filozofii».

Szczegółowe rozpatrzenie doprowadzi nas znowu jako do finału rzuconego tu zasadniczego motywu melodii.

§ 2. Reasumując stwierdzamy, że lingwistyka jest nauką samodzielną, odrębną, samą dla siebie — mimo związków w jedną i drugą stronę —, a wypada to podkreślić ze względu na stanowisko Meilleta, por. Rozwadowski, *Les tâches de la linguistique (Bulletin de la Société de Linguistique de Paris* XXV, 1925, s. 109—10).

Nadto, jest nauką centralną, co nie znaczy «najważniejszą», tylko zajmującą miejsce i stanowisko niejako na rozdrożu, pograniczu między naukami przyrodniczymi, humanistycznymi, filozofią wreszcie; por. Rozwadowski, *Znaczenie nauki o języku* (p. wyżej str. 169).

A może nawet nauką podstawową ze względu na to, że język zawiera cały, gotowy, oczywiście a) elementarny, b) rozmaicie zabarwiony system rzeczywistości (por. Rozwadowski, *Les tâches*... 106—7 oraz Rozwadowski, *Znaczenie nauki o języku* 166—9) oraz ze względu na to, że nie tylko zawiera elementy wszelkiego «poznania», ale że jest narzędziem tego poznania i świadomości.

## Lingwistyka a filologia

Językoznawstwo zastało oczywiście pewien ustalony sposób traktowania zjawisk językowych, pewien tradycyjny system gramatyki oraz zasób pojęć i terminów, zastało i przejęło, nie tylko w obrębie grecko-łacińskim, ale także — to grało nawet znaczną rolę — indyjskim (sanskryckim), ostatecznie też semickim. A że to należało do «filologii» (klasycznej), wzgl. do «gramatyki», więc też nową naukę skojarzono, mimo całej rewolucyjnej postępowości, z jaką wystąpiła, z filologią. Ślad tego został w nazwie do dziś dnia na zachodzie, gdzie bardzo często, zwłaszcza w świecie anglosaskim i we Francji, mówi się o «filologii porównawczej» w znaczeniu «porównawczego językoznawstwa», oraz w powszechnym łączeniu lingwistyki z filologią.

Rzeczywisty stosunek obu nauk rozmaite przechodził koleje. Początkowo, po ukonstytuowaniu się językoznawstwa indoeuropejskiego na podstawie porównawczej, i cel tej nauki, i przedmiot jej, i metoda wydawały się tak różne od filologicznego zajmowania się językiem, że od samego początku, od Schlegla, spotykamy w nowej nauce romantyczno-przyrodnicze ujęcie i pojęcia, wzgl. terminy, zupełnie obce dotychczasowej, tradycyjnej filologii, wzgl. gramatyce, wyjaśnienie powstawania odmiany (fleksji) u Boppa jako cel właściwy (mimo zasadniczej różnicy między Boppem a Schleglem) i porównywanie jako metodę, przyrodnicze zakrojenie pojęć u Boppa i stosowną do tego terminologię, pojęcie organiczności, aż wreszcie dosięgło to szczytu u Schleichera razem z wyraźnie wyrobionym pojęciem «prajęzyka» i «rekonstruowania» (Delbrück, *Einleitung in das Sprachstudium* wyd. 5, s. 39—40, 65 nstt., 89).

Odpowiadał też temu wzajemny stosunek przedstawicieli obu nauk, bynajmniej nie przychylny.

W dalszym rozwoju zaczęło się zaznaczać zwolna zbliżenie, wynikające z rozumienia z jednej strony, że językoznawstwo nie może się obejść bez «filologicznego» traktowania języka, że np. do zabytków sanskrytu należy stosować zasady filologiczne, z drugiej, że chcąc w łacinie i grece posunąć się poza pewną linię filologiczno-naukową trzeba wkraczać w językoznawstwo (np. w sprawie digammy u Homera, por. Lehrs); to zbliżenie znajduje swego przed-

stawiciela np. w Jerzym Curtiusu, praktyczny, popularny wyraz w jego szkolnej greckiej gramatyce; aż wreszcie znalazło w osobie Karola Brugmanna, czołowego reprezentanta indoeuropeistyki w ostatniej ćwierci XIX w., swego także teoretycznego rzecznika. Dla Brugmanna jest językoznawstwo (indoeuropejskie) integralną, składową częścią filologii w ogóle: Brugmann, *Zum heutigen Stand der Sprachwissenschaft* (1885) 7 nstt., 13 nstt.; pojęcie indoeuropejskiej (wzgl. indogermańskiej) filologii: 17 (25).

Ale rzeczywistość życiowa, faktyczny dalszy rozwój nauki, wygląd językoznawstwa i stosunek do filologii, nie potwierdziły zaparywań Brugmanna, jego stanowiska i postulatu. Nie pomogły rozszerzanie pojęcia filologii przez Böckha i Paula, przyjęte przez Brugmanna, i wysiłki pojęciowe tego ostatniego. Uznano wprawdzie z biegiem czasu, można powiedzieć powszechnie, że nie ma dwu różnych naukowych sposobów zajmowania się językiem, poza ewntualnym podziałem pracy, czy to materialnym, czy to indywidualnym, ale oczywistość dowodzi: 1) że filologia, tak jak dotychczas istnieje, jest tylko częścią nauki o kulturze, 2) że w filologii, klasycznej i każdej innej podobnej język nie jest celem i wyłącznym przedmiotem badania, a jest nim w lingwistyce, 3) że językoznawstwo zajmuje stanowisko odrębne, nie tylko w stosunku do filologii.

Przede wszystkim im bardziej zbliżamy się do stosunków aktualnych, tym więcej rozsypuje się konstrukcja filologii jako samodzielnej nauki: zwolna rozwinęła się i rozwija, wytwarza podstawowa nauka o kulturze i jej elementach, oraz poszczególne, zarówno historycznie jak zasadniczo (aktualnie, funkcjonalnie) ujmowane nauki, których przedmiotem literatura, sztuka w ogóle i różne jej działy, język, religia i moralność, pojęcia prawne... Bo rozszerzając pojęcie filologii, tak jak to czynił Böckh, trzeba konsekwentnie rozszerzyć w tym określeniu także pojęcie «kultury», a wtedy filologia stałaby się równoznaczną z naukami duchowymi, humanistycznymi w ogóle w przeciwstawieniu do nauk przyrodniczych.

Po wtóre, nauka o języku na równi z socjologią, ogólną nauką prawa itp., odczuwa od początku potrzebę ogarnięcia całości swego przedmiotu, dochodząc do stwierdzenia, że jest w zasadzie tylko jedna lingwistyka jako nauka; że obok stanowiska i badania histo-

rycznego (indywidualizującego) i wynikającego stąd w naturalnej konsekwencji porównawczego, trzeba dążyć całą siłą do ujęcia uniwersalistycznego, oraz — to oczywiście ma zastosowanie i do innych nauk — do jak najmocniejszego zdawania sobie sprawy z aktualnej roli zjawisk językowych, ich istoty, znaczenia, zakresu, roli oraz ewolucji.

Nauki o języku przed w. XIX właściwie nie było; były tylko bardzo elementarne, praktyczne, utopione w życiowych zastosowaniach same jej pierwsze początki i materiały, czyli najelementarniejsze elementy, a z chwilą, kiedy się lingwistyka raz jako taka wydobyła, kiedy odnośne «poznanie» dosięgnęło pewnego stopnia (prawo ilościowe tworów!), od razu prawie odnalazła sama siebie, zaczęła iść wielkimi krokami naprzód.

Po trzecie moment grający tak wielką, ba, istotną rolę w filologii, to jest określanie przedmiotu i zakresu wedle grupowań ludzkich, wedle szczepów i ludów (narodów), nie jest obojętny w rozwoju, w tworzeniu się i dziejach nauki i nauk; krzyżuje się z grupowaniem treściowym (także historycznym), gra wielką rolę w literaturze itd., ale największą, bo praktycznie zasadniczą, gra może w typowej (właśnie!) filologii, zatem klasycznej, gdzie właściwie nie ma pragnienia czego innego. Jest to, właśnie w filologii klasycznej, wynikiem całkiem szczegółowych, indywidualnych warunków — ale też z natury rzeczy jej celem, ideałem jest doskonałe odtworzenie chociaż zawsze czynne, zależne od odtwarzającej epoki, zatem i dla dzisiejszej, i dla przyszłej ludzkości nieobojętne, ale ostatecznie tylko odtworzenie małego wycinka ludzkości w czasie i przestrzeni. Natomiast w lingwistyce, pomimo że ona z całą świadomością podkreśla rolę językową nawet jednostki, a raczej właśnie dlatego, ideałem i celem jest zdawanie sobie sprawy z mowy ludzkiej w ogóle.

Każda grupa zjawisk, każdy dział kultury może do pewnej granicy, względnie w pewnym stanie i zakresie swego rozwoju być wyłącznie lub prawie wyłącznie przedmiotem badania filologicznego, ale równocześnie i tym więcej i konieczniej, im jest samodzielniejszy i im bardziej naukowo, w ściślejszym tego słowa znaczeniu, ma być traktowany, wyodrębnia się go z filologicznego związku szcze-

gółowego, czasowego i szczepowego, i stawia w jego naturalny związek treściowy na ogólnym podłożu ludzkiej kultury w ogóle, nie dlatego, aby tamte szczegółowe warunki i czynniki ignorować, tylko aby się posuwać jak najdalej w istotnym jego rozumieniu. Np. zjawiska religijne: teologię można w pewnym sensie porównać z filologią, a naukę o religii z lingwistyką. Stąd panuje w ogóle zupełnie inne nastawienie w językoznawstwie a w filologii.

Brugmann przeczy, jakoby można pociągnąć granicę pojęciową między filologią i lingwistyką i rozpatruje następujące próby rozróżniania: 1) do filologii należy gramatyka opisowa (statystyczna), do językoznawstwa rozwojowa (historyczna), 2) do filologii należy strona kulturalna, do lingwistyki strona naturalna języka, 3) do indoeuropeisty należy to, co jest ogólnie i wspólnie indoeuropejskie, zaś do grecysty, indianisty itd. specyficznie greckie, 4) do filologii należy język w epoce ściśle historycznej, tj. od punktu, kiedy się zaczynają zabytki, zaś do językoznawstwa (indoeur.) epoka przedhistoryczna (*l. c.* 18—25), stwierdzając na zakończenie, że jest rzeczą niemożliwą «Philologie und vergleichende Sprachwissenschaft begrifflich auseinader zu bringen, von welcher Seite her man es auch versuchen mag» (25) — po czym stwierdza naturalny podział pracy w praktyce naukowej, ale zasadniczą jednolitość metody itd. Ale właśnie ten naturalny podział pracy powinien go był zastanowić. Wsadziwszy, tak jak to zrobił Brugmann, całą lingwistykę do filologii, nic dziwnego, że nie znalazł różnicy![1].

Najobszerniej przedstawia różnicę stanowiska lingwistycznego a filologicznego Appel, *Stanowisko językoznawstwa pośród innych nauk* (Warszawa 1913, odbitka z *Nowych Torów*) str. 16—35.

Lingwistyka, starając się obserwować i chwycić zarówno całość mowy ludzkiej jak najdrobniejsze, indywidualne jej zjawiska, zdąża niewątpliwie do ogólnego jej ujęcia czyli do praw ogólnych — w przeciwieństwie do filologii.

Właściwe jej stanowisko, w szczególności właściwy jej stosunek do filologii okażą się jeszcze jaśniej na tle bliższego rozpatrzenia ogólnych podziałów nauki.

[1] Co do krytyki stanowiska Brugmanna p. jeszcze niżej str. 227—8.

Z podziałem na nauki przyrodnicze albo fizyczne i na nauki duchowe, humanistyczne, lepiej kulturowe[1], o którym była już mowa, krzyżują się dwa inne. Przede wszystkim na nauki nomologiczne czyli zasadowe (Gesetzeswissenschaften), nazywane także ścisłymi (sciences), abstrakcyjnymi (teoretycznymi), i nauki idiologiczne czyli zdarzeniowe (Ereigniswissenschaften), nazywane także opisowymi, historycznymi albo konkretnymi[2].

Por. do tego wykład *Elementy językoznawstwa indoeuropejskiego* § 3, artykuł *Znaczenie nauki o języku* (por. wyżej str. 169).

Pierwsze mają charakter ogólny, cechą ich ujmowania zjawisk w ogólne i najogólniejsze prawa; drugie mają charakter szczegółowy, indywidualny, a cechą ich brak owych ujęć ogólnych, a nawet brak takiego dążenia. Podział ten nie pokrywa się z podziałem na nauki fizyczne (przyrodnicze) i duchowe (kulturowe): wystarczy wspomnieć z jednej strony geologię, z drugiej psychologię, wreszcie matematykę, ale z drugiej strony oba podziały są sobie pokrewne, jeżeli weźmiemy pod uwagę ich stosunek do matematyki.

Jednakowoż staje się zwolna coraz jaśniejszym, że te podziały nie są istotne w ścisłym tego słowa znaczeniu: nauki zajmujące się kulturą czy też idiologiczne zmierzają coraz wyraźniej do typologii, do ujmowania zjawisk w ogólne prawa. Oba działy zbliżają się ku sobie w rzuconym przez nauki duchowe pojęciu struktury czyli po prostu «tworów» oraz stosunku treści do formy (postacie), co jest centralnym zagadnieniem życia, wchodzącym z innej strony w zasadniczy problem filozofii stosunku obiektu do subiektu oraz świadomości.

Drugi podział, względnie trzeci, na nauki fizyczne i biologiczne, ma znaczenie podrzędne.

Appel w przytoczonej rozprawie rozpatruje stosunek lingwistyki do akustyki (fizyki), biologii (fizjologii), psychologii (indywidualnej, zbiorowej i społecznej, względnie ogólnej), socjologii, etyki (ze względu na pojęcie wartości i normy), wreszcie estetyki. Formułuje

---

[1] Ampère nazywał je noologicznymi.

[2] Podział na nauki nomologiczne i idiologiczne został ustalony przez Windelbanda.

przy tym sprawę tak, że jak mowa jest syntezą wszystkich odnośnych czynników, tak nauka o mowie jest «syntezą wniosków, opartych na tych naukach, jako naukach podstawowych», a nie «pomocniczych», jak się to zwykle przyjmuje» (str. 15, § 1, 31).

Podobnie uważa Meillet, że anatomia, fizjologia, psychologia i socjologia są w stosunku do lingwistyki i jej stwierdzeń naukami zasadniczymi: por. co do tego Rozwadowski, *Les tâches de la linguistique*, str. 109—10.

Ale wszystko to nie dotyka w niczym i nie może dotykać autonomii lingwistyki, oczywiście autonomii względnej, i nie może jej podporządkować żadnej innej.

Appel rozpatruje dalej stosunek lingwistyki do nauk konkretnych (historii), oddzielając to wyraźnie od poprzedniego rozpatrzenia jako niewspółmierny kąt widzenia. Jako nauka teoretyczna jest językoznawstwo syntezą owych nauk abstrakcyjnych, zaś jako nauka konkretna, badająca konkretne języki, wchodzi w stosunek do innych nauk konkretnych, przede wszystkim filozofii (antropologii, etnografii, nauki o kulturze).

Otóż właśnie! Każda nauka jest, w mniejszym lub większym stopniu, zarówno idiologiczną (zdarzeniową, historyczną) jak nomologiczną (zasadową): to są stopnie czy fazy rozwojowe nasilenia różnych stron części poznania.

Co innego jest zdawać sobie sprawę ze związku poszczególnych nauk i wznosić do najwyższej naukowo-filozoficznej syntezy, która zresztą z konieczności musi się stawać syntezą poznania w ogóle (także moralnego i artystycznego), a co innego zacieranie różnicy i granic poszczególnych nauk przez dowolne rozszerzenie ich pojęcia i ich zakresu, jakeśmy to już stwierdzili przy filologii, a co można także obserwować przy fizyce, biologii, antropologii, historii, estetyce (Croce), wreszcie filozofii. Por. wyżej str. 159—60.

## [Dodatek z r. 1930/I]

Zapatrywanie Brugmanna sądzi się najlepiej samo, jeżeli jego stosunek rzekomy «filologia indoeuropejska: językoznawstwo indoeuropejskie», rozszerzymy konsekwentnie na «językoznawstwo w ogóle,

ogólne: filologia ogólnie ludzka» — bo cóż wtedy otrzymamy? Zrównanie «filologia = nauka o kulturze», a to znaczy naprawdę = nauka duchowa w ogóle. To wychodzi na niedozwolone rozszerzenie terminów i pojęć ustalonych.

Rzeczywistość poucza nas dalej, że już np. takie pojęcie, jak «filologia słowiańska» jest dosyć wątliwej wartości. Naprawdę mocnym, zwartym, żywotnym jest tylko pojęcie językoznawstwa słowiańskiego. Wszystko inne w takim dowolnym pociągnięciu granic przedstawia się jako pozbawione fundamentów. Powstanie tylko dosyć blade pojęcie «prasłowiańskiej kultury».

Tymczasem widzimy, że filologia klasyczna jako pewna jedność opiera się przede wszystkim na przeniknięciu kultury italsko-rzymskiej przez grecką w epoce hellenistycznej, końca rzeczypospolitej i początkach cesarstwa. Oraz na wytworzeniu się w dalszym ciągu «kultury klasycznej», którą się żywiła Europa. Natomiast «językoznawstwo klasyczne, tj. grecko-rzymskie» nie ma, jak wiadomo, poza tym żadnego innego głębszego, istotnego uzasadnienia.

A więc dla istnienia i pojęcia «filologii», w sensie podobnym do klasycznej, decydującym jest istnienie zupełnie szczegółowych, jednorazowo danych, konkretnie historycznych warunków. Filologia ma przed sobą jednostkowy twór ludzkich dziejów, jednostkowo rozwinięty (por. np. wpływ obcych całkiem Etrusków na Rzym a egejskiego środowiska na Grecję), i ma go możliwie dokładnie, wszechstronnie i kongenialnie odtworzyć, uświadomić sobie i wywołać. I dalej nie idzie i iść nie może, jeżeli chce pozostać sama sobą. Warto przy tym, ze względu na młodych adeptów, podkreślić, że stosunek filologii i filologów do ich przedmiotu i zadania zawsze jest i pozostanie czynny. Nawet pomijając nowe materiały (napisy, papirusy, kultury ościenne) każde nowe pokolenie filologów wnosi nowe siły.

I filolog i językoznawca mają swoje miejsce i swoją rolę do spełniania w tak wielkiej dziedzinie uświadamiania się życia, jaką jest nauka.

Nie ulega wątpliwości, jest dzisiaj uznanym, że jest tylko jeden naukowy sposób pracy nad językiem, ale nie wynika z tego wcale zatarcie dziedziny filologicznej i językoznawczej. *De facto*

ogół filologów nie pracuje nad językiem, ani ogól językoznawców filologicznie. Jest jeden racjonalny sposób jeżdżenia na nartach itp., z czego jednak nie wynika, ani 1) żeby nie-narciarz nie wiedział dobrze, co to są narty itd., ani 2) żeby każdy był narciarzem.

### [Zakończenie (1931)]

A więc nie można umieszczać językoznawstwa ani wśród nauk przyrodniczych, ani bez zastrzeżeń wśród nauk humanistycznych (kwestia treści: rola dosyć znikoma w stosunku do poezji np. — ważna natomiast rola środka, narzędzia), ani wśród nauk filologicznych, ani w szczególności kłaść pod filologię, psychologię, socjologię — chociaż ze wszystkimi jest w związku, z niektórymi nawet w bardzo bliskim.

Język zajmuje stanowisko odrębne, wszechstronne, po części formalne, dlatego też nauka o nim jest w hierarchii nauk samodzielna. Inne nauki pomagają mu, nieraz bardzo istotnie — ale i na odwrót: język wielu z nich pomaga istotnie, a w ogóle bez niego ewolucja kultury, taka jaka jest, nie byłaby możliwa.

# TREŚĆ



11 IV 77